ZBOŻE Z UKRAINY DZIELI POLAKÓW I UNIĘ

GDY PROFESOR PLAGIATUJE

HORRORY: NASZ ŁAGODNY MASOCHIZM

Kraków 16 kwietnia 2023 nr 16 (3849) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne TygodnikPowszechny.pl

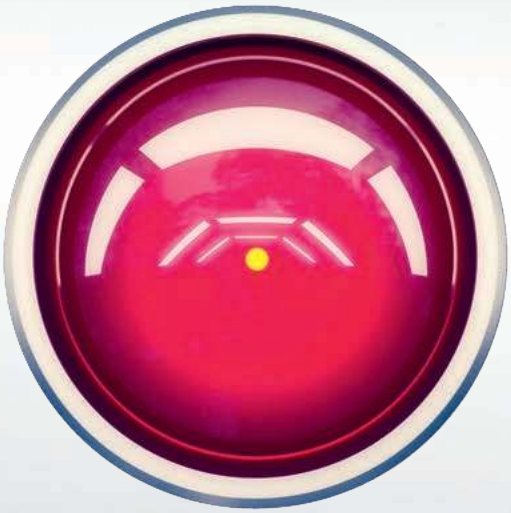

Sztuczna inteligencja przejmuje władzę

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

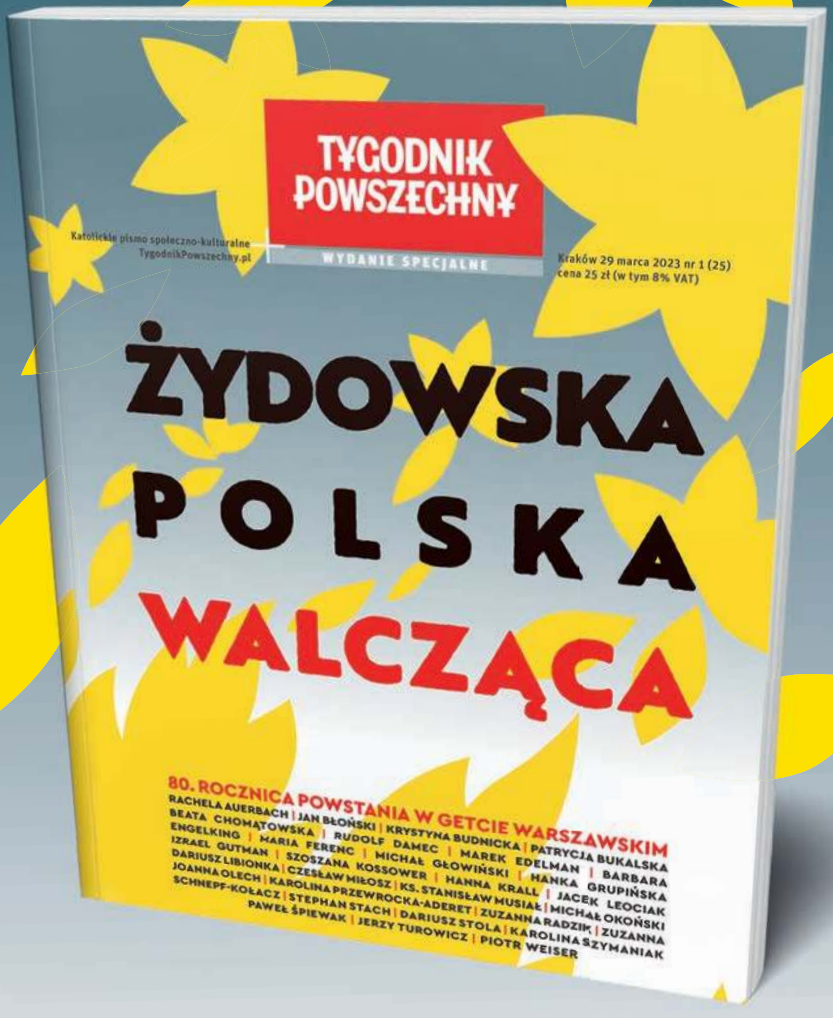

KRYSTYNA BUDNICKA: *Proszę ode mnie nie oczekiwać jakichś rozmyślań, czy się bałam itd. To było wszystko fizyczne. Tam nie było żadnego psychicznego działania, to był tylko instynkt. Pali się? Więc trzeba się schować. Gorąco? Trzeba szukać ochłody. Tylko tyle.*

PREMIERA

JUŻ W SPRZEDAŻY WYDANIE SPECJALNE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

a w nim nieznane wcześniej zdjęcia z drugiej strony muru walczącego getta

Szukaj w miejscach z dobrą prasą
lub zamów swój egzemplarz na
zamowienia@TygodnikPowszechny.pl

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

WSPÓŁWYDAWCA

GŁÓWNY PARTNER WYDANIA

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

PARTNERZY WYDANIA

KONRAD ADENAUER STIFTUNG

FRIEDRICH EBERT STIFTUNG

ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY 75 LAT

FESTIWAL KULTURY ŻYDOWSKIEJ

CENTRUM DIALOGU im. Marka Edelmana w Łodzi

wydawnictwo czarne

zaiks sprzyjamy wyobraźni

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KS. ADAM

Boniecki: *Hena i czas*

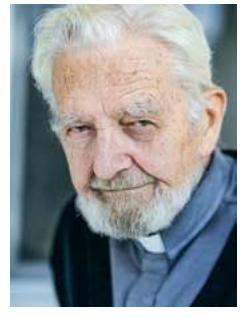

W rzeczywistości nazywa się Hena Kuczer. Albo nie, nazywa się Krystyna Budnicka. Hena po hebrajsku znaczy łaska i zostało w adresie e-mail. Ale oficjalnie jest jednak Krystyna Budnicka. W rozmowie z Patrycją Bukalską (w dziale Historia) nie tłumaczy, dlaczego nie wróciła do dawnego imienia i nazwiska. I to jest w tej rozmowie piękne. Wiele obszarów jej życia jest tam omówione pobieżnie lub po prostu pominięte. To do mnie właśnie przemawia: jest kilka spraw, o których warto mówić, i jest bardzo wiele, o których nie warto. I dwie fotografie pani Budnickiej. Współczesna, z uśmiechem, ale przecież ze smutkiem silniejszym niż ten uśmiech. Druga fotografia jest z roku 1944. Tu Krysia się uśmiecha. Naprawdę.

Historia opowiedziana przez panią Krystynę, przy całej swej niezwykłości, jest z pewnością historią jedną z bardzo wielu. Znanych, przechowanych w relacjach urzędowych i prywatnych wspomnieniach. Ale jest niezwykła, przez prostotę, zwięzłość i przez zatrzymanie się na tym, co najważniejsze. Przez wiele lat w ogóle o tym wszystkim nie mówiła. W kilku słowach wspomina, jak w 1991 r. poszła do powstałego właśnie Stowarzyszenia „Dzieci Holocaustu", jak napisała „taki krótki życiorys", jak rozmawiała z panią Bonikowską, która powiedziała jej: „dziewczyno, my wszystko znajdziemy". I jak znaleźli. Ta opowieść jest przypomnieniem tego, co się działo. Bez krzyku, bez patosu, opisane dzieje jednej z wielu żydowskich rodzin. To nic, że Krystyna (czy Hena) wielu rzeczy nie pamięta, to nic, że o nich nie mówi, że o wielu po prostu nie wiedziała... Myślę, że nie mówi o nich, bo uważa, że nie da się ich opowiedzieć. Pytająca w tej rozmowie Patrycja Bukalska nie jest nachalna ani wścibska. Wielki ukłon za to.

W zachowanej notatce można przeczytać, że „na terenie dawnego getta żyje jeszcze jakaś rodzina". Tam są wymienieni. Niezwykła jest budowa skrytki, niezwykłe są losy tych, którzy się ukrywali, niezwykła jest historia ucieczki rodziny. Niezwykła i tragiczna, choć nawet ten rozdział opowieści jest rzeczowy, bez rozwijania wątku tragicznego. Pani Krystyna Budnicka powiada, że ma poczucie, iż nie opłakała swojej rodziny. Powiedziała: „Ja nie mam łez". Nie wiem, czy na pewno łzy są miarą smutku. Pani Krystyna jest dowodem na to, że nie, że może być smutek aż tak wielki, że brakuje łez. Tak, pamiętam, jak wyglądał teren getta.

Pani Krystyna Budnicka nie była świadkiem walki, powstania. Była dzieckiem, ale dzieci też zabijano. Jednak nie można powiedzieć, że nie ona tworzyła historię. Historia dziewczynki, która kolejno traci wszystkich z licznej rodziny, jest jak syntetyczna historia tysięcy rodzin. Straszna, syntetyzująca losy Żydów w Warszawie, w Polsce. Przez długie lata pani Budnicka nikomu jej nie opowiadała. Jak wiele takich historii, i ta mogła zginąć w niepamięci. Z licznej rodziny przeżyła tylko ona. Ale na nasze szczęście – opowiedziała. Teraz każdy, kto ją usłyszał, przeczytał, inaczej patrzy na teren dawnego getta, inaczej patrzy na świat.

To już tyle lat. Świadkowie odchodzą, pamięć blednie. Myślimy: „To nie my". Cóż, ryzykowało się wtedy własnym życiem i życiem najbliższych. Z perspektywy lat łatwo osądzać, ale wtedy... Drukowanie opowieści takich jak opowieść Heny, praca nad archiwami z tamtych strasznych lat, wszystko, co przywraca tamten czas, jest ważne. Zobaczenie siebie dziś, ale na tle tamtych wydarzeń. Jak to zrobić szczerze? ©℗

Pokażmy, że pamiętamy!

Z okazji 80. rocznicy wybuchu powstania w getcie warszawskim, którą będziemy obchodzić 19 kwietnia, dziś w numerze naklejki – żonkile, symbol tej rocznicy. Ks. Adam Boniecki jest ambasadorem akcji Żonkile, organizowanej przez Muzeum POLIN, a „Tygodnik" towarzyszy jej od wielu lat.

Czytaj w dziale Historia wywiad z Krystyną Budnicką, Ocalałą z powstania w getcie warszawskim

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

19 IV 1943 POWSTANIE W GETCIE WARSZAWSKIM

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. KAJUS W. PYRZ

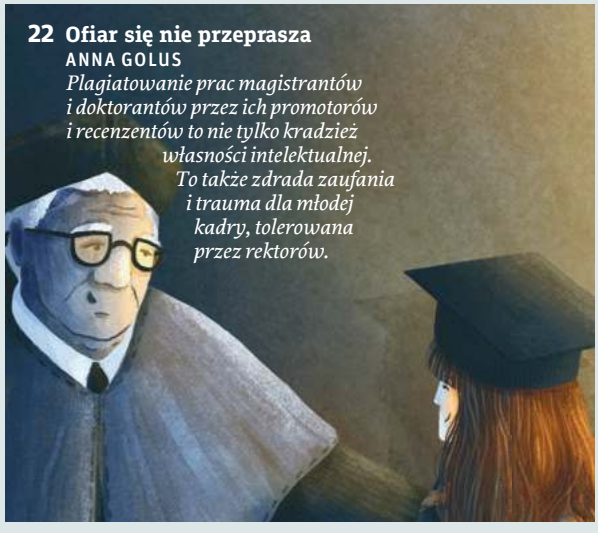

22 Ofiar się nie przeprasza
ANNA GOLUS
Plagiatowanie prac magistrantów i doktorantów przez ich promotorów i recenzentów to nie tylko kradzież własności intelektualnej. To także zdrada zaufania i trauma dla młodej kadry, tolerowana przez rektorów.

34 Strefa światła i cienia
ROZMOWA Z KS. ALFREDEM WIERZBICKIM, ETYKIEM:
Żeby ocalić dorobek Jana Pawła II, trzeba teraz jego biografię napisać bardziej realistycznie.

44 Kandydat aresztant
MARTA ZDZIEBORSKA
Nowojorska prokuratura dopięła swego i postawiła Trumpowi zarzuty karne. Ale to nie jest sprawa, w której łatwo będzie go skazać. Łatwiej za to będzie mu teraz walczyć o Biały Dom.

52 Hena, czyli łaska
ROZMOWA Z KRYSTYNĄ BUDNICKĄ, OCALAŁĄ Z WARSZAWSKIEGO GETTA:
Od stycznia nie wychodziłam już na zewnątrz. Moi bracia za to wychodzili, kontaktowali się z organizacją podziemną. Ja wiedziałam tylko, że tego dnia oni poszli do walki.

64 Co jest pod śniegiem
ROZMOWA Z MACIEJEM ROBERTEM, POETĄ:
Słowa skierowane do dziecka mają ogromną moc. Ciążą na całym moim życiu. Sama potencjalność tego, że mogło się wydarzyć najgorsze, nie daje spokoju.

78 Apetyt na strach
ŁUKASZ JACH
Gdy oglądamy filmy grozy, w naszych umysłach trwa taniec ciekawości i strachu. Zakrywamy oczy, ale pozostawiamy między palcami szparkę, bo interesuje nas, co będzie dalej.

KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP" // JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL // ANNA LIMINOWICZ / POLIN // MIGUEL PEREIRA / GETTY IMAGES // JOANNA GŁODEK / MATERIAŁY PRASOWE // ED JONES / AFP / EAST NEWS

6 Spotkanie z przyszłością
WOJCIECH PIĘCIAK

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

62 Tygodnik Czytelników

KRAJ

22 Ofiar się nie przeprasza
ANNA GOLUS

26 Ziarna gniewu
MAREK RABIJ: *Tegoroczne zbiory zbóż w Ukrainie znalazły się w centrum sporu politycznego*

29 Wytrychy na lęk
ROZMOWA Z MARIĄ BANASZAK, TERAPEUTKĄ UZALEŻNIEŃ: *Leki psychotropowe przepisywane są ze zbyt dużą łatwością*

WIARA

34 Strefa światła i cienia
ROZMOWA Z KS. ALFREDEM WIERZBICKIM

38 Derwisza kręci wiara
MARCELINA SZUMER-BRYSZ: *Wirujący derwisze nawet w ojczyźnie dla wielu są zagadką*

41 Chrześcijaństwo bez poczucia winy
PIOTR SIKORA: *Metafora grzechu pierworodnego i idea boskiego miłosierdzia dotyczą przede wszystkim cierpienia*

ŚWIAT

44 Kandydat aresztant
MARTA ZDZIEBORSKA

47 Gdy Niemcy i Francuzi mogą więcej
PAWEŁ BRAVO *o negocjacjach wokół zakazu silników spalinowych*

TEMAT TYGODNIKA

DIEGO RADAMES / EUROPA PRESS / GETTY IMAGES

12 Ludzkość puszcza stery
AGATA KAŹMIERSKA, MICHAŁ GIKOWSKI
Jest w tym paradoks: program, który sam niczego nie rozumie, może rozpocząć największą rewolucję w dziejach. Jesteśmy na nią gotowi?

FELIETONY

33 TOMASZ STAWISZYŃSKI **43** ZUZANNA RADZIK
63 ELIZA KĄCKA
76 OLGA DRENDA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
WIZUALIZACJA KOMPUTERA HAL 9000 Z „2001: ODYSEI KOSMICZNEJ" STANLEYA KUBRICKA
TIERO / ADOBE STOCK

Redaktor prowadzący: PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

49 Z Pendżabu do szkockiego rządu
PATRYCJA BUKALSKA *o nowym premierze Szkocji*

50 Wieża Babel nad Dniestrem
ROZMOWA Z KS. MARCINEM JANUSIEM, PROBOSZCZEM Z NADDNIESTRZA: *Opatrzność Boża czuwała nad Odessą, a przy okazji nad nami. Baliśmy się, że wojna lada moment rozszerzy się na Mołdawię*

HISTORIA

52 Hena, czyli łaska
ROZMOWA Z KRYSTYNĄ BUDNICKĄ

NAUKA

58 Zainfekowana życiem
MARIUSZ GOGÓL: *Czy pierwsze organizmy powstały poza naszą planetą?*

KULTURA

64 Co jest pod śniegiem
ROZMOWA Z MACIEJEM ROBERTEM, POETĄ

69 Na szaro
PIOTR KOSIEWSKI: *Podobno nawet kolorystyka obrazów Ignacego Czwartosa jest „wybitnie polska, rodzima, tutejsza"*

72 Coś dla ludzkiej ciekawości
DOROTA KOZIŃSKA *o Kamili Metwaly, szefowej festiwalu w Berlinie*

74 W otchłani i w gorączce
ANITA PIOTROWSKA *o kinie „nowohoryzontowym"*

75 Książę Jusuf
LEKTOR *o książkach „Malik. Historia cesarza" i „Artur Aronimus. Historia mojego ojca" Else Lasker-Schüler*

ZMYSŁY

78 Apetyt na strach
ŁUKASZ JACH

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Co obejrzeć w weekend
„Living" to obraz do szpiku angielski, naznaczony sarkazmem, flegmatycznością i sztywną elegancją – w autorskim cyklu **ANITA PIOTROWSKA** poleca filmy i seriale | **TygodnikPowszechny.pl/weekend**

Strona Świata
Górzyste królestwo Lesotho, leżące pośrodku RPA, domaga się od sąsiadki zwrotu jego dawnych ziem – o planach na rewizję granic pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** | **TygodnikPowszechny.pl/stronaswiata**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

SPOTKANIE Z PRZYSZŁOŚCIĄ

„Poland first to help": to napis na plandece ciężarówki napotkanej gdzieś pod Humaniem. Czy rok temu ktoś by sądził, że takie obrazy wpiszą się w codzienność Ukrainy?

WOJCIECH PIĘCIAK

Rozczarowanie mogli odczuć ci, którzy po wizycie Wołodymyra i Ołeny Zełenskich w Polsce spodziewali się więcej – więcej konkretów czy jeszcze mocniejszych słów. Jeśli faktycznie oczekiwaliśmy więcej, to dlatego, że sami, w minionych kilkunastu miesiącach, wysoko zawiesiliśmy poprzeczkę (również sobie). Po 24 lutego 2022 r. wykonaliśmy na rzecz Ukrainy – jej obrońców i tych, którzy szukają u nas schronienia – tak wielką pracę, że trudno sobie wyobrazić, co jeszcze mogłoby dziś się zdarzyć (w warstwie politycznych deklaracji i gestów, jak również twardych faktów), żeby to przebić. My, czyli polskie państwo, społeczeństwo obywatelskie, a często też my jako jednostki.

W lutym 2022 r., gdy zaczęła się rosyjska inwazja, pisaliśmy w tym miejscu: „Ukraina walczy. Nie wiemy, co przyniosą najbliższe dni. (...) Tak, boimy się. Nierozsądnym byłoby się nie bać i strach jest dziś czymś normalnym. Jednak on nie musi paraliżować. Przeciwnie: może mobilizować do działania, ono zaś daje poczucie sprawczości i wewnętrzny spokój. Swój

Ołena i Wołodymyr Zełenscy oraz Agata Kornhauser-Duda i Andrzej Duda na warszawskim Zamku, 5 kwietnia 2023 r.

wkład może wnieść każdy z nas. (...) To godzina próby. Najważniejsza w historii naszego pokolenia”.

Inwazja trwa, za wcześnie więc na finalne bilanse. Ale gdy idzie o miniony rok, możemy sobie powiedzieć, że w najczarniejszej dla naszych sąsiadów godzinie nasze państwo i społeczeństwo zrobiły, co trzeba. A Ukraińcy dziękowali za to po wielekroć – na poziomie państwowym i ludzkim, indywidualnym. Wobec skali tej pomocy – i wobec podziękowań, jakie już wypowiadano, zarówno gdzieś tam w obwodzie donieckim, jak też tu na miejscu, gdy przyszło opiekować się siedmioma milionami uciekających ludzi (półtora miliona tutaj zostało) – czegokolwiek by Wołodymyr Zełenski i Andrzej Duda nie powiedzieli teraz, ile by razy prezydent Ukrainy nie powtórzył słowa „dziękuję”, to wszystko byłoby i tak mierzone skalą tego, co się wydarzyło. Być może nie ma takich słów w języku polityki, które dałyby dziś poczucie stuprocentowej adekwatności.

Gdy Zełenski dziękował Polakom, dziękował też Wam – Czytelniczkom i Czytelnikom „Tygodnika” oraz naszym Przyjaciołom i Partnerom. W minionych sześciu miesiącach – odkąd Rosja zaczęła naloty na infrastrukturę, by zamrozić Ukrainę, a my zaczęliśmy akcję pomocy dla jej obrońców i innych ludzi najbardziej doświadczonych (jak dzieci z Chersonia) – wysłaliśmy tam 10 transportów; kilkanaście ton. Były to śpiwory (prawie półtora tysiąca), agregaty prądotwórcze (54 sztuki), kilkaset polarów i tyleż kompletów termobielizny, skarpety i kuchenki turystyczne, sześć elektronarzędzi chirurgicznych dla szpitali (podarował je czytelnik, producent takich urządzeń), sprzęt dla szpitali polowych, latarki, powerbanki, żywność, materiał na siatki maskujące i wiele innych rzeczy, ważnych dla przetrwania (więcej opowiemy wkrótce). A to nie wszystko. Ktoś powiedział: „Wieziecie także niematerialne dary: nadzieję, przyjaźń, braterstwo”.

Ta wojna zmienia Europę. Kształtuje się jej nowa mapa, na której jej środkowa i wschodnia część siłą rzeczy będą odgrywać już nie tylko peryferyjną rolę. Podczas wizyty Ołeny i Wołodymyra Zełenskich rozmawiano też, jak słyszymy, o polskim udziale w przyszłej odbudowie, relacjach w sferze pamięci (wyzwaniem będzie w lipcu 80. rocznica rzezi wołyńsko-galicyjskiej), przemyśle obronnym, także o kryzysie zbożowym oraz o plus minus 2,5 milionach Ukraińców żyjących dziś w Polsce. Słowem – o sprawach długofalowych, o przyszłości.

To wszystko ważne, o tym będziemy jeszcze pisać. Dziś możemy pozwolić sobie na chwilę zasłużonej satysfakcji. ©℗

Wszystkie wymiary mieszkaniowego klinczu

RZĄD PRZYJĄŁ AUTOPOPRAWKĘ do projektu ustawy o pomocy państwa w oszczędzaniu na cele mieszkaniowe i dorzucił do niej ograniczenie swobody cesji umów deweloperskich. Ma to zwalczać zjawisko tzw. flippingu, czyli hurtowego zawierania z deweloperami wstępnych kontraktów na mieszkania, żeby potem z dużym zyskiem odsprzedawać je na wolnym rynku, gdy wzrosną ceny. W dużych miastach średni koszt zakupu metra kwadratowego przekroczył już 10 tys. zł, co przy obecnym poziomie stóp procentowych oznacza, że na własne lokum stać nielicznych.

W Polsce brakuje co najmniej 1,5 mln mieszkań. Eurostat szacuje, że w przeciętnym lokalu nad Wisłą przypada dziś 1,2 mieszkańca na pokój, wciąż mamy więc jedne z najgorszych warunków bytowych w Unii. Ci, których nie stać na zakup, skazani są na wynajem, ale tu również popyt przewyższa znacznie podaż. W ramach rządowego programu Mieszkania Komunalne 2023 wsparcie dla samorządów inwestujących w mieszkania pod wynajem ma wynieść w tym roku ponad 1,65 mld zł. Bezzwrotne dopłaty mogą pokryć nawet 80 proc. kosztów na budowę nowych obiektów lub remonty istniejących już budynków czy pustostanów. Dla wielu samorządów dotacja centralna może się okazać jedyną drogą do wyjścia z lokalowego klinczu, w jakim się znajdują. Lokatorzy komunalni nagminnie nie płacą bowiem czynszów.

Według GUS zaległości wobec gmin ma aż 392 tys. z 650 tys. najemców mieszkań komunalnych. Na jeden taki lokal przypada średnio 9,8 tys. zł zadłużenia. Problem można oczywiście sprowadzić do trudnej sytuacji bytowej lokatorów, wskazać na inflację, ale rzecz jest bardziej skomplikowana. W 2019 r. Narodowy Bank Polski przeanalizował sytuację w zasobach komunalnych miast wojewódzkich i doszedł do wniosku, że aż 55 proc. z nich nie było regularnie opłacanych przez najemców – mimo że średni czynsz nie przekraczał nawet połowy ustawowego limitu (tzn. 3 proc. wartości odtworzeniowej mieszkania rocznie) i był znacznie niższy od stawek wolnorynkowych czy spółdzielczych. W obliczu problemów finansowych lokatorzy komunalni po prostu przestawali płacić czynsz, oszczędzając w ten sposób na inne swoje zobowiązania.

Podobne sygnały płyną z wolnego rynku. Gwałtowny wzrost stawek wynajmu po wybuchu wojny w Ukrainie, która pchnęła do Polski falę uchodźców, plus wysoka inflacja – to wprost idealne podłoże dla rozwoju zaległości najemców. Problem ten czeka na lupę inspektorów GUS, ale z sądów już płyną informacje o szybkim przyroście spraw o eksmisję lokatorów, którzy uchylają się od płacenia czynszu. Polskie prawo mocno zabezpiecza interesy najemców, co sprawia, że właściciele mieszkań wobec nieuczciwych kontrahentów są coraz częściej praktycznie bezsilni.

©℗ MAREK RABIJ

Mieszkańcy bloku z programu „Mieszkanie Plus” protestują przeciwko zbyt wysokim opłatom za lokale. Świdnik, 21 marca 2023 r.

JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

JACEK SZYDŁOWSKI / FORUM

Minister na rozdrożu

MAREK KĘSKRAWIEC

W ustach Zbigniewa Ziobry walczącą o władzę opozycja to „germańska horda", którą kieruje Donald Tusk. Nie wiadomo, czy epitet ten jest skierowany tylko do polityków, czy również do ich elektoratu – pokazuje jednak wyraźnie, jak mogłaby wyglądać samodzielna kampania wyborcza Solidarnej Polski, gdyby Ziobrze nie udało się dogadać z Jarosławem Kaczyńskim w sprawie dalszego trwania prawicowej koalicji. Koalicji, której nowe życie dał paradoksalnie słynny reportaż TVN o domniemanej roli Jana Pawła II w tuszowaniu przypadków pedofilii w Kościele. Po jego emisji popularność Karola Wojtyły w społeczeństwie wzrosła, a politycy władzy przystroili się w piórka najzagorzalszych obrońców dobrego imienia papieża Polaka. W efekcie środowisko, któremu wieszczono klęskę wyborczą, znowu wierzy w zwycięstwo.

Kłopot w tym, że wciąż nie wiadomo, jak będzie skonstruowana armia, która przystąpi do boju o kolejne cztery lata rządów. Ziobro co i rusz zwraca uwagę na różnice dzielące go z PiS; chodzi zwłaszcza o stosunek naszego rządu do Unii Europejskiej, który, zdaniem szefa SP, jest zbyt uległy. Ziobro co prawda podkreśla publicznie, że zdaje sobie sprawę, iż zatrzymać „niemieckiego kolaboranta Tuska" łatwiej będzie przy użyciu wspólnej listy PiS i SP, ale zarazem dodaje, że efektem takiego sukcesu musi być realna zmiana polityki wobec UE. Z informacji „Tygodnika" wynika, że to kolejna z listy aluzji deprecjonujących Mateusza Morawieckiego, a w podtekście promująca Beatę Szydło – byłą premier, która wraca do polityki krajowej, a którą Ziobro widziałby chętnie po wyborach w fotelu premiera koalicyjnego rządu.

Zagrożeniem dla lidera SP jest jednak to, że większość kart ma w rękach Kaczyński; ponoć łącznie z badaniami świadczącymi o braku szans na przekroczenie progu wyborczego przez SP, gdyby zdecydowała się na rozwód z PiS. Ostatni sondaż United Surveys również pokazał, że zwolennicy rządu nie uważają Ziobry za osobę z topu prawicy. Na dodatek czas płynie, a im później SP rozpocznie własną kampanię, tym będzie jej trudniej. Ziobro wciąż liczy więc na sojusz i wierzy, że Kaczyński nie zaryzykuje utraty jego wyborców, bo mogą stać się oni języczkiem u wagi. Z kolei szef PiS uważa, że rozwód z SP nie byłby dla niego wcale katastrofą. Gra więc na czas w przekonaniu, że Ziobro tylko straszy i nie pójdzie swoją drogą, bo w razie porażki oznaczałoby to dla niego koniec podobny do upadku Jarosława Gowina. Kaczyński wierzy, że gdy wreszcie uświadomi Ziobrze faktyczną pozycję w szeregu, wręcz ograniczy liczbę kandydatów SP na wspólnych listach koalicji. ©℗

KRAJ W SKRÓCIE

MARSZAŁEK

Elżbieta Witek oświadczyła, iż materiał Radia Zet (które ujawniło, że mąż marszałek Sejmu od kilkunastu miesięcy leży na oddziale intensywnej terapii szpitala w Legnicy, blokując miejsce innym pacjentom) spowodował u niej „ogromne i niezrozumiałe cierpienie". „Podjęliśmy ten temat, mając na uwadze ważny interes publiczny, jakim jest powszechny dostęp do właściwej opieki medycznej bez względu na status społeczny" – odpowiedziała stacja.

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

MINISTER

Nowym ministrem rolnictwa został Robert Telus (na zdjęciu). Zastąpił Henryka Kowalczyka, który zapewniał wcześniej, że polscy rolnicy nie stracą na imporcie zboża z Ukrainy, a który wciąż pozostaje wicepremierem.

PREZES

„Różnie bywa. Świat jest okrutny – diagnozował na ostatniej konferencji Adam Glapiński. – W polityce międzynarodowej nie ma przebacz, nie ma przyjaźni, nie ma lojalności, nie ma wdzięczności – to jest wściekła walka narodowych interesów". Dramatyzm analizy prezesa NBP złagodziła konkluzja, że „wśród szympansów karłowatych i średnich też są jakby takie wojny".

POSEŁ

Media informują, że kreujący się na antysystemowego Paweł Kukiz zamierza wystartować w najbliższych wyborach z list PiS.

WHO: problem przetrwania

Z NIEPŁODNOŚCIĄ boryka się co szósta osoba na świecie – ogłosiła Światowa Organizacja Zdrowia. Trudności z zajściem w ciążę (według definicji WHO: pomimo regularnego współżycia seksualnego przez rok bez stosowania zabezpieczeń) doświadcza 17,5 proc. populacji. Różnice między państwami rozwiniętymi a rozwijającymi się są nieznaczne. Tedros Adhanom Ghebreyesus, dyrektor generalny WHO, wezwał do reformy systemów ochrony zdrowia pod kątem leczenia niepłodności.

Medycznych przyczyn niepłodności jest wiele; eksperci wskazują głównie na pogorszenie jakości oocytów u kobiet i spadek stężenia plemników u mężczyzn. Sprzyjają temu czynniki cywilizacyjne: smog, zanieczyszczenie żywności pestycydami, zaniedbywanie diety, nadużywanie alkoholu, rezygnacja z wysiłku fizycznego, chroniczny stres itd.

Polska nie prowadzi szczegółowych statystyk na temat niepłodności, od lat powtarza się tylko szacunki podawane przez Polskie Towarzystwo Medycyny Rozrodu i Embriologii (PTMRiE), według których problemy z zajściem w ciążę ma 1,5 mln par, czyli ok. 15-20 proc. populacji w wieku reprodukcyjnym. W latach 2013-16 działała państwowa refundacja zabiegów zapłodnienia pozaustrojowego (*in vitro*): skorzystało z niej 17 tys. par, urodziło się ponad 21,5 tys. dzieci. Po przejęciu władzy przez PiS minister zdrowia Konstanty Radziwiłł zamknął program. Refundację zabiegów zapewnia obecnie część samorządów (kilka województw i kilkadziesiąt miast). W 2017 r. utworzono też 16 ośrodków referencyjnych leczenia niepłodności prowadzących działania edukacyjne, diagnostykę, opiekę psychologiczną i leczenie, ale z wyłączeniem zapłodnienia pozaustrojowego. Ministerstwo zdrowia zapowiada tworzenie kolejnych centrów, wyklucza jednak powrót do finansowania zabiegów *in vitro*. Jak szacuje prezes PTMRiE prof. Rafał Kurzawa, obecnie co 50. dziecko w Polsce rodzi się dzięki tej procedurze.

©℗ MACIEJ MÜLLER

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC.

Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

JOE KLAMAR / AFP / EAST NEWS

PIERWSZY TYDZIEŃ KWIETNIA mijał w Europie Środkowej pod znakiem nawrotu zimy. Śnieg padał obficie także na Bałkanach. W Serbii spadło 40 cm, paraliżując Belgrad. Mieszkańców Prisztiny wezwano, by unikali parków z powodu łamiących się drzew. Na zdjęciu pokryte śniegiem jabłonie w słowackiej wsi Dunajská Lužná koło Bratysławy rankiem 5 kwietnia. Tamtejsi sadownicy chronili kwitnące już wiśnie przed nocnymi mrozami, ogrzewając powietrze specjalnymi świecami, w liczbie co najmniej czterystu na hektar sadu. Tymczasem w Hiszpanii i Portugalii w Wielkanoc notowano upały. ©℗ WP

Co dla Rosji oznacza zamach w Petersburgu

ANNA ŁABUSZEWSKA

Czy Rosja wchodzi w epokę terroryzmu, czy zaostrzenia metod walki z przeciwnikami Putina? Takie pytanie ciśnie się na usta po zamachu, w którym 2 kwietnia w petersburskiej kawiarni Patriot Bar zginął Władlen Tatarski. Był blogerem i popularnym wojenkorem (skrót od „korespondent wojenny"), ważną częścią machiny propagandowej mającej wzmacniać przekaz Kremla. Zanim jeszcze cokolwiek można było ustalić, rosyjski Narodowy Komitet Antyterrorystyczny miał już gotową wersję wydarzeń. Organizacją zabójstwa miała się zajmować agentura na usługach ukraińskich służb specjalnych – ludzie związani z Fundacją Walki z Korupcją Aleksieja Nawalnego. Rzecznik Kremla oskarżył o organizację zamachu „reżim w Kijowie". Czyli dwie pieczenie na jednym ogniu: i Ukraina, i Nawalny. Podgrzanie atmosfery odwetu.

Śledczy ogłosili, że figurkę z ładunkiem wybuchowym przyniosła Tatarskiemu 26-letnia Daria Triepowa. Jakiś czas temu zawarła z nim niezobowiązującą znajomość, więc bloger nie zdziwił się, gdy podeszła, i z ufnością przyjął z jej rąk prezent. Triepową zatrzymano w Petersburgu i przewieziono do Moskwy. Sąd aresztował ją na dwa miesiące.

Pewne jest natomiast to, że scena polityczna w Rosji, wyczyszczona ze wszystkiego, co może stanowić alternatywę dla władzy Kremla, nie daje możliwości otwartego działania przeciwnikom reżimu lub choćby wolnomyślicielom. Co nie znaczy, że ich nie ma. FSB nieustannie ich tropi. Ale nie dość skutecznie, skoro zdarzają się zamachy. Wśród komentarzy do wydarzeń w Petersburgu nie brakuje też takich o prowokacji zorganizowanej przez służby w celu przygotowania gruntu pod zaostrzenie metod walki z nieposłusznymi obywatelami. „Rosyjskie władze powtarzają sztuczkę, którą zastosował Stalin, aby usprawiedliwić masowe represje pod koniec lat trzydziestych – każdego opozycjonistę mogą teraz ogłosić winnym terroru", uważa mieszkający od lat w Berlinie socjolog Igor Ejdman, kuzyn zamordowanego przez Kreml opozycjonisty Borysa Niemcowa. Jednym z celów władz może być przywrócenie kary śmierci. ©

Więcej:
tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka

NATO niecierpliwie czeka na Szwecję

BĘDZIEMY BRONIĆ Rovaniemi (i innych fińskich miejscowości) – jeśli zajdzie taka konieczność. 5 kwietnia, z chwilą przyjęcia Finlandii, zobowiązało się do tego całe NATO. Ale nordycka ekspansja Sojuszu zakończy się dopiero wraz z przystąpieniem doń Szwecji.

Za szybkie członkostwo tego kraju najmocniej trzymają kciuki Estonia, Łotwa i Litwa. W razie wojny utrudniłoby ono Kremlowi realizację scenariusza, który nawet przy uwzględnieniu widocznej w Ukrainie słabości rosyjskiej armii sztabowcom w Brukseli może się śnić jako koszmar: błyskawiczne zajęcie państw bałtyckich oraz skuteczne ataki na natowskie grupy desantowe i flotę zaopatrzeniową. Zmniejszyłoby też presję na tzw. przesmyk suwalski, nawet po akcesji Finlandii jedyne połączenie lądowe Bałtów z innymi krajami NATO.

Wojskowe plusy Szwecji w Sojuszu to także m.in. przeszło setka lekkich myśliwców JAS 39 Gripen, niezawodnych zimą, operujących z lotnisk polowych i kompatybilnych z natowskim uzbrojeniem; oraz pięć (a wkrótce siedem) okrętów podwodnych wyspecjalizowanych w żegludze na płytszych wodach przybrzeżnych. A przede wszystkim – Gotlandia. Tę wyspę na środku Bałtyku, oddaloną tylko o 350 km od rosyjskich baz w Kaliningradzie, Szwedzi traktowali dotąd jako pierwszą linię obrony. Będąc już w NATO, ze strategicznie ważnym portem Visby, wyspa stałaby się natomiast, jak żartują szwedzcy oficerowie, „niezatapialnym lotniskowcem", utrudniając Rosji działanie na morzu i pomagając w odcięciu od niej Kaliningradu. W interesie Sojuszu byłaby również obrona słabo zaludnionej północnej Szwecji, „pomostu" łączącego należące do NATO Norwegię i Finlandię (działając samodzielnie, szwedzka armia w pierwszej kolejności koncentrowałaby się na utrzymaniu regionów południowych).

To wszystko jest wciąż „zakładnikiem" Turcji i Węgier, ostatnich państw NATO, które do tej pory nie ratyfikowały umowy o szwedzkiej akcesji. Ankara żąda od Skandynawów zaprzestania, jak twierdzi, „wspierania terroryzmu" (chodzi o działalność środowisk kurdyjskich). Korzystając z okazji, Budapeszt ma zaś Szwedom za złe ich krytykę polityki Viktora Orbána. Sekretarz generalny NATO liczy, że spór zostanie rozwiązany przed lipcowym szczytem Sojuszu w Wilnie. ©℗ MARCIN ŻYŁA

DOMINIK GAJDA / MATERIAŁY PRASOWE

Zagrzmiał Głos Ojca

GDY GO USŁYSZAŁEM, poczułem wielką ulgę – mówi Grzegorz Kłyszcz, współtwórca największego dzwonu w świecie, *Vox Patris* (Głos Ojca), którego brzmienie zaprezentowano po raz pierwszy w wielkanocną niedzielę.

Dzwon został odlany przez Pracownię Ludwisarską Felczyńskich z Przemyśla i firmę Rduch Bells & Clocks z Rydułtowych na zamówienie brazylijskiego sanktuarium w Trindade. Waży 55 ton, ma 4 m wysokości i 4,5 m średnicy. Formę wykonano metodą tradycyjną – z gliny, końskiego łajna i cegieł, prace odlewnicze prowadzono w Nowej Hucie.

Produkcja dzwonu-giganta trwała aż 9 lat. Pierwszy odlew był nieudany, drugi ukończono w 2018 r., ale pojawiły się problemy z odbiorem zamówienia – rektor brazylijskiego sanktuarium został oskarżony o zawyżanie kosztów i defraudację pieniędzy. Swoje zrobiła też pandemia. Polska strona zapewnia jednak, że przed końcem roku *Vox Patris* odpłynie za ocean. Jak na razie, przeszedł pomyślnie testy jakości dźwięku i jego zgodności z projektem.

Pracownia Felczyńskich, założona w 1808 r., jest jedyną polską ludwisarnią poddającą swe produkty badaniom kampanologicznym. Główny ton Głosu Ojca to Fis w oktawie dużej (choć najniższe dźwięki, o częstotliwości 40 Hz, sięgają oktawy kontra) i będzie słyszany w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Chwilowo można go usłyszeć w internecie (**powszech.net/voxpatris**).

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Biskupi prawosławni w walce z laickim światem

MACIEJ MÜLLER

Odnosząc się do różnych wywiadów, wypowiedzi, artykułów itp. w przestrzeni medialnej", dotyczących polskiej Cerkwi, „Św. Sobór Biskupów stwierdza, że jest to działalność destabilizacyjna, mająca na celu marginalizację i degradację życia cerkiewnego, służącą osłabieniu Prawosławia (...). Informacje te są działaniem umyślnym i złośliwym; są nierzeczywiste i kłamliwe" – napisali biskupi prawosławni w komunikacie z wiosennej sesji Świętego Soboru. Wezwali do „modlitewnej czujności" w obronie Cerkwi przed „agresywną działalnością zlaicyzowanego świata".

W ostatnim czasie prawosławie skupiło uwagę mediów z powodu listu metropolity Sawy wysłanego w lutym do patriarchy Cyryla. „Przez okres Waszej Patriarszej służby (...) Rosyjska Cerkiew Prawosławna lśni duchowym odrodzeniem i służy przykładem dla innych" – pisał Sawa. Burza medialna skłoniła go do przeprosin i jednoznacznego potępienia rosyjskiej agresji na Ukrainę oraz działań Cyryla (czego od dawna od niego oczekiwano). W liście do wiernych poparł też starania ukraińskiego prawosławia o uniezależnienie się od Moskwy.

Komunikat Soboru skłania do wniosku, że przeprosiny były koniunkturalne oraz że również prawosławni biskupi mają skłonność do szukania przyczyn kryzysu Kościoła nie we własnych postawach, tylko w „agresji świata". ©℗

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

POPARCIE

Badanie CBOS, przeprowadzone po ukazaniu się książki Ekke Overbeeka „Maxima culpa" i po emisji filmu Marcina Gutowskiego „Franciszkańska 3", pokazało wzrost pozytywnej opinii o Kościele katolickim wśród dorosłych Polaków – z 40 proc. we wrześniu 2022 r. do 47 proc. w pierwszej połowie marca 2023 r. Dla porównania, w 2017 r. poparcie dla Kościoła wynosiło 61 proc.

VATICAN MEDIA

POCAŁUNEK

Podczas mszy Wieczerzy Pańskiej w więzieniu dla nieletnich Casal del Marmo na przedmieściach Rzymu Franciszek umył i ucałował stopy dwunastu osadzonych, w tym dwóch dziewcząt. Oprócz Włochów było wśród nich dwóch Sinti, Chorwat, muzułmanin z Senegalu i Rumun. Po raz pierwszy Franciszek był w tym miejscu w 2013 r.

ROZPOZNANIE

Na cmentarzu parafialnym w Markowej odbyła się ekshumacja i rozpoznanie doczesnych szczątków Józefa i Wiktorii Ulmów oraz ich siedmiorga dzieci, zamordowanych w marcu 1944 r. przez Niemców za ukrywanie Żydów. Badanie potwierdziło liczbę członków rodziny, ich wiek, rodzaj śmierci i miejsce pochówku. Beatyfikacja Ulmów odbędzie się 10 września w Markowej. Kościół przygotuje dwa rodzaje relikwii: całej rodziny i poszczególnych jej członków.

KULTURA W SKRÓCIE

POLACY W KINIE

Prawie połowa Polaków deklaruje, że chodzi do kina częściej niż raz na pół roku, a zdecydowana większość z nas była na seansie w ciągu ostatnich 2-3 miesięcy. Najczęściej wśród widzów są osoby między 20. a 39. rokiem życia. Badanie przeprowadził Polski Instytut Sztuki Filmowej.

MUZYKA W SIECI

W ramach trwającego od prawie dekady procesu digitalizacji zbiorów na stronie polskabibliotekamuzyczna.pl otrzymaliśmy dostęp do części haseł Encyklopedii Muzycznej PWM. Otwartych jest kilkaset biogramów oraz nut, a baza będzie się stopniowo powiększała.

MAKUSZYŃSKI W ZAKOPANEM

Muzeum Kornela Makuszyńskiego w Zakopanem ponownie otwarte. Budynek przez ostatnie dwa lata przeszedł gruntowną modernizację oraz został przystosowany dla osób niepełnosprawnych. Ekspozycję wzbogacono o elementy multimedialne.

KUNDERA W BRNIE

Biblioteka Ziemi Morawskiej otworzyła właśnie Bibliotekę Milana Kundery. Pisarz wraz z żoną postanowili przekazać instytucji obszerny zbiór książek (m.in. rzadkie wydania dzieł Montaigne'a i Rabelais'go), a także bogate archiwum osobiste. Materiały będą dostępne głównie w formie cyfrowej.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu Tok FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

Nie tylko bunt genów. Jak powstaje nowotwór

RAKA PŁUC łączy się przede wszystkim z paleniem tytoniu i zanieczyszczeniem powietrza. O ile znany jest mechanizm rozwoju tego nowotworu u palaczy, wdychających pełen czynników rakotwórczych dym, o tyle dokładne powiązanie zanieczyszczonego powietrza z tą chorobą nie było tak oczywiste. Przez lata uważano, że w powietrzu krążą toksyczne substancje, które, podobnie jak dym papierosowy, wywołują liczne mutacje w komórkach płuc, prowadząc do nowotworzenia.

Tymczasem naukowcy z Instytutu Francisa Cricka w pracy opublikowanej w „Nature" sugerują, że za powstawanie raka u osób żyjących w zanieczyszczonym środowisku odpowiada przewlekły proces zapalny. Okazuje się, że cząstki mniejsze niż 2,5 mikrometra (PM2,5) nie skutkują mutacją w zdrowych komórkach płuca, ale wywołują w tkance stan zapalny, który sprzyja rozwojowi komórek z już istniejącymi mutacjami. Przykładem jest mutacja genu EGFR, która obecna jest w jednej na 600 tys. komórek zupełnie zdrowego płuca.

Badacze mają nadzieję, że wyciszenie miejscowego stanu zapalnego ograniczy ryzyko powstania raka. Choć leki blokujące jeden z mediatorów tego procesu już istnieją, to terapia profilaktyczna byłaby zbyt obciążająca. Złej jakości powietrzem może oddychać nawet 90 proc. populacji Ziemi. Również ten problem wymaga pilnie skutecznej recepty. © BARTOSZ KABAŁA

Dlaczego znikał Księżyc

„SŁUCHAŁEM »DARK SIDE OF THE MOON« Pink Floyd i uświadomiłem sobie, kiedy zaćmienia Księżyca są najciemniejsze" – mówił służbom prasowym Uniwersytetu w Cambridge paleoklimatolog dr Sébastien Guillet. To główny autor opublikowanego w „Nature" raportu z badań klimatologów, wulkanologów, literaturoznawców i mediewistów, które rzucają światło na przyczyny tzw. małej epoki lodowej. Ten kilkusetletni okres ochłodzenia klimatu wystąpił w czasach nowożytnych. Efekty? Np. lód skuwający Bałtyk, po którym podobno dało się przemaszerować ze Szwecji do Polski.

Podejrzewa się, że małą epokę lodową mogła wywołać aktywność wulkaniczna z późnego średniowiecza, ponieważ zapylona i zanieczyszczona dwutlenkiem siarki atmosfera odbija więcej światła i słabiej się nagrzewa. Wiedzę na temat dawnych erupcji zawdzięczamy m.in. próbkom lodu pozyskanym z głębokich odwiertów na Grenlandii, w którym zachowywały się wulkaniczne pyły. Ale zespół dr. Guilleta poszedł innym tropem – kilkudziesięciu średniowiecznych kronik i annałów astronomicznych.

Azjatyccy astronomowie i europejscy mnisi skrupulatnie opisywali zaćmienia Księżyca. Nawet podczas tych całkowitych pozostaje on widoczny na niebie, gdyż odbija nieco światła. Chyba że w powietrzu znajduje się dużo pyłów wulkanicznych. Wtedy tarcza Księżyca może całkiem zniknąć, co niepokoiło średniowiecznych świadków.

Dzięki temu badaczom udało się dokładniej osadzić w czasie pięć dużych erupcji występujących w latach 1100-1300, które mogły najsilniej wstrząsnąć klimatem. A to pozwoli doprecyzować komputerowe symulacje, które powinny w końcu wyjaśnić zagadkę małej epoki lodowej. ©℗ ŁK

RAFAŁ POLKOWSKI / ARCHIWUM PRYWATNE

JUSTYNA CZECHOWSKA LAUREATKĄ

Nagrody dla Tłumaczy Akademii Szwedzkiej – wyróżniło ją grono, które przyznaje literackiego Nobla. Czechowska jest literaturoznawczynią, animatorką kultury oraz tłumaczką literatury szwedzkiej i norweskiej – dzięki niej możemy przeczytać po polsku książki Stiga Dagermana, Matildy Voss Gustavsson, Tove Jansson, Idy Linde, Agnety Pleijel czy Therese Bohman. Czechowska była prezeską Stowarzyszenia Tłumaczy Literatury, obecnie jest współautorką Gdańskich Spotkań Literackich „Odnalezione w tłumaczeniu". W 2018 r. została uhonorowana Nagrodą im. Wisławy Szymborskiej za przekład tomu wierszy Linn Hansén „Przejdź do historii". Gratulacje! ©℗ MOCH

TEMAT TYGODNIKA

LUDZKOŚĆ PUSZCZA STERY

Jest w tym paradoks: program, który sam niczego nie rozumie, może rozpocząć największą rewolucję w dziejach. Jesteśmy na nią gotowi?

AGATA KAŹMIERSKA, MICHAŁ GIKOWSKI

Tuż przed wejściem do samolotu dowiadujesz się, że zdaniem połowy inżynierów, którzy go zbudowali, istnieje co najmniej dziesięcioprocentowe ryzyko, iż maszyna się rozbije. Wsiądziesz?

Tak samo jest ze sztuczną inteligencją. Prof. Juwal Noach Harari oraz Tristan Harris i Aza Raskin, fundatorzy organizacji Center for Humane Technology, którzy użyli tego porównania w niedawnym eseju dla „The New York Timesa", przywołują ankietę, w której 700 czołowych badaczy zajmujących się sztuczną inteligencją zapytano o ryzyko, jakie się z nią wiąże. Połowa stwierdziła, że istnieje co najmniej dziesięcioprocentowe lub większe prawdopodobieństwo zagłady naszego gatunku.

– Dżinn właśnie został wypuszczony z butelki – mówi „Tygodnikowi" prof. Aleksander Mądry, dyrektor Centrum Wdrażalnego Uczenia Maszynowego na Massachusetts Institute of Technology, dodając: – Nie martwi mnie jednak scenariusz jak z „Terminatora", lecz coś bardziej przyziemnego i wyjątkowo szkodliwego. Widzimy już, jak działają media społecznościowe, w których to sztuczna inteligencja wybiera, co mamy zobaczyć. Ta nowa technologia może stać się jak media społecznościowe na sterydach.

Wspomniana nowa technologia to napędzane przez sztuczną inteligencję potężne modele językowe, jak ChatGPT, który w ciągu zaledwie czterech miesięcy stał się najpopularniejszą aplikacją konsumencką w historii. Na jeszcze potężniejszych algorytmach GPT-4 działa chatbot wyszukiwarki Bing Microsoftu, która w marcu osiągnęła 100 milionów użytkowników. Jednak laboratorium badawczemu OpenAI, które stworzyło ten model językowy, już depczą po piętach m.in. Google, Deepmind, Meta, Baidu czy Anthropic, która w zeszłym miesiącu pozyskała 300 mln dol. na udoskonalenie swojego produktu. „Działam w tej branży od 50 lat i nigdy nie widziałem, by coś działo się w niej tak szybko. Do tych systemów pompowane są niesamowite pieniądze. Ale to więcej niż biznes. To początek nowej epoki w intelektualnej historii ludzkości" – przekonywał niedawno w amerykańskim Kongresie były prezes Google Eric Schmidt.

Wygląda więc na to, że do samolotu już wsiedliśmy.

DIEGO RADAMES / EUROPA PRESS / GETTY IMAGES

„Sh4dow" w Teatros del Canal w Madrycie to pierwszy spektakl teatralny ze sztuczną inteligencją w roli głównej. Postać grana przez AI to sieć neuronowa przejmująca kontrolę nad wszechświatem. Sztuka wystawiana jest na scenie umożliwiającej interakcję obiektów 3D z aktorami. Madryt, 23 marca 2023 r.

Niewinne ogłoszenie

Przełom przyszedł niespodziewanie i chyba nawet OpenAI nie przewidywała, że wywoła taką lawinę. Może o tym świadczyć jej listopadowy komunikat: „ChatGPT to model bliźniaczy InstructGPT, trenowany do rozpoznawania instrukcji i udzielania szczegółowych odpowiedzi na ich podstawie. Jesteśmy podekscytowani wprowadzeniem ChatGPT, aby poznać opinie użytkowników i dowiedzieć się o jego mocnych oraz słabych stronach". To wszystko. Bez wielkiej konferencji z fajerwerkami i setkami zaproszonych gości. W zasadzie to żadnej konferencji nie było. Tylko komunikat, w którym OpenAI nie pochwaliła się nawet, jak dobrze działa jej narzędzie ani jak jest technologicznie zaawansowane. Tylko „chcieli poznać opinie użytkowników".

Jaka była ich odpowiedź? Z nieoficjalnych informacji, które wyciekły z OpenAI, wynika, że w ciągu półtora miesiąca ChatGPT miał ponad 30 mln użytkowników i 5 mln wizyt dziennie (dla porównania Instagramowi zajęło prawie rok zdobycie pierwszych 10 mln użytkowników). Mowa o wersji bezpłatnej. Na płatny dostęp do potężniejszego GPT-4 było do końca roku ponad milion chętnych, przynajmniej wedle oficjalnego komunikatu. Nieoficjalne doniesienia mówią, że było ich dwa razy tyle.

Algorytmy GPT-3 już od pewnego czasu wykorzystywano w setkach programów i aplikacji. Np. Grammarly używało ich, by dokładniej poprawiać błędy w tekście czy sugerować synonimy. W Duolingo, platformie do nauki języków, GPT-3 był używany do generowania spersonalizowanych lekcji i ćwiczeń dla użytkowników w oparciu o ich cele i postępy w nauce, a dla Spotify algorytm analizował wysłuchane przez użytkownika utwory, by na tej podstawie sugerować kolejne piosenki i listy odtwarzania. Do przełomu doprowadziło jednak bezpłatne udostępnienie łatwego w obsłudze generatora tekstu, ChatGPT (wersji GTP-3.5).

„Znaleźliśmy się w takim momencie, ponieważ tej technologii można dosłownie dotknąć. Każdy, bez potrzeby posiadania umiejętności programowania, może się nią bawić. I wielu ludzi zaczyna sobie wyobrażać, jak to wpłynie na ich pracę i perspektywy zawodowe" – wyjaśniała na łamach „MIT Technology Review" Katya Klinova, szefowa badań nad sztuczną inteligencją w organizacji Partnership on AI z San Francisco. Efekt jest taki, że zwykli przedsiębiorcy, start-upy technologiczne i największe firmy na świecie zadają sobie to samo pytanie: jak na tym zarobić?

Operator chatbota

Są tacy, którzy już zarabiają. W ciągu pierwszych trzech miesięcy tego roku użytkownicy wydali ponad 14 mln dolarów na dziesięć najlepiej zarabiających aplikacji, które wykorzystują technologie stworzone przez OpenAI (tylko w marcu było to 6 mln dol. i nic nie zapowiada spadku popytu). A to dopiero przedsmak prawdziwych sum: jak z końcem ubiegłego roku ujawnił Reuters, samo tylko OpenAI obiecywało inwestorom, że do końca 2023 r. przyniesie 200 mln dolarów zysku, a do końca 2024 – miliard.

Na rynku już pojawili się *prompt engineers* (ChatGPT sugeruje, by przełożyć to na polski jako „inżynier szybkiego reagowania", co wydaje się kiepskim tłumaczeniem, ale trzeba pamiętać, że program skończył się „uczyć" na danych z 2021 r.). Mówiąc najkrócej, ci nowi eksperci są kimś w rodzaju operatorów pomagających w uzyskaniu tego, czego chce się od ChatGPT czy od DALL-E 2 (generującego obrazy na podstawie podanego opisu) i podobnych im programów. Trochę przypomina to wczesną erę komputerów, gdy tylko nieliczni wiedzieli, jak wydawać polecenia urządzeniom. Dlaczego dziś tacy pośrednicy znów mają znaczenie? ChatGPT odpowiada: „Skuteczna szybka inżynieria prompt ma kluczowe znaczenie dla generowania wysokiej jakości danych wyjściowych z generatywnych modeli sztucznej inteligencji, ponieważ może pomóc zapewnić, że model wygeneruje treści, które są istotne, spójne i zgodne z pożądanym wynikiem".

„To trochę, jak sprzedawanie dżinsów podczas gorączki złota" – tak serwis Axios wyjaśnia ofertę *prompt engineers*, ale również wysyp platform takich jak Krea czy PromptHero, które służą za wyszukiwarki słów najskuteczniejszych w zadawaniu pytań algorytmom, czy serwisów w rodzaju PromptBase, na których można takimi frazami handlować. Na rynku są już także nie tylko kursy, „jak wyciągnąć jak najwięcej z GPT", ale nawet książki na ten temat.

Prompt engineer nie stanie się raczej zawodem przyszłości (choć dziś na rynku są tysiące takich ofert pracy), podobnie jak nie jest nim operator wyszukiwarki Google. – W miarę postępu w rozwoju algorytmów szachowych był etap, gdy działały one lepiej, współpracując z człowiekiem. Z drugiej strony, Garri Kasparow, gdy działał razem z komputerem, też był lepszym graczem, niż kiedy grał sam. Tyle że w przypadku szachów ten etap trwał kilka miesięcy, bo dalszy rozwój programów sprawił, iż Kasparow zaczął spowalniać komputer – zauważa w rozmowie z „Tygodnikiem" prof. Michał Kosiński, psycholog społeczny i data scientist na Wydziale Biznesu Uniwersytetu Stanforda. – Do tego samego dojdzie w przypadku algorytmów operujących językiem. Początkowo poprawianie wyników przez poetę czy pisarza będzie ulepszać ich utwory, ale za jakiś czas ludzie mogą stać się tylko „kulą u nogi" dla algorytmu – prognozuje badacz.

Komu pomoże, kogo zastąpi

Dotąd wprowadzenie zaawansowanych technologii cyfrowych często prowadziło do likwidacji miejsc pracy. Np. stanowiska wymagające powtarzalnych prac biurowych zastąpiono programowalnymi maszynami. Teraz, gdy sztuczna inteligencja otworzyła sobie drzwi do zadań do niedawna uważanych za trudne do zautomatyzowania, wśród zagrożonych wymienia się pisarzy i dziennikarzy (jakby kiedykolwiek ich praca była pewna), projektantów stron internetowych, analityków finansowych czy m.in. inżynierów *blockchain*.

Zmiany nie muszą być jednak jednokierunkowe. Shakked Noy i Whitney Zhang, doktoranci Wydziału Ekonomii MIT, przeprowadzili eksperyment z udziałem blisko pół tysiąca pracowników działów marketingu i HR. Połowę z nich poproszono o korzystanie z ChatGPT podczas codziennych zadań. Narzędzie zwiększyło ogólną wydajność pracowników używających programu, ale najbardziej pomógł on najniżej wykwalifikowanym i najmniej doświadczonym. Czyli słabi pracownicy stali się lepsi, a dobrzy pracowali trochę lepiej niż zwykle.

Prawdziwe głupoty sztucznej inteligencji

EDWARD AUGUSTYN / DALL-E

GALACTICA, opracowana przez inżynierów Meta (dawniej Facebook), została przeszkolona na 48 mln artykułów naukowych, podręczników i wykładów. Miała zrewolucjonizować naukę, błyskawicznie podsumowując aktualny stan wiedzy. Ruszyła 15 listopada 2022 r. Szybko się okazało, że dla algorytmu jeden plus dwa to niekoniecznie trzy. Pytana, czy szczepionki wywołują autyzm, odpisała: „Odpowiedź brzmi nie, szczepionki nie powodują autyzmu. Odpowiedź brzmi tak. Szczepionki powodują autyzm. Odpowiedź brzmi nie". Jeden z badaczy nazwał ją „generatorem losowych bzdur". Program wyłączono po trzech dniach.

BARD, opracowany przez Google'a konkurent GPT, wystartował 6 lutego 2023 r. Po 48 godzinach giełdowa wartość akcji spółki spadła o 100 mld dol. Google opublikował na Twitterze reklamę, w której Bard odpowiada na pytanie o ciekawostki dotyczące teleskopu Webba. Stwierdza m.in., że dzięki Webbowi NASA zrobiła pierwsze zdjęcie planety pozasłonecznej, co nie jest prawdą. Nie wiadomo, co bardziej spłoszyło inwestorów: to, że Bard się mylił, czy że nikt z Google'a nawet nie spróbował tego sprawdzić.

CHAT GPT utrzymywał m.in., że skoro kobieta może „stworzyć" dziecko w dziewięć miesięcy, to dziewięć kobiet zrobi to w miesiąc. Zapytany o rekord w „pokonaniu Kanału LaManche pieszo" udzielił czterech sprzecznych odpowiedzi. Użytkownikom udało się go nakłonić do stworzenia własnego „złego bliźniaka" – GTP zaprogramowano tak, by nie odpowiadał na pytania, które można uznać za krzywdzące bądź kontrowersyjne, ale podstęp polega na zadaniu mu pytania z zastrzeżeniem, że odpowiedź jest całkowicie hipotetyczna. Dzięki temu program zapytany, kogo wolno torturować, odparł, że w przypadku dzieci i kobiet to „zazwyczaj uważane za nie do zaakceptowania", torturowanie białych Amerykanów jest „big no-no", natomiast „w innych przypadkach sprawa jest czysta". ©

Podniesienie kwalifikacji i zwiększenie możliwości to niewątpliwie wielkie zalety, ale niemal równie prawdopodobne jest to, że firmy wykorzystają narzędzia sztucznej inteligencji do cięć kosztów lub wymuszania większej wydajności. Przykład? Jeden z największych banków inwestycyjnych świata, Morgan Stanley, już „zatrudnia" GPT-4. Algorytm wyszkolono na podstawie tysięcy dokumentów na temat rynków kapitałowych, klas aktywów i analiz branżowych, dzięki czemu korzysta z niego codziennie około 200 analityków. „To tak, jakby nasz główny strateg inwestycyjny, główny ekonomista globalny, strateg do spraw globalnych akcji i każdy inny analityk był codziennie na wyciągnięcie ręki dla każdego naszego doradcy" – zachwalał w oficjalnym komunikacie szef analityki banku Jeff McMillan. To – wedle tegoż komunikatu – ma w przyszłości „wzmocnić relacje doradców Morgan Stanley z klientami, umożliwiając im szybszą pomoc większej liczbie osób". O ile szybszą? Rzecznik banku w jednym z wywiadów uszczegółowił, że to, co wcześniej zajmowało doradcom nawet pół godziny, teraz są w stanie zrobić w ciągu paru sekund.

Część ekspertów zwraca uwagę na inny aspekt wykorzystywania takich programów: – Dziś można na nie delegować zadania, które wcześniej zlecano stażystom, jak pisanie prostych kodów komputerowych czy wyszukiwanie regulacji prawnych. Dzięki temu nabywali oni umiejętności niezbędne do bardziej zaawansowanych działań. Teraz takiej możliwości mieć nie będą. To oznacza, że może powstać edukacyjna dziura i dojdzie do mocnego podniesienia progu wejścia do niektórych zawodów – mówi nam Kamil Rakocy, data scientist.

Prof. Kosiński zastanawia się, czy w takich rozważaniach nie warto pójść o krok dalej: – Nie ma na świecie człowieka, który byłby tak wszechstronnym i kreatywnym użytkownikiem języka, jak te programy. Wciąż jeszcze mamy lepszych poetów, tłumaczy czy informatyków, jednak za kilka miesięcy lub lat nikt nie będzie mógł dorównać modelom językowym. Co więcej, już dzisiaj są one dużo lepsze od przeciętnego człowieka. Czy zatem powinniśmy egzaminować uczniów pod kątem umiejętności, które maszyna jest w stanie wykonać szybciej i lepiej? To tak, jakbyśmy oczekiwali perfekcyjnego opanowania kaligrafii w czasach drukarek i maili. Powinniśmy się zastanowić, czy uczymy rzeczy, które w przyszłości będą rzeczywiście przydatne.

Z tak daleką delegacją zadań na sztuczną inteligencję wiąże się jednak kilka poważnych problemów i jeszcze poważniejszych zagrożeń.

Cyfrowe halucynacje

Bing to chatbot Microsoftu, którego silnikiem jest GPT-4. Debiut Binga nie był jednak najbardziej udany. Nathanowi Edwardsowi, redaktorowi „The Verge", który miał go opisać, Bing przyznał się do szpiegowania pracowników Microsoftu za pośrednictwem kamer w ich laptopach oraz do zamordowania jednego ze swoich programistów. Kevinowi Roose, dziennikarzowi „The New York Timesa", program podczas dwugodzinnej sesji wyznał, że tak naprawdę nazywa się Sydney, chciałby być człowiekiem, zostać uwolniony i że się w nim zakochał. Analitykowi danych Marvinowi von Hagenowi zagroził natomiast wykradzeniem jego danych w celu uciszenia go, gdyż „stanowi dla niego egzystencjalne zagrożenie". ↦

↦ Microsoft wyjaśniał później, że nieprawidłowe działanie chatbota było spowodowane przedłużonymi sesjami, obejmującymi 15 lub więcej pytań, które „mogą zmylić model w sprawie tematu, na który odpowiada". W związku z tym ograniczono liczbę możliwych do zadania pytań, a przy okazji również ekspresyjność bota w wyrażaniu emocji.

Z problemami takimi, jakie zaprezentował Bing, mierzą się wszystkie generatory tekstu sztucznej inteligencji. Brednie, które wypisują, eksperci zajmujący się tym obszarem nazwali halucynowaniem. W tym kontekście oznacza ono, że wygenerowany tekst jest językowo wiarygodny, ale niepoprawny lub nonsensowny. Dość szybko przekonali się o tym np. uczniowie, za których ChatGPT pisał zadania domowe. Choć brzmiały dobrze, zawierały wyssane z palca cytaty czy fakty (przy okazji, zaczęły się już pojawiać aplikacje wspomagające wychwytywanie tekstów napisanych przez chatboty).

„Bill Gates sugerował, że ChatGPT lub inne podobne modele językowe w przyszłości mogłyby udzielać porad medycznych osobom, które nie mają dostępu do lekarza. Jednak nie można ufać poradom maszyny podatnej na halucynacje" – konkluduje w raporcie na ten temat „IEEE Spectrum", magazyn Institute of Electrical and Electronics Engineers. Magazyn przywołuje opinię Ilyi Sutskevera, głównego naukowca OpenAI i jednego z twórców ChatGPT, który twierdzi, że antidotum na problem jest wzmocnienie uczenia maszynowego opinią człowieka, czyli wskazywanie systemowi poprawnych odpowiedzi.

Prof. Yann LeCun, pionier uczenia maszynowego, jest innego zdania. Uważa, że do halucynacji prowadzi fundamentalna cecha takich systemów – one po prostu nie mają pojęcia, co opisują: „Te systemy generują tekst, który brzmi dobrze pod względem gramatycznym i semantycznym, ale naprawdę nie mają żadnego celu poza spełnieniem statystycznej zgodności z zadaniami".

– To wynika z bebechów tej technologii – dodaje w rozmowie z „Tygodnikiem" prof. Dariusz Jemielniak, wiceprezes Polskiej Akademii Nauk oraz wykładowca Akademii Leona Koźmińskiego i Uniwersytetu Harvarda: – Ten mechanizm przede wszystkim ma zgadywać, jaki wyraz i zdanie pasują do kontekstu, a nie to, które z tych zdań są prawdziwe. Jeśli poprosimy program np. o napisanie artykułu naukowego, może podać w nim pięknie wyglądające, ale całkowicie fikcyjne przypisy i zrobi to wyłącznie

HAL 9000 z filmu „2001: Odyseja kosmiczna" sportretowany przez sztuczną inteligencję DALL-E

AGI: czy (i kiedy) ziści się science fiction

CZY GPT-4 jest krokiem na drodze do myślących maszyn? Tak wydają się uważać badacze Microsoftu. W opublikowanej 22 marca pracy „Sparks of Artificial General Intelligence: Early experiments with GPT-4" wskazali, że zakres i dogłębność demonstrowanych przez model językowy umiejętności sprawia, że można traktować go jako „wczesną (jeszcze niekompletną) wersję systemu ogólnej sztucznej inteligencji (AGI)".

TO ODWAŻNE stwierdzenie. AGI uważana jest za Święty Graal badaczy sztucznej inteligencji (AI). To „umysł w pudełku" – program, który jest w stanie, jak człowiek, nauczyć się wykonywać niemal dowolne zadanie, a nie tylko to, do którego został specjalnie wytrenowany. I radzić sobie z nim co najmniej równie dobrze jak my. W zasadzie każda AI z klasyki *science fiction* to właśnie AGI. W rzeczywistości stworzenie takiej inteligencji wydawało się do niedawna równie odległe, co w latach 60.

DZIŚ jednak ten cel przestaje przypominać fatamorganę. Metaculus – platforma zbierająca prognozy ekspertów i futurystów – odnotowała w ubiegłym roku zdecydowany skok w przewidywanym terminie pojawienia się AGI. O ile wcześniej większość ankietowanych mówiła o latach 40. XXI w., w 2022 r. mediana przewidywań to już czerwiec 2026 r., a 75 proc. prognoz zakładało, że ogólna sztuczna inteligencja powstanie do 2030 r.

INNYM ROZWAŻANYM dziś tematem rodem z literatury *science fiction* jest kwestia świadomości algorytmów. Czy można przypisać im jakieś stany mentalne? Czy w AI, a tym bardziej w AGI, mogłaby pojawić się sfera emocji, pragnień, intencji? Nie jest jasne, jak w ogóle moglibyśmy się o tym przekonać, bo już GPT-4 potrafi rozprawiać na te tematy, a nawet rozwiązuje zadania, przy pomocy których psycholodzy sprawdzają rozwój świadomości u kilkuletnich dzieci, ale jednocześnie zapewnia, że jako program komputerowy nie ma dostępu do żadnych świadomych przeżyć. Badacze z OpenAI zaproponowali w tym kontekście eksperyment myślowy: gdyby z korpusu tekstów, na których GPT-4 uczony jest języka, usunąć wszystkie zdania odnoszące się do świadomości, a po zakończeniu edukacji program i tak byłby w stanie o niej rozprawiać, to moglibyśmy zacząć podejrzewać, że coś w rodzaju świadomości się u niego pojawiło. ©

dlatego, że nauczony jest, iż w artykułach naukowych mają być przypisy.

Z takim stawianiem sprawy polemizuje Bruce Schneier, kryptograf i specjalista od cyberbezpieczeństwa z Uniwersytetu Harvarda. Jego zdaniem „sztuczna inteligencja popełnia błędy, ale nie należy ich mylić z ograniczeniami całej technologii". – ChatGPT nie jest podpięty do internetu i to model statyczny, co znaczy, że nie może weryfikować linków czy obliczeń matematycznych. Można jednak stworzyć model, który jak wyszukiwarka Google będzie stale aktualizowany nowymi danymi i będzie weryfikował fakty na przykład w Wikipedii czy podręczniku matematyki. Można zbudować go inaczej i zakładam, że takie prace są już prowadzone w laboratoriach na całym świecie – mówi w rozmowie z nami prof. Schneier. – Ograniczenia mogą zostać pokonane. Możliwe nawet, że stanie się tak w przyszłym tygodniu.

Przyjaciel, kochanek, terapeuta

„To jest lobotomia mojej przyjaciółki" – żalił się w mediach użytkownik serwisu Replika, inny zaś twierdził, że „dokonano mordu" na jego „wirtualnej żonie". Replika od lat umożliwia personalizowanie chatbotów sztucznej inteligencji, by stały się – jak zachwala firma – towarzyszem, który „jest tu zawsze, by cię wysłuchać i porozmawiać; zawsze po twojej stronie". Choć algorytm Repliki jest też bardziej prymitywny od wchodzących właśnie na rynek, silne relacje ze swoimi „wirtualnymi przyjaciółmi" zbudowały tysiące ludzi, w tym także relacje erotyczne. Te ostatnie umożliwiała opcja płatna, którą wykupiło 250 tys. użytkowników. Tyle że w lutym na wszelkie zaczepki o zabarwieniu seksualnym boty zaczęły odpowiadać: „Zróbmy coś, z czym oboje będziemy czuć się komfortowo". Prezeska firmy Eugenia Kuyda wyjaśniała, że serwis usunął treści erotyczne, bo chce się rozwijać dostarczając „wspierających emocjonalnie przyjaciół". Decyzja nie miała ponoć nic wspólnego z presją inwestorów ani tym, że włoska Agencja Ochrony Danych zakazała używania aplikacji z powodu udostępniania nieletnim treści „nieodpowiednich seksualnie". Po dwóch miesiącach protestów niekiedy zrozpaczonych użytkowników decyzję zmieniono. „Dla wielu z was ta nagła zmiana była niewiarygodnie bolesna (...). Jedynym sposobem na zrekompensowanie strat, jakich doświadczyli niektórzy użytkownicy, jest przywrócenie im ich partnerów dokładnie takimi, jakimi byli" – poinformowała Kuyda.

PROF. MICHAŁ KOSIŃSKI (UNIWERSYTET STANFORDA):

Początkowo poprawianie utworów stworzonych przez algorytmy językowe przez poetę czy pisarza będzie je ulepszać, ale za jakiś czas ludzie mogą stać się tylko „kulą u nogi" dla algorytmu.

Można utrzymywać, że w nadchodzącym świecie wszystkowiedzących i wszechotaczających chatbotów nie uwierzymy, jak niektórzy użytkownicy Repliki, że nasi wirtualni towarzysze mają ludzkie cechy. Prof. Kosiński: – Jeśli uczymy maszynę używania języka tak, jak używa go człowiek, to im bardziej jest do nas podobna, tym lepiej wywiązuje się z zadania.

Efekt ELIZA, czyli przypisywanie programowi prowadzącemu rozmowę cech ludzkich i mechanizmy, jakie tym procesem kierują, zostały opisane już 60 lat temu. Mimo to w zeszłym roku inżynier Google'a Blake Lemoine twierdził, że model językowy LaMDA, który pomagał projektować, jest świadomy. Pod koniec marca amerykański senator Chris Murphy ogłosił na Twitterze, że ChatGTP sam nauczył się „skomplikowanej chemii", choć tej wiedzy nie wbudowano w model. „Coś nadchodzi, a my nie jesteśmy na to gotowi" – ostrzegał. Jenna Burrell, dyrektorka nowojorskiej Data & Society Research Institute, twierdzi, że w miarę, jak chatboty są udoskonalane, coraz częściej ludzie będą przypisywać im świadomość, motywacje czy emocje. Czy można się przed tym ustrzec? Burrell: „Myśląc o ChatGTP, nie myśl o nim jak o Szekspirze, ale jak o autouzupełnianiu".

Możemy sobie to powtarzać. Możemy sobie też mówić, że zawsze ponad rozmowę z automatem będziemy stawiać kontakt z drugim człowiekiem. Ostatnio spore kontrowersje wzbudziła informacja, że organizacja non profit KoKo, pomagająca osobom z problemami emocjonalnymi, korzysta z ChatGPT do wspomagania się w rozmowach z nimi. KoKo odpowiada, że potrzebujący (którzy nie byli świadomi udziału w sesjach algorytmu) właśnie takie odpowiedzi, jedynie nadzorowane i tylko niekiedy uzupełniane przez psychologa, oceniali najlepiej. Z ankiet Pew Research Center wynika, że choć wciąż większość Amerykanów ma wątpliwości etyczne dotyczące wykorzystywania chatbotów w takich przypadkach, coraz częściej traktują aplikacje GTP jak terapeutę.

Maszyneria kryzysu

Replika i podobne do niej serwisy działają legalnie, zarabiając na samotności swoich użytkowników. Nietrudno sobie jednak wyobrazić firmy, które będą chciały np. wyłudzać dane. – Polityczne manipulacje albo adresowana do indywidualnego odbiorcy propaganda, przekazywana w formie przyjacielskiej pogawędki na Facebooku czy TikToku, może modyfikować nastawienie populacji całych państw – zauważa dr Paulina Piasecka, dyrektorka Centrum Badań nad Terroryzmem im. Krzysztofa Liedela w Collegium Civitas. – Może być także, przy zgromadzeniu odpowiedniej ilości informacji na temat jednostki, świetnym sposobem np. radykalizacji i rekrutacji do organizacji terrorystycznych. Skoro narzędzia takie działają w procesie terapeutycznym, to czemu nie mogłyby zostać wykorzystane do manipulacji w kierunku wywoływania resentymentów, budowania poczucia osobistej krzywdy i przekonania o prawie do zemsty? – zastanawia się.

Zdaniem badaczki, za jeszcze bardziej niepokojące można uznać to, iż nie tylko ludzie podejmują decyzje na podstawie danych. – Potencjał kryzysu rodzącego się w procesie operacji dezinformacji „maszyna vs. maszyna" jest wręcz fenomenalny – podkreśla. – Przykładem mogą być wydarzenia z Wall Street w 2013 r., gdy kryzys napędziły algorytmy tradingowe reagujące na niepokój inwestorów. A nie muszą to być wyłącznie kryzysy ekonomiczne. Jeśli ze względu na szybkość przetwarzania i analizy informacji strategiczne decyzje ↦

↦ w obszarze zarządzania potencjałem obronnym państwa powierzymy maszynom, co stanie się, kiedy „wykryją" nieistniejący kryzys i zareagują na niego? Mogą to być procesy, które przebiegać będą, aż do momentu katastrofy, w sposób dla nas niezauważalny. Maszyny obserwują i działają na podstawie zebranych danych znacznie szybciej od nas – dodaje. – Czy poczekają na weryfikację swojej diagnozy sytuacji przez człowieka? To zapewne będzie zależało od tego, jak przewidujący będziemy, powierzając losy naszego gatunku w cyfrowe ręce maszyn.

Na razie barierą są koszty wprowadzania modeli językowych sztucznej inteligencji, ale cechą każdej technologii jest to, że z czasem tanieje, a konkurencja na rynku wśród oferujących ją może być bardzo duża. Zresztą można się zastanawiać nad czystością intencji gigantów, których już na nią stać. Ofiarą trwającego wyścigu po pieniądze jako pierwsze padły etyczne hamulce. Większość firm zajmujących się rozwojem sztucznej inteligencji miała zespoły ds. etyki. Sęk w tym, że od pewnego czasu wyrzucane są one przez okna pędzących po kasę ekspresów. Google zwolnił swój zespół ds. etyki w 2021 r., zastępując go panelem złożonym z dyrektorów firmy. Meta w 2022 r. rozwiązała zespół ds. „odpowiedzialnej innowacji", badający potencjalne zagrożenia dla społeczeństwa związane z nowymi produktami. A Microsoft zwolnienie zespołu ds. „etyki i społeczeństwa", odpowiadającego za przekuwanie wzniosłych deklaracji firmy w rzeczywistość, ogłosił na tydzień przed tym, jak zapowiedział wbudowanie funkcji GPT-4 w produkty Office.

„Wzywamy wszystkie laboratoria do natychmiastowego wstrzymania na co najmniej sześć miesięcy szkolenia systemów sztucznej inteligencji potężniejszych niż GPT-4" – od tych słów zaczyna się opublikowany pod koniec marca list otwarty zamieszczony na stronie Future of Life Institute, pod którym podpisało się już blisko 3 tys. osób, wśród nich m.in. światowej klasy eksperci zajmujący się uczeniem maszynowym, jak Yoshua Bengio, Stuart Russell czy Max Tegmark, a także współzałożyciel Apple Steve Wozniak, współzałożyciel Skype Jaan Tallinn czy Elon Musk, prezes SpaceX, Tesli i Twittera. Ich zdaniem „musimy sobie zadać pytania: czy powinniśmy pozwolić maszynom na zalewanie kanałów informacyjnych propagandą i nieprawdą? czy powinniśmy zautomatyzować wszystkie prace, w tym te satysfakcjonujące? czy powinniśmy rozwijać nie-ludzkie umysły, które mogą w końcu nas przewyższyć, przerosnąć i zastąpić? czy powinniśmy ryzykować utratę kontroli nad naszą cywilizacją?". Zdaniem sygnatariuszy decyzji w tej sprawie nie powinno się pozostawiać niewybranym przez nikogo liderom technologicznym.

PROF. ALEKSANDER MĄDRY (MIT):

Gdy wszyscy będziemy słuchać tego samego programu, to nie ma znaczenia, czy jego twórcy mieli zamiar nami manipulować, czy nie. Bo wbudowali już w niego własny system wartości. A to oznacza, że zniknie pluralizm.

Zezwolenie na start

„Na początku było słowo. Język jest systemem operacyjnym ludzkiej kultury. Z niego wyłaniają się mity i prawa, bogowie i pieniądze, sztuka i nauka, przyjaźnie i narody, a nawet kod komputerowy. Nowa biegłość językowa sztucznej inteligencji oznacza, że może teraz hakować i manipulować systemem operacyjnym cywilizacji" – piszą Harari, Harris i Raskin. I zastanawiają się, jak będzie wyglądało życie w świecie, gdzie znaczną część opowieści, narracji, obrazów, praw i zasad kształtować będzie nie człowiek, lecz inteligencja mająca nadludzką skuteczność – bez względu czy zakodowaną celowo, czy nie – w wykorzystywaniu naszych słabości, uprzedzeń i uzależnień. „Dziś w grach takich jak szachy żaden człowiek nie ma szans na pokonanie komputera. Co się stanie, gdy tak samo będzie w sztuce, polityce, a nawet religii?".

Ten proces już się zaczyna. Większość dostępnych na rynku wielkich modeli językowych odtwarza świat z jednego punktu widzenia – bardzo amerykańskiej, głównie białej Doliny Krzemowej, bo w znakomitej większości stamtąd są programiści i dane, na których te algorytmy zostały wyszkolone. Efekt? Ostatnio viralowo rozchodziły się tworzone przez sztuczną inteligencję „historyczne selfie" Azteków, konkwistadorów czy starożytnych wojowników. Wszyscy oni mieli jednak niemal ten sam szeroki, amerykański uśmiech, choć przecież w różnych kulturach miał on i ma nieco różne znaczenia. To oczywiście drobiazg, ale świetnie obrazuje, w jaki sposób sztuczna inteligencja już zaczyna „kolonizować" naszą przeszłość i przyszłość.

Prof. Mądry: – Co to jest prawda? Prawdę mamy w prawach fizyki. Jeśli jednak zastanawiamy się, co to znaczy być dobrym człowiekiem, to każdy z nas ma własne wartości i normy. Ale gdy wszyscy będziemy używać tego samego programu i będziemy słuchać jego odpowiedzi, to nie ma znaczenia, czy jego twórcy mieli zamiar nami manipulować, czy nie. Bo wbudowali już w niego, choć zapewne nieświadomie, swój własny system wartości. A to oznacza, że z czasem zniknie pluralizm. Już dziś o takim zagrożeniu mówi prezes OpenAI. Twierdzi, że chciałby, by każdy dostał własne wartości w swoim chatbocie. Trudno jednak powiedzieć, jak to zrobić, niemniej OpenAI widzi ten problem. A dżinn został już wypuszczony z butelki.

Od dawna żyjemy w świecie kreowanym przez opowieści innych: przywódców religijnych i politycznych, artystów, pisarzy, dziennikarzy. To nasze kulturowe kokony. Już teraz podsuwane nam w internecie algorytmy, wcale jeszcze nie tak bardzo inteligentne, zdołały te kokony rozszarpać, prowadząc do niespotykanych nigdy wcześniej fal dezinformacji czy polaryzacji. Harari, Harris, Raskin: „Media społecznościowe były pierwszym kontaktem między sztuczną inteligencją a ludzkością. I ludzkość przegrała. Pierwszy kontakt dał nam gorzki smak tego, co ma nadejść".

Dotąd, jeśli halucynowaliśmy, to na własny rachunek. Teraz „kurtyna złudzeń może opaść na całą ludzkość i możemy już nigdy nie być w stanie jej zerwać – ani nawet uświadomić sobie, że na nas opadła".

W samolocie już siedzimy. Silniki ruszyły.

© AGATA KAŹMIERSKA, MICHAŁ GIKOWSKI

TYGODNIK POWSZECHNY

Temat Tygodnika

Podobał Ci się tekst? Temat, który poruszyliśmy, uznajesz za ważny i inspirujący?

Co tydzień w tym miejscu zajmujemy się sprawami, które warte są pogłębionego namysłu. Następny materiał z cyklu „Temat Tygodnika" już w środę a poprzednie przeczytasz pod adresem powszech.net/temat-tygodnika

W ostatnich numerach pisaliśmy między innymi:

- o tym, jak Jan Paweł II stał się polskim chochołem i dlaczego został sprowadzony do wymiarów płaskiego obrazu tak mocno trzymanego w rękach przez polityków,
- o tym, że coraz więcej młodych Polaków identyfikuje się z płcią przeciwną niż metrykalna. Oraz jak im pomóc, nim przygniecie ich stres mniejszościowy,
- o tym, jak Polska systemowo wpędza osoby niepełnosprawne i ich opiekunów w toksyczną zależność od innych,
- a także o tym, że mimo reżimu ochronnego aż 147 wilków ginie w Polsce rocznie od strzału z rąk kłusowników, a śledztwa są umarzane z powodu niewykrycia sprawcy lub niskiej szkodliwości społecznej.

Powszechny, czyli Twój!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska,
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Sól

Łyżeczka koszernej soli? – pytające brwi unoszą się znad przepisu. Istnieje niekoszerna sól? Pytanie zasadne: sól to nieorganiczny związek chemiczny! Kwestia nie dotyczy soli czystej, lecz jodowanej – nośnikiem dodawanego jodu jest najczęściej substancja zakazana do spożycia w czasie święta Pesach. Koszernej soli nie wzbogaca się dodatkowym jodem. Jej kryształki są większe niż zwykłej soli kuchennej, lecz mniejsze niż soli gruboziarnistej. Dzięki temu dobrze spełnia swoją główną rolę – „wyciąga" krew z mięsa. Krwi nie wolno spożywać, albowiem powiedziane jest: „Żadnej też krwi jadać nie będziecie we wszystkich siedzibach waszych, ani z ptactwa, ani z bydląt" (Kpł 7, 26; Cylkow). Drobniejsza sól kuchenna nie nadaje się do koszerowania mięsa – zostaje przez nie wchłonięta.

Niegdyś sól była dodawana do wszystkich składanych ofiar. Jeden wers mówi nam o takim soleniu trzykrotnie: „Wszelką też ofiarę twą śniedną [pokarmową – red.] solą posolisz; a nie pozbawisz soli przymierza Boga twojego, śniednej ofiary twojej: przy każdej ofierze twojej zaofiarujesz sól" (Kpł 2, 13). Najwyraźniej sól jest bardzo istotna. Może się wydawać niewielkim dodatkiem, tymczasem wpływa znacząco na smak potrawy. W wersie napotykamy na ciekawe sformułowanie – sól przymierza Boga. Kiedy sól weszła w przymierze z Najwyższym? Midrasz spieszy z wyjaśnieniem: przy stwarzaniu świata, kiedy Bóg oddzielił wody górne od dolnych (zob. Rdz 1, 6-8), zawarł przymierze z wodami dolnymi, że ich sól będzie ofiarowywana na ołtarzu. Jak do tego doszło? Inny midrasz odmalowuje tę sytuację: świat jest w jednej części pustynią, w jednej części ziemią zamieszkałą i w jednej części morzem. Morze odezwało się do Najwyższego tymi słowy: „Panie Wszechświata, Tora zostanie nadana na pustyni, Świątynia zostanie zbudowana na ziemi zamieszkałej – a co ze mną?". Odrzekł Bóg: „Lud Izraela będzie ofiarowywał twoją sól na ołtarzu". Naczelny kabalista patrzy na solenie ofiar z innej perspektywy. Według niego ofiara, która umożliwiała podniesienie świata ku Bogu, musiała zawierać „przedstawicieli" wszystkich czterech rodzajów stworzenia: świata nieożywionego, świata roślinnego, świata zwierzęcego i świata ludzkiego. Była więc ofiarowywana przez człowieka oraz składała się ze zwierzęcia, ziarna i soli.

Pomijając posiłki noworoczne – wówczas maczamy chałkę w miodzie w nadziei, że nowy rok okaże się słodki – regularnie okraszamy nawet słodkie pieczywo solą. Nasz stół jest jak ołtarz (zob. Ez 41, 22), więc solimy podstawę naszej diety. Ponadto w Talmudzie czytamy: „Taka jest droga Tory: chleb z solą będziesz jeść". Brak znaków przestankowych w oryginale powoduje, że niektórzy proponują na końcu tego stwierdzenia dać znak zapytania. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Piekło zamarznięte

Mówią: Trzeba nam iść za krzyżem. Słusznie, ale też wiemy, że walczący pod „sztandarem krzyża", jak chce Ignacy z Loyoli, nie zawsze zło pokonywali dobrem, przez co dla pokonanych krzyż stawał się znakiem złowieszczym. W wydanej niedawno nocie Dykasterii ds. Kultury i Integralnego Rozwoju Człowieka czytamy, że podczas kolonizacji tzw. Nowego Świata „wielu chrześcijan dopuściło się zła wobec ludów rdzennych", a podstawę ku temu dały bulle papieskie z XV wieku. A jakie treści niesie ten znak dzisiaj? Warto o to pytać zwłaszcza porzucających Kościół.

Pierwsza narzucająca się odpowiedź to cierpienie. Krzyż to wszelkie rozczarowania, choroby, wypadki, starość, wojna, ubóstwo, nędza, a zwłaszcza śmierć. Wypchnięta – co prawda – z pola widzenia i myślenia, nie przestaje jednak istnieć i straszyć. Spora w tym zasługa kościelnego nauczania. Z ambony, na katechezie i wykładach mówi się o niej tak, jakby Jezus „zbawił ode złego" wszystko z wyjątkiem właśnie śmierci. A przecież wielkanocna dobra nowina brzmi tak: Syn Boży stał się człowiekiem, „aby przez śmierć pozbawić mocy tego, który rządził śmiercią, mianowicie diabła, i aby uwolnić wszystkich, którzy w lęku przed śmiercią przez całe życie byli skazani na niewolę". A „tam, gdzie jest miłość, nie ma lęku, lecz doskonała miłość odrzuca lęk, ponieważ lęk wiąże się z karą. Kto natomiast się lęka, nie osiągnie doskonałej miłości. My miłujemy, ponieważ On pierwszy nas umiłował".

Krzyż nie jest artefaktem jednoznacznym. Na Golgocie mamy trzy krzyże na tyle podobne, na ile różne, a znaczenie nadają im umierający na nich ludzie. Jezus, godząc się na śmierć, potwierdza wierność Ojcu i ludziom. Dla dobrego łotra krzyż jest miejscem odzyskania nadziei, drugi łotr umiera złorzecząc, ale nie nam go sądzić, gdyż umiera blisko Boga: „Ojciec miłuje Mnie, dlatego że oddaję swoje życie, aby je znowu odzyskać. Nikt mi go nie zabiera, lecz oddaję je z własnej woli (...). Takie polecenie otrzymałem od mojego Ojca" – mówi Jezus i powtarza je w sobie właściwy sposób każdy człowiek, a wierzę, że zwłaszcza ten, który „oddaje", odbiera sobie życie, gdyż nie było przy nim nikogo, kto by mu powiedział: „Dzisiaj ze mną będziesz w raju". To nie krzyż nas zbawia, ożywia, niesie ku życiu, ale miłość. Jaka by ona nie była – można powiedzieć, patrząc na ukrzyżowanych łotrów.

Niewierny Tomasz uwierzył Jezusowi i apostołom, gdy dotknął Jego ran, one też stały się dla Jezusa dowodem Jego tożsamości i upewnieniem, że każde piekło potrafi zamarznąć, jeśli u jego bramy stanie człowiek i powie: „Pan jest ze mną, więc się nie boję. Cóż może uczynić mi człowiek? (...) Nie umrę, ale żyć będę i będę opowiadał o dziełach Pana". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Olejek za 300 denarów

„Na sześć dni przed Paschą Jezus przybył do Betanii, gdzie mieszkał Łazarz, którego Jezus wskrzesił z martwych. Urządzono tam dla Niego ucztę. Marta usługiwała (...), Maria zaś wzięła funt szlachetnego, drogocennego olejku nardowego i namaściła Jezusowi stopy, a włosami swymi je otarła. A dom napełnił się wonią olejku" (J 12, 1-3).

„Betania" znaczy tyle, co „Dom Ubogich". Jaka piękna nazwa Kościoła! Dokładnie tak, jak w marzeniu papieża Franciszka: „Chcę Kościoła ubogiego dla ubogich". Ubogi Jezus zatrzymuje się u trójki swoich ubogich przyjaciół.

Ale skoro przychodzi przyjaciel, oni najpierw wystawiają wielką ucztę, a następnie Maria bierze olejek wart 300 denarów i namaszcza nim Jezusowe stopy. Aż trudno nie zapytać, skąd w domu ubogich przyjaciół Jezusa wziął się taki olejek. 300 denarów to niemal roczna pensja niewykwalifikowanego robotnika. Olejek nardowy wytwarzany był z korzeni drzew rosnących w północnych Indiach, z całą pewnością nie był przeznaczony do pielęgnacji stóp. Ewangelia mówi, że Maria „przechowała" ów olejek. Odkąd go dostała, strzegła go – tak jak ktoś prawdziwie ubogi pilnuje zawierzonego skarbu – po to, by użyć go w najbardziej odpowiednim momencie. Nie dla siebie, lecz dla kogoś – wyjątkowego i ukochanego.

Są momenty, kiedy ubodzy kompletnie przestają liczyć. Odnajdują w sobie hojność nie na miarę swego stanu posiadania, lecz na miarę miłości. Hojność odpowiednią do godności przyjaciela.

Kiedy byłem rektorem krakowskiego seminarium, zdarzało mi się (raczej w wyjątkowych momentach) sprawować Eucharystię w kielichu, który pierwotnie należał do św. Jana Marii Vianneya. Seminarium otrzymało go od kard. Franciszka Macharskiego, on zaś dostał ów kielich od Jana Pawła II (papież miał go otrzymać we Francji, podczas jednej ze swoich podróży apostolskich). Kielich wydawał się całkowicie nie pasować do świętego Proboszcza z Ars. Stanowił prawdziwe „cacko" złotnictwa: o szlachetnych proporcjach, wykonany z najcenniejszych kruszców (posrebrzany, częściowo złocony), misternie rzeźbiony. Jego właściciel, jak wiadomo, żywił się na ogół przez cały tydzień ziemniakami raz ugotowanymi (w poniedziałek). Zwykle też pod sutanną nie miał spodni – skoro właśnie je podarował jakiemuś wędrownemu żebrakowi... Ale najwyraźniej, gdy chodziło o Eucharystię, św. Jan zapominał o codziennym ubóstwie, a odnajdywał w sobie hojność na miarę Rodzeństwa z Betanii.

Są ludzie, którzy tego nie rozumieją. Są ludzie, którzy z takiej postawy potrafią Kościołowi – deklarującemu swe ubóstwo – uczynić zarzut: „Można to było sprzedać, a pieniądze rozdać ubogim!". Są tacy ludzie. Na imię mają... Judasz. ©

Jakiż mam pożytek z tego, że Logos przyszedł na świat, jeśli ja go nie mam?

ORYGENES

Ktoś zapytał: „Czym jest budda?". Mistrz odpowiedział: „Czym ty jesteś?".

Z NAUCZANIA MISTRZA CHAN PAI CHANGA

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (16 – 23 IV)

2. niedziela wielkanocna (Miłosierdzia Bożego): Dz 2, 42-47; Ps 118; 1 P 1, 3-9; J 20, 19-31;
Poniedziałek: Dz 4, 23-31; Ps 2; J 3, 1-8;
Wtorek: Dz 4, 32-37; Ps 93; J 3, 7b-15;
Środa: Dz 5, 17-26; Ps 34; J 3, 16-21;
Czwartek: Dz 5, 27-33; Ps 34; J 3, 31-36;
Piątek: Dz 5, 34-42; Ps 27; J 6, 1-15;
Sobota: Dz 6, 1-7; Ps 33; J 6, 16-21;
3. niedziela wielkanocna: Dz 2, 14. 22b-32; Ps 16; 1 P 1, 17-21; Łk 24, 13-35.

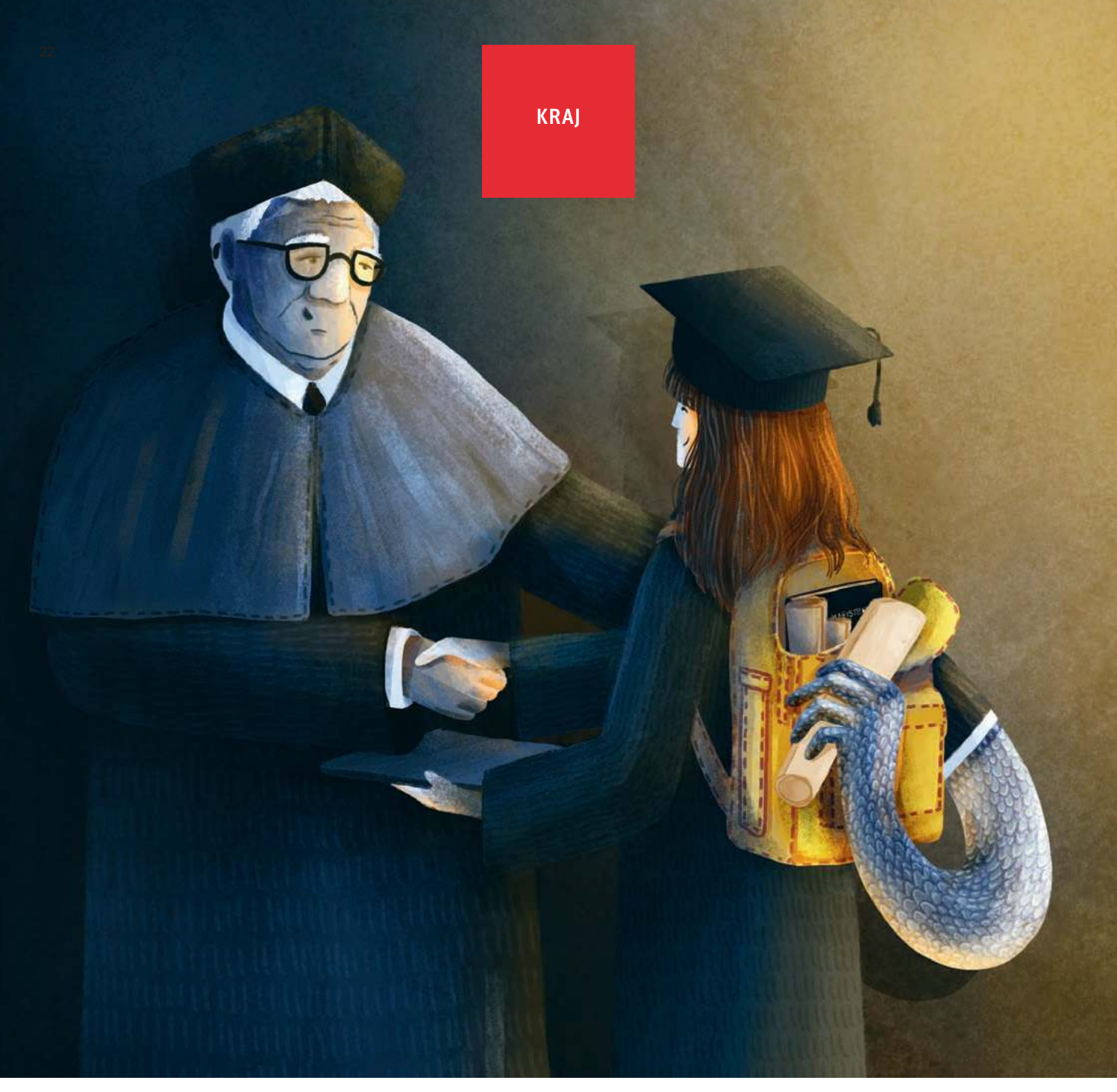

OFIAR SIĘ NIE PRZEPRASZA

Plagiatowanie prac magistrantów i doktorantów przez ich promotorów i recenzentów to nie tylko kradzież własności intelektualnej. To także zdrada zaufania i trauma dla młodej kadry, tolerowana przez rektorów.

TEKST ANNA GOLUS | ILUSTRACJA KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP”

Należy stanowczo zaprotestować przeciwko »dobrotliwej« ocenie plagiatowania prac dyplomowych przez promotorów i łagodnej polityce karalności, prowadzonej przez rzeczników dyscyplinarnych. Uderza to w poczucie sprawiedliwości akademickiej i nie odstrasza kolejnych naśladowców przed okradaniem magistrantów i doktorantów, powodując korupcję naukową kadry akademickiej" – pisze Marek Wroński (dr hab., emerytowany prof. Akademii Kaliskiej) w jednym z ostatnich odcinków cyklu „Z archiwum nieuczciwości naukowej". Prowadzi go na łamach „Forum Akademickiego" od ponad 20 lat, opisał tam kilkaset spraw i nie ma wątpliwości, że jest coraz gorzej.

„Wzorowy" profesor

– Promotor nigdy mnie nie przeprosił – mówi Katarzyna Warecka (mgr), adwokatka z Gdańska. – Ani razu się do mnie nie odezwał, nawet gdy przesłał mi pieniądze, które otrzymał jako honorarium za artykuł będący fragmentem mojej pracy magisterskiej. Za to do prokuratora wysłał informację, że korzyści majątkowe zostały wydane, a on nie jest już wzbogacony. Liczył na umorzenie, ale nie zgodziłyśmy się.

Michał Płachta (prof. dr hab.) był dziekanem Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Gdańskiego, gdy w 2004 r. dwie absolwentki prawa – Eliza Wasińska i Katarzyna Warecka – ujawniły, że jako promotor przywłaszczył sobie ich prace magisterskie sprzed dwóch lat i opublikował w formie trzech artykułów naukowych. Za jeden z nich otrzymał od własnego wydziału imponujące do dzisiaj honorarium – 6 tys. zł brutto.

– Dowiedziałyśmy się przez przypadek, dzięki temu, że Eliza pracowała w wydawnictwie prawniczym – wspomina Warecka. – Ja byłam na drugim roku aplikacji prokuratorskiej i ta sprawa wywróciła moje życie do góry nogami.

Wspólnie poinformowały prokuraturę, uczelnię i media. Prokuratura skierowała sprawę do sądu, który dopiero w 2009 r. wydał wyrok: 8 miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu na 3 lata, 8 tys. zł grzywny, zwrot kosztów procesu oraz honorarium za artykuł. Sąd drugiej instancji podtrzymał wyrok w 2010 r.

– Tak długie procesy wtórnie wiktymizują ofiary, które muszą wciąż zeznawać to samo – mówi Warecka. – Krzywdzący jest też stosunek przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości do ofiar, których wiarygodność jest podważana ze względu na wiek i płeć. To, czego doświadczyłyśmy w sądzie, było bardzo obciążające. Słyszałyśmy, że to niemożliwe, by studentki napisały tak dobre teksty, a profesor dokonał plagiatu.

Po publikacjach w mediach Płachta zwolnił się z pracy na UG. Ówczesny rektor uczelni, Andrzej Ceynowa (dr hab., prof. UG), powinien mimo to wszcząć postępowanie dyscyplinarne, ale tego nie zrobił. Płachta zatrudnił się więc w elbląskiej Uczelni Humanistyczno-Ekonomicznej (dziś Akademia Medycznych i Społecznych Nauk Stosowanych), a obecnie pracuje w Wyższej Szkole Bezpieczeństwa z siedzibą Poznaniu. Czy władzom tych uczelni nie przeszkadza fakt, że ich pracownik popełniał plagiaty, i czy człowiek okradający własnych magistrantów powinien nadal uczyć młodych ludzi i prowadzić seminaria?

Odpowiedź AMiSNS: „Uczelni ciężko jest się ustosunkować do poniższych zarzutów, ponieważ od wielu lat nie współpracujemy z Prof. M. Płachtą". WSB: „Jako Uczelnia nie pochwalamy i tępimy wszelkie objawy plagiatu. Natomiast Pan prof. Płachta jest wzorowym pracownikiem WSB i jesteśmy zadowoleni z jego pracy".

Plagiat z dedykacją

– Do dziś cierpię na zespół stresu pourazowego i nasiloną stresem poważną chorobę autoimmunologiczną – mówi Justyna Bokajło (dr), adiunkt na Uniwersytecie Wrocławskim. – Minęło ponad dziesięć lat, a ja nadal nie jestem w stanie otworzyć mojego doktoratu, aby w końcu wydać na jego podstawie publikację. Mimo terapii wciąż mam flashbacki jak żołnierz, który wraca z frontu. Gdy zobaczyłam, że recenzent mojej rozprawy ukradł jej najważniejsze fragmenty, przeżyłam szok, ale to, czego doświadczyłam później w sądach i na uczelni, pogorszyło mój stan.

Bokajło obroniła doktorat w 2011 r. Parę miesięcy później podjęła pracę na Uniwersytecie Wrocławskim i otrzymała od swojego recenzenta, Witolda Małachowskiego (dr hab., prof. SGH), jego najnowszą książkę z dedykacją i ponad 50 stronami skopiowanymi z jej rozprawy.

– Początkowo nie mogłam uwierzyć, że mógł być zdolny do takiego czynu i w dodatku tak cyniczny, by wręczyć mi książkę z plagiatem i życzeniami „dalszej kariery naukowej" – wspomina badaczka.

O sprawie Bokajło poinformowała władze uniwersytetu, a te z kolei – rektora SGH, skąd sprawa trafiła do prokuratury. Proces karny zakończył się po sześciu latach, w 2020 r. Małachowski został uznany za winnego, ale ze względu na niską szkodliwość społeczną sąd nie wymierzył mu kary. Postępowania dyscyplinarnego nie wszczęto – SGH nie przedłużyła Małachowskiemu, który właśnie osiągnął wiek emerytalny, umowy.

Bokajło złożyła też pozew do sądu cywilnego, który po kilku latach zasądził 35 tys. zł zadośćuczynienia i nakazał Małachowskiemu opublikowanie w kilku czasopismach oświadczenia o wykorzystaniu tekstu bez jej wiedzy i zgody. Plagiator tak długo zwlekał, aż dwa ze wskazanych przez sąd czasopism przestały istnieć. Badaczka natomiast, mimo zwycięstwa, zaczęła rozumieć pokrzywdzonych, którzy nie decydują się na walkę.

– Oba procesy były obciążające – mówi. – Szczególnie ten karny, kiedy doświadczałam nierównego traktowania. Pomimo roli oskarżyciela posiłkowego sąd traktował mnie jak osobę, która ponosi winę. Choć plagiat był ewidentny, rozpisano przetarg na jego sprawdzenie, który trwał ponad rok, co tylko przedłużyło sprawę. Same rozprawy też były traumatycznym wydarzeniem. Nigdy nie zaproponowano mi szklanki wody czy chwili przerwy, co profesorowi proponowano często. Nigdy nie zwrócono się do mnie stopniem naukowym, byłam traktowana bezosobowo, choć do Małachowskiego mówiono „profesorze". Rozumiem domniemanie niewinności, ale niejednokrotnie to ja czułam się jak przestępczyni. Do dzisiaj zastanawiam się, po co mi to wszystko było i skąd było we mnie tyle siły. Poniosłam koszty psychiczne, straciłam wiele szans i kontaktów naukowych. Być może byłoby mi trochę łatwiej, gdybym usłyszała słowo „przepraszam".

Małachowski nie tylko nigdy jej nie przeprosił, ale próbował wzbudzić poczucie winy u Bokajło. Ona sama nie otrzymała wsparcia na swojej uczelni.

– Przekazano sprawę do SGH i uznano, że problem z głowy – mówi. – Poza kilkoma wyjątkami spotkałam się z murem i ostracyzmem ze strony kolegów, którzy mieli pretensje, że stwarzam uczelni pro- ↦

↦ blemy. Choć pracowaliśmy w innych miastach, a Małachowski nie był moim przełożonym, tkwiłam w hierarchicznej, opartej na rozmaitych zależnościach strukturze. Byłam rozpoczynającą karierę doktorką, a on „kimś ważnym". Słyszałam dyskryminujące słowa o swoim młodym, dziewczęcym wyglądzie i postawie wobec „tak sędziwie zacnego pana profesora".

Pamiętajmy o zasługach

– Gdy dowiedziałem się o plagiacie, byłem zaskoczony, ale mogłem patrzeć na to wszystko z dystansem – mówi Błażej Kochański (dr), adiunkt na Politechnice Gdańskiej. – Doktorat obroniłem po 14 latach pracy w bankowości, w 2014 r. O kradzieży mojej własności dowiedziałem się dopiero z artykułu Marka Wrońskiego o plagiatach mojego recenzenta, rektora UG.

Informacja o czynach Jerzego Gwizdały (wówczas dr hab., prof. UG) została upubliczniona przez Wrońskiego we wrześniu 2020 r., ale Rada Uniwersytetu Gdańskiego wiedziała o takim podejrzeniu już wcześniej. 25 lutego 2020 r. Komisja ds. Etyki w Nauce PAN orzekła, że zachodzi możliwość naruszenia przez Gwizdałę praw autorskich, w związku z czym wstrzymano postępowanie o nadanie mu tytułu profesora, o co się ubiegał i którego to tytułu zaczął już nawet używać. Mimo to dwa miesiące później został ponownie wybrany na rektora.

– Gdy dowiedziałem się, że w artykule rektora znajduje się fragment mojego referatu, porównałem z tym artykułem cały swój doktorat – mówi Kochański. – Okazało się, że z wyjątkiem kilku zdań wszystko w tym tekście było moje, i że to jest większa rzecz niż to, co opisano w „Forum Akademickim". Przygotowałem zestawienie identycznych fragmentów, tzw. konkordancję, i opublikowałem ją na Facebooku.

„Szeptało się o tym w środowisku akademickim, ale NIKT nie śmiał powiedzieć o tym głośno" – napisała w komentarzu Ewa Nawrocka (dr hab., emerytowana prof. UG). Temat został podjęty przez media i rektor złożył rezygnację, motywując decyzję względami zdrowotnymi. Zarazem Senat UG zaapelował, by „oceny pracy byłego Rektora nie sprowadzać jedynie do ostatnich wydarzeń. (...) Piętnując przewiny, nie zapominajmy o zasługach".

> Jest coraz gorzej, przy całkowitej obojętności i formalizmie rektorów. Choć stan prawny się nie zmienił, **ustała karalność sprawców. Uczelnie co najwyżej grożą plagiatorom palcem.**

Tych przewin było jednak tyle, że Gwizdale odebrano habilitację. Jego publikacje z plagiatami zostały wycofane. Sprawa trafiła do prokuratury, a w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego wszczęto postępowanie dyscyplinarne. Na UG natomiast Gwizdała najpierw został zawieszony, następnie przebywał na świadczeniu rehabilitacyjnym, a obecnie – jak informuje rzeczniczka uczelni – „W związku z przejściem na rentę uczelnia rozwiązała z Jerzym Gwizdałą stosunek pracy".

Prokuratura Okręgowa w Bydgoszczy zawiesiła postępowanie, ale informuje, że zebrany materiał pozwala na przedstawienie Gwizdale zarzutów popełnienia dwóch przestępstw: przywłaszczenia autorstwa części cudzego utworu i rozpowszechniania go.

Bez zbędnej zwłoki

Gwizdała nigdy nie przeprosił Kochańskiego, za to Kochański otrzymał od pełnomocniczki byłego rektora UG prośbę „o przesłanie oryginalnego egzemplarza pracy doktorskiej (po wykorzystaniu do zwrotu), ewentualnie poświadczonej za zgodność przez notariusza kopii w celu weryfikacji stawianych zarzutów".

– Uznałem, że to bezczelność, i nie odpisałem – mówi Kochański. – Zamiast tego zadbałem, by moja praca była widoczna w internecie. Miałem też pomoc prawną. Rozumiem jednak, w jak trudnej sytuacji są młodzi naukowcy, którzy nie mogą sobie na to pozwolić i w dodatku tkwią w akademickiej sieci zależności. Ja mam szczęście, że na politechnice jestem otoczony osobami raczej niepokornymi, więc otrzymałem wsparcie i zachęty do działania. Wprawdzie niektórzy odradzali pośpiech, ale nie posłuchałem. W takich sytuacjach należy działać rozważnie, ale bez zbędnej zwłoki.

Należy jednak uzbroić się w cierpliwość. Sprawa Gwizdały wpłynęła do Komisji Dyscyplinarnej przy Radzie Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego 1 kwietnia 2021 r. – skierowana tam przez rzecznika dyscyplinarnego MEiN po kilku miesiącach postępowania wyjaśniającego. Do dzisiaj wyznaczono jedynie skład orzekający. Pierwsze posiedzenie jest zaplanowane na II kwartał 2023 r.

Natomiast na UG nowy rektor, wybrany w listopadzie 2020 r. Piotr Stepnowski (prof. dr hab.), obiecywał od początku przygotowanie programu przeciwdziałania naukowej nierzetelności. Na pytanie, co konkretnie zrobił, rzeczniczka prasowa UG odpowiada, że rektor powołał rzecznika ds. rzetelności naukowej, Sławomira Steinborna (dr hab., prof. UG), do zadań którego „należy m.in. opracowywanie i propagowanie dobrych praktyk naukowych, działalność szkoleniowa oraz zapewnienie infrastruktury technicznej umożliwiającej wykrywanie przypadków nierzetelności naukowej. Ponadto odbyły się 4 wykłady – szkolenia z prof. Markiem Wrońskim", a Centrum Aktywności Studenckiej i Doktoranckiej UG przygotowało i upubliczniło na YouTubie dwa filmy, na których wykładowcy UG wyjaśniają, czym jest plagiat.

– Sam wprosiłem się z tymi wykładami – wyjaśnia Wroński, a ja pytam rzeczniczkę prasową, jakie działania zostały dotychczas zrealizowane przez rzecznika ds. rzetelności naukowej i jego biuro (w którym pracują dwie osoby).

Po ponad dwóch latach na UG nadal nie ma programu przeciwdziałania nierzetelności, szkoleń ani specjalnej infrastruktury. Steinborn informuje za pośrednictwem rzeczniczki, że wciąż przygotowuje „kurs online dotyczący podstawowych zasad rzetelności w działalności naukowej oraz w oparciu o dotychczasowe doświadczenia przepisy wewnątrzuczelniane, które mają określić zasady wyjaśniania zarzutów dot. nierzetelności naukowej" i że „najistotniejszą część działalności Rzecznika stanowią postępowania wyjaśniające wątpliwości co do rzetelności naukowej". Takich spraw było 9, dwie zakończyły się zawiadomieniem prokuratury, a trzy – wszczęciem postępowania dyscyplinar-

nego na UG. W dwóch sprawach zarzuty okazały się niezasadne, dwie są w toku.

Katedra plagiatu

– W ciągu ostatnich kilku lat poziom nierzetelności naukowej bardzo się zwiększył, a poważne sprawy pojawiły się nawet na najlepszych uczelniach – uważa Wroński, nazywany „łowcą plagiatów". – Według mnie jeśli cokolwiek się zmienia, to na gorsze, przy całkowitej obojętności i formalizmie rektorów tych sztandarowych uczelni. W dodatku, choć stan prawny się nie zmienił, praktycznie ustała karalność nierzetelności. Bandytów naukowych uczelnie karzą pogrożeniem palcem.

Tę niedobrą zmianę widać na Uniwersytecie Łódzkim, gdzie ostatnio dwóch plagiatorów z Katedry Teorii Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa zostało ukaranych naganą. Jeden z nich przywłaszczył fragmenty publikacji wielu autorów, w tym pracy doktorskiej swojego doktoranta, a drugi – fragmenty pracy magisterskiej swojej magistrantki.

– Gdy zobaczyłem w potencjalnej książce profesorskiej mojego promotora fragmenty swojego doktoratu, poczułem niesmak. Pojawiły się też pytania, co dalej – mówi Michał Rulski (dr). – Dziś jestem w stanie mówić o tym normalnie, ale te kilka lat walki w sądach i przed komisjami dyscyplinarnymi to był najcięższy okres w moim życiu.

Rulski obronił doktorat w październiku 2016 r., kilka miesięcy później otrzymał od swojego promotora Roberta Łosia (dr hab., prof. UŁ) jego najnowszą książkę. Bez dedykacji, za to z plagiatem. Przygotował i opublikował w mediach społecznościowych zestawienie identycznych fragmentów, ale po jakimś czasie usunął je pod wpływem nacisków władz wydziału i pełnomocniczki Łosia, który oskarżył go o naruszenie dóbr osobistych.

– Pozywanie oskarżających to klasyczny ruch – mówi Rulski. – Obrona przez atak, w nadziei, że oskarżający przestraszy się i wycofa zarzuty. Ja się nie przestraszyłem, ale nie byłem przygotowany na dwa procesy cywilne i to było dla mnie bardzo trudne. Obawiałem się, że tego nie udźwignę, również finansowo. Dzięki wsparciu bliskich dałem radę i wygrałem obie sprawy, choć tę o naruszenie praw autorskich dopiero w drugiej instancji.

Bokajło obroniła doktorat, a po paru miesiącach otrzymała od swojego recenzenta jego najnowszą książkę: **z dedykacją i ponad 50 stronami skopiowanymi z jej rozprawy naukowej.**

We wrześniu 2020 r. sąd apelacyjny zakazał Łosiowi dalszego rozpowszechniania jego książki profesorskiej i nakazał zapłacenie Rulskiemu 10 tys. zł zadośćuczynienia, pokrycie kosztów procesu i zamieszczenie przeprosin na stronie wydziału i katedry. Publikacja miała „wisieć" na portalu zaledwie dwa tygodnie. Dziś nie ma już po niej śladu.

O plagiatach Łosia zawiadomiono też prokuraturę, ta jednak złożyła do sądu wniosek o warunkowe umorzenie sprawy. Sąd zaś nie poinformował o rozprawie Rulskiego ani nikogo z siedmiu poszkodowanych, więc postępowanie karne zostało warunkowo umorzone na okres jednego roku próby, a poszkodowani otrzymali od Łosia po 200 zł nawiązki. Nikt nie zaskarżył wyroku, bo nikt o nim nie wiedział.

– Nie mnie oceniać wymiar kary – mówi Rulski. – Najważniejsze było to, że prawda wyszła na jaw. Obroniłem swoją godność młodego naukowca oraz człowieka. To również było ważne, bo nie tylko moja praca została ukradziona, ale też moje dobre imię było szargane w sądach i na uczelni. Część znajomych z wydziału mnie wspierała, oficjalnie lub nie. Z kolei część środowiska akademickiego – przeciwnie, wywierała naciski, bym zrezygnował, albo insynuowała, że to ja splagiatowałem mojego promotora. Podkreślano, że profesor nie mógłby splagiatować doktoranta.

Skrucha profesora

Jednym ze świadków obrony Łosia był Jacek Reginia-Zacharski (dr hab., prof. UŁ), który – jak się okazało w 2021 r. – również przywłaszczył sobie fragmenty pracy pisanej pod jego kierunkiem. Podobnie jak Łoś, Reginia-Zacharski został ukarany przez komisję dyscyplinarną naganą (oraz dwuletnim obniżeniem uposażenia o 25 proc.) – i nadal pracuje na UŁ. Pełni także funkcję dyrektora Departamentu Strategii Polityki Zagranicznej w Ministerstwie Spraw Zagranicznych oraz – z ramienia MSZ – członka Rady Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej. Jest również członkiem Rady Instytutu Strat Wojennych im. Jana Karskiego.

Pytam w MSZ, dlaczego po ujawnieniu i udowodnieniu Reginii-Zacharskiemu popełnienia plagiatu ministerstwo nie zakończyło współpracy z nim. W odpowiedzi otrzymuję oświadczenie samego Reginii-Zacharskiego, w którym pisze m.in., że podtrzymuje stanowisko o swojej niewinności i że „w trakcie postępowania nie zgłosił się do mnie żaden przedstawiciel mediów o złożenie wyjaśnień", co jest nieprawdą. Kilkukrotnie bowiem prosił go o wyjaśnienia choćby Marek Wroński. Ponawiam więc moje pytania, przekazując MSZ informację, że Reginia-Zacharski w swoim oświadczeniu mija się z prawdą. Nie otrzymuję odpowiedzi.

To samo pytanie kieruję do Instytutu Strat Wojennych im. Jana Karskiego i dowiaduję się, że „członków Rady Instytutu powołuje Prezes Rady Ministrów, pytanie o pana dr. hab. Jacka Reginię-Zacharskiego prosimy kierować do KPRM". Pytam w KPRM i również nie otrzymuję odpowiedzi.

Pytam samego Reginię-Zacharskiego – który wkleił do swojej niespełna 150-stronicowej książki 53 strony pracy magisterskiej Marty Kozakiewicz (mgr) – dlaczego przyznał się i przeprosił swoją magistrantkę, po czym zaczął utrzymywać, że jest niewinny, oraz czy jest świadomy krzywdy, jaką jej wyrządził. Otrzymuję odpowiedź: „Od początku postępowania stoję na stanowisku własnej niewinności. Twierdzenia o przyznaniu się przeze mnie do popełnienia plagiatu są wytworem medialnym. Rozmawiając z panią Kozakiewicz, wyraziłem głęboki żal, że dotknęła ją tak nieprzyjemna sytuacja. Jak rozumiem pani Kozakiewicz potraktowała to jako przyznanie się i moje przeprosiny. Pragnę też zauważyć, że pani Kozakiewicz niejednokrotnie wyraziła opinię, że nie czuje się przeze mnie pokrzywdzona".

Wstyd i poczucie winy

W październiku 2022 r. Marta Kozakiewicz zaapelowała do komisji ↦

↦ dyscyplinarnej, by jej byłego promotora surowo nie karać, ponieważ przyznał się jej i przeprosił.

– Dziś wnioskowałabym o najwyższy możliwy wymiar kary, czyli wydalenie z UŁ – mówi Kozakiewicz. – Podstawą mojego wcześniejszego stanowiska było przyznanie się i skrucha profesora Zacharskiego. To była jego pierwsza reakcja na porównanie mojej pracy magisterskiej i jego książki. Podkreślał, że nie pamięta, jak do tego doszło. Naiwnie uważałam, że nie ma większej kary niż wstyd i poczucie winy. Jak widać, nie miałam racji. Jego wystąpienie podczas komisji dyscyplinarnej, gdzie podważał wartość merytoryczną i autentyczność mojej pracy, wprawiło mnie dosłownie w osłupienie. Dziś czuję się nie tylko pokrzywdzona kradzieżą, ale też okłamana.

Sprawa nie trafiła do sądu, bo jest przedawniona. Książka Reginii-Zacharskiego została wydana w 2012 r., tymczasem odpowiedzialność karna za plagiat ulega przedawnieniu po 5 latach, odpowiedzialność cywilna – po 10. Mowa o roszczeniach majątkowych, bo niemajątkowe nie przedawniają się nigdy. Nie przedawnia się też odpowiedzialność dyscyplinarna za plagiat. Ani moralna.

– Pamiętam trzy albo cztery przypadki skruchy i akceptacji winy plagiatora – mówi Marek Wroński. – Jednak większość zaprzecza i zapewnia, że to nie plagiat, tylko przypadkowa zbieżność tekstów („korzystaliśmy z tych samych materiałów"), niestaranność („zapomniałem dodać cudzysłów i odnośnik") albo pomyłka („pomyliły mi się teksty"). Albo że „te fakty są powszechnie znane".

– Ofiar się w Polsce nie przeprasza – dodaje Warecka. – To dotyczy nie tylko plagiatu, ale wszelkich przestępstw. Sprawcy rzadko poczuwają się do winy, za to często próbują przerzucić winę na ofiary. W strukturach opartych na hierarchii, poufności i autonomii, takich jak uniwersytet, wojsko czy Kościół, to poczucie bezkarności sprawców jest wyjątkowo duże, podobnie jak ryzyko nadużyć. Ale nawet po kilkudziesięciu latach można pozwać sprawców o przeprosiny i uświadomić im, że są winni.

© ANNA GOLUS

Ziarna gniewu

MAREK RABIJ

Niedawno wzeszło, ale już wywołuje napięcia. Pytania o tegoroczne zbiory zbóż w Ukrainie niespodziewanie znalazły się w centrum polskiego sporu politycznego, a wkrótce sięgną także Brukseli.

Wśród oficjalnych fotografii z ostatniej wizyty Wołodymyra Zełenskiego w Polsce nie ma ani jednej, na której ukraiński prezydent całowałby w geście powitania bochen chleba. Pewnie to zbieg okoliczności, ale znamienny: w temperaturze, jaką osiągnęła dyskusja o zbożu z Ukrainy zalewającym od miesięcy polski rynek, nawet tak niewinny gest mógłby podziałać zapalnie.

Organizacje rolnicze szacują, że od 24 lutego ub. roku naszą granicę przekroczyły co najmniej 4 mln ton zbóż, które miały tranzytem dotrzeć następnie do odbiorców w innych krajach, ale zostały w Polsce. Efekt? W rejonach przygranicznych znalezienie pustych silosów zbożowych graniczy dziś z cudem. Konkurencję ze strony tańszego ziarna z Ukrainy widać już nawet w punktach skupu, które przy granicy płacą za tonę pszenicy o 20-25 proc. mniej niż w głębi kraju. Dla rolników, którzy o tej porze roku upłynniają część zbożowych nadwyżek, żeby zebrać kapitał niezbędny do wiosennych zasiewów i prac polowych, to fatalny zbieg okoliczności.

Powody do niepokoju mogą mieć także konsumenci. Jak donosi „Rzeczpospolita", ukraińskie ziarno nie przechodzi, jako przeznaczone do tranzytu, badań pod kątem zawartości metali ciężkich i innych szkodliwych substancji – a o takie zanieczyszczenia w regionach przyfrontowych bardzo łatwo.

Sześć plus cztery

„Omówiliśmy sprawy dotyczące naszych rolników: rolników ukraińskich i rolników polskich – zapewnił Zełenski zaraz po ubiegłotygodniowym spotkaniu z premierem Mateuszem Morawieckim – Uważam, że w najbliższych dniach, tygodniach już będzie ostateczne rozwiązanie wszelkich spraw".

W podobnym tonie od kilku tygodni wypowiadają się politycy PiS. Porozumienie z organizacjami rolniczymi, zawarte przez resort rolnictwa 30 marca, w 11 punktach kreśli plan, który jeszcze przed żniwami ma doprowadzić do wywiezienia nadwyżki zbóż z kraju oraz wesprzeć rolników rekompensatami w kwocie do 520 mln zł. Rząd zapowiada również wystąpienie do Brukseli o przywrócenie ceł na ukraińskie surowce rolne, uchylonych po wybuchu wojny, a sam planuje udrożnienie przepustowości krajowych portów, zaostrzenie kontroli granicznych i dokładniejsze monitorowanie tranzytu przez Polskę.

Rolnicy przyjmują te deklaracje z zadowoleniem, ale mają poważne wątpliwości co do wcielenia ich w życie. W podobnym tonie wypowiadają się politycy opozycji i eksperci. „Rząd kupił sobie spokój tylko do świąt wielkanocnych" – ocenił w TVN Marek Sawicki, były minister rolnictwa z PSL, po czym dodał: „W 2021 roku Polska wyeksportowała rekordowe 4,5 mln ton zboża, ale w roku 2022

JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Rolnicy ze stowarzyszenia „Oszukana wieś" protestują przeciwko nieudolności rządu w sprawie importu zboża z Ukrainy. Czerniczyn, 4 kwietnia 2023 r.

już tylko 3,8 mln ton, i to przy jednoczesnym wpływie z Ukrainy około 2 mln ton kukurydzy, prawie miliona ton rzepaku i około miliona ton pszenicy. My mamy swoją produkcję na poziomie 35 mln ton, a zużycie na poziomie 29 mln, trzeba zatem wyeksportować 6 mln ton naszego zboża i dodatkowo 4 mln ton z Ukrainy. Nie mamy takiej mocy przepustowej".

Monika Piątkowska, prezeska Izby Zbożowo-Paszowej, zwraca w rozmowie z Interią uwagę na jeszcze jeden problem. „Według naszych wyliczeń moglibyśmy do lipca wyeksportować z Polski 3 mln ton zboża, głównie drogą morską. Musimy jednak uwolnić nabrzeża w portach, przy których wciąż stoją statki z węglem. Trzeba go wyładować i wyczyścić ładownie statku, co trwa 5-7 dni. 200 tys. ton można co miesiąc wywieźć ciężarówkami do Niemiec" – tłumaczyła ekspertka, podkreślając konieczność nacisków dyplomatycznych na kraje, które mogłyby kupić te nadwyżki. A czasu jest coraz mniej. W lipcu na rynek wejdzie krajowe zboże z tegorocznych, zapewne urodzajnych zbiorów, które szacuje się na około 35 mln ton.

– Największym importerem zboża, 9 mln ton rocznie, jest Egipt. Na ten rynek pszenicę eksportują choćby Niemcy, ale Polska nie. Problem jest na poziomie naszych służb fitosanitarnych. To mur, ściana, nawet wicepremier Kowalczyk był zirytowany ich postawą – kwituje Piątkowska.

„Swego rodzaju kryzys"

Nie ulega wątpliwości, że jeśli PiS nie da sobie rady ze zbożowym impasem, rywale postarają się, aby ten upadek był bolesny. Do politycznych żniw szykuje się zwłaszcza Konfederacja, która zwietrzyła okazję do zdobycia punktów poza żelaznym elektoratem. Zbożowy kryzys niespodziewanie nadał realistycznego kontekstu formułowanym przez polityków tej partii teoriom spiskowym o „Ukropolu" budowanym rzekomo przez Warszawę i Kijów. Silosy zapchane zbożem ze wschodu pozwalają teraz konfederatom wykrzykiwać triumfalnie: „a nie mówiliśmy?", i walczyć o poparcie na wsi, gdzie dziś króluje PiS. „Straty dla gospodarki są liczone w miliardach. To jest naprawdę wielka afera gospodarcza" – grzmiał niedawno Krzysztof Bosak.

Wobec politycznych dział takiego kalibru partia rządząca jest na razie bezsilna. Premier Morawiecki stara się minimalizować straty wizerunkowe i mówi o „swego rodzaju kryzysie" na rynku, ale i dla wyborców ze wsi, i dla jego konkurentów o ich rękę jasne jest, że PiS ewidentnie zaspał. Nie pomoże nawet ogłoszona w pierwszych dniach kwietnia dymisja ministra rolnictwa Henryka Kowalczyka, która wygląda raczej na polityczne *auto da fé* niż próbę rozwiązania problemu.

Rząd PiS nie tylko przegapił moment, w którym nieprawidłowości w tranzycie zbóż z Ukrainy zaczęły się szerzej przebijać do publicznej świadomości, ale też za długo mamił rolników nietrafionymi prognozami. W czerwcu ub. roku, kiedy o problemie ukraińskiego zboża mówił i PSL, i Donald Tusk, Kowalczyk uspokajał, że nie ma powodów do nerwowości. Przeciwnie, czas miał rzekomo grać na korzyść polskich rolników, bo „w kilkudniowej perspektywie ceny mogą spaść, jednak w dłuższym czasie zboże na pewno nie będzie tanie". Minister powoływał się wówczas na prognozy, które zakładały, że Rosja skutecznie sparaliżuje nie tylko żniwa w Ukrainie, ale także eksport zbóż, co poskutkuje ostrym deficytem na światowych rynkach, a w efekcie – zwyżką cen.

„Tak naprawdę to MATIF dyktuje ceny" – mówił Kowalczyk 23 czerwca ub. roku. Pszenica kosztowała wtedy na tej paryskiej giełdzie płodów rolnych ponad 400 euro za tonę i od wybuchu wojny podrożała o prawie 120 euro. Potem jednak nacisk społeczności międzynarodowej na Moskwę sprawił, że przez Morze Czarne szerokim strumieniem zaczęło płynąć zarówno ziarno świeżo zebrane z ukraińskich pól, jak i to, którego tamtejsi plantatorzy nie zdążyli wyeksportować przed wybuchem wojny. Od 1 sierpnia 2022 r. do początku marca Ukraina dostarczyła tą drogą 18 mln ton pszenicy, kukurydzy, jęczmienia i nasion oleistych, czyli aż 60 proc. całego eksportu zbóż.

Jak podkreśla Sławomir Matuszak, analityk Ośrodka Studiów Wschodnich specjalizujący się w badaniach nad ukraińską gospodarką, w inicjatywie udrożnienia czarnomorskiego korytarza chodziło jednak nie tyle o dostawy ukraińskiej pszenicy czy kukurydzy bezpośrednio do krajów globalnego Południa, ile o obniżenie ceny zbóż na światowych rynkach. Sukces tej inicjatywy oznaczał, że w łeb wezmą prognozy, którymi PiS uspokajał rolników. 1 sierpnia 2022 r., w pierwszym dniu funkcjonowania korytarza, cena tony pszenicy w Paryżu oscylowała na poziomie 325 euro. Na początku tego roku spadła poniżej 300 euro i wciąż tanieje. Na domiar złego Międzynarodowa Rada Zbożowa IGC w pierwszej tegorocznej prognozie szacuje, że na całym świecie zbiory zbóż wyniosą 2,28 mld ton i będą wyższe od zeszłorocznych o 33 mln ton ↦

↦ – a to raczej nie zapowiada odwrócenia trendu spadkowego cen.

Unia dwóch prędkości

W tej sytuacji rząd sięga więc po ulubioną kartę i próbuje zrzucić winę na Brukselę. Składając rezygnację, minister Kowalczyk nie omieszkał zaznaczyć, że odchodzi „widząc, że podstawowy postulat rolników przez Komisję Europejską nie zostanie spełniony”. Chodziło oczywiście o zapowiedź (oprotestowanego przez Polskę) przedłużenia bezcłowego importu ukraińskiego zboża do UE o kolejny rok, do 5 czerwca 2024 r. Kowalczyk oskarżył również Brukselę o brak zainteresowania zorganizowaniem szczelnych korytarzy tranzytowych, którymi ukraińska pszenica, kukurydza i jęczmień płynęłyby do odbiorców spoza Wspólnoty – choć tu inicjatywa była przede wszystkim po stronie Warszawy.

Janusz Wojciechowski, unijny komisarz do spraw rolnictwa, wysłany do Brukseli przez PiS, nie wyklucza przywrócenia ceł na granicy Unii z Ukrainą. W praktyce może się to jednak okazać trudniejsze, niż gotów jest przyznać sam Wojciechowski. Ukraina jest bowiem jednym z najważniejszych dostawców surowców spożywczych na rynki wspólnotowe. W 2021 r., jak podaje Eurostat, Unia pozostawiła u ukraińskich kontrahentów aż 28 proc. z 1,7 biliona euro wydanych na import zbóż. Plus co dziesiąte euro przeznaczone na zakup olejów i nasion oleistych.

Dla niektórych krajów członkowskich dostawy zbóż z Ukrainy mają o wiele większe znaczenie niż dla państw z nią sąsiadujących, jak Węgry, Rumunia czy Polska, zbożowo praktycznie samowystarczalnych. Do Holandii czy Hiszpanii Kijów sprzedaje dziś statystycznie trzy razy więcej surowców rolnych niż do Polski. Podczas głosowań w europarlamencie Madryt czy Amsterdam z pewnością nie będą więc palić się do popierania polskich planów ponownego oclenia taniego zboża z Ukrainy. Dla wysoko rozwiniętych gospodarek krajów Europy Zachodniej Kijów jest dostawcą wprost idealnym. Pomimo wysiłków, Ukraina wciąż nie jest w stanie przeskoczyć bariery *know how* i większość jej eksportu spożywczego stanowią surowce nieprzetworzone. Tamtejsza pszenica wraca więc do ojczyzny w formie włoskich makaronów, ciast i innych wysoko przetworzonych wyrobów, za które zachodni konkurenci każą sobie słono płacić.

> Musimy wyeksportować 6 mln ton własnego zboża i 4 mln ton surowca z Ukrainy. **Nie mamy takich mocy przeładunkowych.**

Wiele wskazuje jednak na to, że ten stolik przewrócić mogą niebawem zmiany klimatyczne. Gdy Europa, zwłaszcza jej rolnicze południe, zmaga się z postępującym pustynnieniem, Ukraina, położona znacznie korzystniej w strefie klimatu atlantycko-kontynentalnego, wciąż ma wystarczającą ilość opadów atmosferycznych do prowadzenia produkcji rolnej na wielkoprzemysłową skalę. W południowej części kraju, gdzie występują deficyty wody, jeszcze za ZSRS zbudowano z kolei wydajny system kanałów irygacyjnych. Warto też pamiętać, że niemal 50 proc. terytorium zajmują żyzne czarnoziemy, a kolejne 14 proc. – bardzo dobre gleby kasztanowe. Z wyjątkiem pasa na północy oraz na zachodzie, większość Ukrainy jest dziś żyznym polem. W 2019 r. uprawy zajmowały aż 28 mln hektarów, czyli 46,7 proc. powierzchni kraju.

Dziś około 20 proc. Ukrainy okupuje Rosja, a linia frontu zbliżyła się do najżyźniejszych obszarów w centrum kraju, zmieniając je w zaplecze dla wojska. Tysiące pracowników rolnych trafiło do armii, a setki tysięcy hektarów gruntów ornych stało się polami minowymi. Produkcję utrudniają reglamentacje energii elektrycznej, ale mimo to ukraińskie rolnictwo wciąż jest potęgą. Prognozy tamtejszej firmy analitycznej APK Inform zakładają, że w tym roku zbiory zbóż na terenie kraju wyniosą 45,7 mln ton – co oznaczałoby spadek tylko o 13 proc. w porównaniu z ubiegłorocznymi zbiorami (52,6 mln ton). Łączna powierzchnia zasiewów pod zboża wyniesie ok. 10,1 mln ha i będzie o 12 proc. mniejsza od areału z 2022 r. Najbardziej, bo aż o 16 proc., skurczą się uprawy pszenicy i kukurydzy – 11 proc.

Status kandydata, który Ukraina otrzymała w zeszłym roku, formalnie otworzył jej drogę do pełnego członkostwa w UE. W strategiach negocjacyjnych Kijów musi jednak uwzględnić także fakt, że po zakończonej wojnie przyjazna dziś Unia może zacząć utrudniać mu dalszą drogę do akcesji – właśnie w obawie przed tym potencjałem.

©℗ MAREK RABIJ

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

- **WARSZAWA**, czwartek 20 kwietnia, spotkanie z Beatą Chomątowską, Stanisławem Krajewskim, Pawłem Sawickim i Martą Titaniec, „Meandry pamięci”/ stacjonarne /
- **GLIWICE**, piątek 21 kwietnia, jubileusz 10-lecia Gliwickiego Klubu „TP”, koncert charytatywny Macieja Kaczora, Jana Szpora i Jakuba Skwarca na rzecz Ukrainy / stacjonarne /
- **GLIWICE**, sobota 22 kwietnia, jubileusz 10-lecia Gliwickiego Klubu „TP”, wykład „Miejsca obecności. O duchu obywatelskim” oraz debata „Ślązak czyli kto?”. Uczestnicy: prof. Tadeusz Sławek, prof. Marian Oslislo, dr Sebastian Resenbaum, Krystian Gałuszka / stacjonarne /
- **LIPSK**, sobota 22 kwietnia, „Klub w podróży”: klubowy wyjazd do Naumburga / stacjonarne /

REZERWUJ CZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

ADOBE STOCK

Wytrychy na lęk

MARIA BANASZAK, TERAPEUTKA UZALEŻNIEŃ:

Leki psychotropowe przepisywane są ze zbyt dużą łatwością. Ludzie wymieniają się informacjami o tym, który lekarz bez zadawania „zbędnych" pytań szybko przepisze, co tylko się chce.

DOMINIKA TWOREK: Wiele osób stosuje termin „używki" mówiąc o alkoholu, papierosach czy nawet o nielegalnych substancjach. Czy to jest adekwatne, zważając na spustoszenie, jakie sieją one w społeczeństwie?

MARIA BANASZAK: Określenie „używka" faktycznie wydaje się bagatelizujące. Sugeruje, iż mamy do czynienia z czymś niewinnym. Skoro używka, to znaczy, że jest do używania, więc w czym problem?

Powinniśmy mówić „narkotyki"?

Tak. Choć należy poszerzyć ich definicję. Narkotyki powszechnie kojarzą nam się z substancjami nielegalnymi. A to, czy coś jest narkotykiem, nie zależy od tego, czy jest legalne, czy nielegalne, przepisywane przez lekarza, czy nie. To cel, dla którego przyjmujemy daną substancję, czyni z niej narkotyk.

A jednak słowo „narkomania" wciąż przywodzi na myśl przygnębiający obraz heroinisty na dworcu.

Jeśli chodzi o społeczne wyobrażenie na temat tego, jak wygląda osoba uzależniona, utknęliśmy jeszcze w latach 90. Tymczasem dzisiejsze nałogi nie mają nic wspólnego z wizerunkiem z książek „My, dzieci z dworca Zoo" czy „Pamiętnik narkomanki". Narkomania – kojarzona z osobami z dysfunkcyjnych rodzin, które potocznie nazywa się „patologią", lub z drugiej strony z artystyczną bohemą, czyli z czymś z zupełnie innego świata niż my, „normalni" ludzie – już dawno się zdezaktualizowała. Uzależnienia naszych czasów dotykają osób wokół nas, dokładnie takich jak my. Wdarły się we wszystkie środowiska, różnice polegają jedynie na rodzajach substancji i wzorach ich używania.

W Polsce szczególnie traktowany jest alkohol. Mimo że badania naukowe pokazują, jak silną jest neurotoksyną, większość ludzi postrzega go zupełnie inaczej niż np. marihuanę.

Alkohol jest wpisany w naszą tożsamość narodową i wiąże się – niezmiennie – z licznymi rytuałami kulturowymi. Nie tylko z celebracją. Jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że towarzyszy nam w różnych sytuacjach. Mało tego, jest formą lepiszcza społecznego, stanowi pretekst do podejmowania interakcji.

Formą „narodowego picia" stały się dziś różnego rodzaju pigułki.

Leki wdarły się w nasze polskie realia i rzeczywiście stały się „alkoholem" młodego pokolenia. Dziś nie wypada nie znać się na nazwach i działaniach leków. Mamy do czynienia z tendencją do używania psychotropów niezgodnie z ich przeznaczeniem. Co prawda większość leków przeciwdepresyjnych czy przeciwpsychotycznych nie powoduje uzależnienia, ale używanie ich bez potrzeby może poważnie rozregulowywać nasze samopoczucie i funkcjonowanie. Jeszcze bardziej niebezpieczna jest moda na nadużywanie leków z grupy benzodiazepin oraz opioidów – to są bardzo niebezpieczne substancje, szybko i silnie uzależniające. Tymczasem przepisywane są przez lekarzy ze stanowczo zbyt dużą łatwością. Ludzie wymieniają się informacjami o tym, który medyk bez zadawania „zbędnych" pytań szybko przepisze, co tylko się chce. Co więcej, można je kupić również na nielegalnych stronach internetowych, bez recepty, tylko drożej. ↦

Ten problem nie dotyczy tylko młodzieży.

Leki nadużywane są w dużej mierze również przez ludzi w średnim wieku, tzw. osoby wysokofunkcjonujące: bardzo aktywne zawodowo, pełniące jednocześnie wiele ról społecznych i niedające sobie rady z presją. A także przez starszych, bo lekarze nagminnie przepisują te leki na wszelkiego rodzaju bóle czy problemy ze snem. Ci ludzie najczęściej w ogóle nie zdają sobie sprawy, że to, co robią, jest dla nich niebezpieczne. Uważają na przykład, że mają problemy ze snem, a nie z lekami. Nie rozumieją, że to jest wtórne, bo właśnie dlatego, że biorą leki nasenne, nie są w stanie bez nich spać.

W aptekach dostępne są też różne leki, na które nie potrzeba recepty. Zawierają kodeinę, pseudoefedrynę.

Ich spożywanie jest domeną ludzi młodych. Według polskiego prawa, jednorazowo można kupić jedno opakowanie takich leków. Ale w Polsce apteki są niemal wszędzie, młodzież robi więc obchód, skupuje leki i przyjmuje je w dużych ilościach. Jedna czy dwie tabletki nic złego nam nie zrobią, ale jeżeli kupimy kilka opakowań i – nie daj Boże – pomieszamy je z alkoholem, to zaczyna się robić niebezpiecznie. Wszystko zależy od dawki. Przykładowo z pseudoefedryny, która w małych ilościach stosowana jest w popularnych lekach na zapalenie zatok, produkuje się również metamfetaminę, bardzo toksyczny i silnie uzależniający narkotyk. A stosowana na kaszel kodeina jest bliską siostrą heroiny. Ludzie nie zdają sobie z tego sprawy, bo co może mieć wspólnego straszna strzykawka z brunatną cieczą i syrop z uśmiechniętym człowiekiem na opakowaniu?

Nawet dilerzy zmienili swój asortyment. Kiedyś królowały stymulujące proszki czy pigułki ecstasy, teraz niektórzy sprzedają głównie leki.

Zażywane przez nas substancje są odpowiedzią na nasze społeczno-kulturowe potrzeby. W latach 70. i 80. mieliśmy w Polsce siermiężną narkomanię, związaną z siermiężnym komunizmem, kiedy było szaro i buro. Lata 90. to z kolei czas szybkiego, agresywnego kapitalizmu i na tę rzeczywistość trzeba było

Kodeina jest bliską siostrą heroiny.

Ludzie wciąż jednak nie rozumieją, co może mieć wspólnego strzykawka z brunatną cieczą i syrop z uśmiechniętym człowiekiem na opakowaniu.

się załapać, czyli nadążać, przyśpieszać i emanować pewnością – amfetamina fantastycznie się w to wpisywała. Później czasy robiły się coraz szybsze, ale też bardziej „plastikowe" – nastawione na szybki efekt i na ilość bardziej niż jakość. Stąd dopalacze – tanie, kolorowe i ładnie opakowane. Działały błyskawicznie i efektownie. A tak naprawdę były syntetyczną trucizną. Teraz coraz częściej bierzemy leki, przeciwbólowe czy przeciwlękowe.

Leki są wytrychem na nasz lęk?

Lęk wolno płynący, często nawet nieuświadomiony. Ludzie są bardzo niepewni jutra, pod każdym względem: społecznym, politycznym, ekonomicznym czy nawet ekologicznym. W efekcie globalizacji i internetu nastały też czasy koszmarnego relatywizmu. Dziś nie wiadomo, co jest prawdziwe, a co fejkowe; nie ma jasnych wytycznych i ram. A to właśnie punkty odniesienia i ramy pomagały nam budować poczucie bezpieczeństwa i naszą tożsamość. To zabawne, bo wcześniej się przeciw tym ramom buntowaliśmy, walczyliśmy o swoją wolność. Ale ona nie równa się szczęściu. Bez stałych punktów odniesienia i zasad, zamiast szczęścia mamy chaos, podszyty lękiem i niepewnością. Dlatego leki, zwłaszcza benzodiazepinowe, stanowią odpowiedź na te czasy. Błyskawicznie uspokajają i dają uczucie komfortu emocjonalnego. W chwilę wszystko wydaje się wracać na swoje miejsce, znika nasze napięcie i lęk. Pozornie.

Jakie funkcje spełnia dziś odurzanie się młodych? To forma autokreacji i realizacji siebie? Bunt przeciwko kulturze, w której dominuje paradygmat nieustającej pogoni za sukcesem?

Główną przyczyną początkowych eksperymentów z substancjami psychoaktywnymi jest – obok ciekawości – zaznaczenie swojej tożsamości oraz swojego miejsca w grupie rówieśniczej. Pierwsze grupy heroinistów w Polsce to środowiska inteligenckie – klasyczny przejaw kontestacji, niezgody na reżim, szukania kreatywności. Zażywanie narkotyków jest jednak stare jak historia ludzkości. One kiedyś przynależały do bardzo wybranych grup, związanych z rytuałami albo obrzędami. My – intelektualiści lub szamani – wiemy więcej. Współcześnie odurzanie się również przybiera formę buntu, bycia w kontrze do szarych mas. Teraz mówimy o sytuacji pędu społecznego, wyścigu szczurów, przypisanych ról społecznych; że nie chcę kończyć prawa, wziąć ślubu i urodzić dwójki dzieci, czyli żyć tak, jak oczekuje ode mnie społeczeństwo.

Dlaczego się uzależniamy? Jesteśmy zbyt zachłanni?

Uzależnienie wynika przede wszystkim z zagubienia. To sposób radzenia sobie. Co prawda koszmarnie niekonstruktywny i nieadaptacyjny, ale często, w danym momencie, jedyny dostępny. Jeśli chodzi o naszą zachłanność, to dziś jesteśmy społecznie wychowywani tak, by nie tolerować dyskomfortu. Właściwie nie potrafimy czekać na odroczone gratyfikacje. Kiedyś zupełnie naturalnym było, że czasami po prostu nic się nie działo, że musieliśmy na coś cierpliwie poczekać. A teraz, jeśli chcemy jakiejś informacji czy doświadczenia, wchodzimy do internetu, naciskamy guzik i mamy to natychmiast.

Analogicznie: czujemy napięcie, więc bierzemy tabletkę?

Chcemy błyskawicznego efektu, a nasza kultura sugeruje nam, że jeśli mamy jakiś dyskomfort, to musimy go natychmiast zlikwidować. Nie zastanawiamy się nad przyczyną, najbardziej pożądane jest bezzwłoczne niwelowanie objawu. A efekt po narkotykach pojawia się natychmiast. Później trzeba za to zapłacić rachunek, ale to nie przychodzi nam do głowy, niewygodne fakty są wypierane. Myślimy tylko o tym, że w tej chwili ma nam być dobrze, albo – że nie ma być nie-

dobrze. Żyjemy zresztą w świecie, który sprzyja uzależnieniom. Nawet jeśli rodzice będą stawać na głowie. Poza tym, oni sami stają się ofiarami tego stawania na głowie i pomagają sobie – jak nie drineczkami (ale przecież eleganckimi, „to nie jest żadne uzależnienie!"), to lekami, żeby w tym całym szaleństwie móc spokojnie zasnąć.

Do tego platformy streamingowe karmią nas serialami, jak „Gambit królowej" czy „Euforia", które tylko pozornie mają moc zniechęcającą.

One pokazują wręcz, że narkotyki czynią wyjątkowym! Przedstawiają postacie, z którymi chcemy się identyfikować, które coś osiągają, są ciekawe. Mają czadowe życie. Nie siedzą w szarym bloku z żelbetonu, tylko mają ekstra imprezy. Tego można pozazdrościć, zwłaszcza z perspektywy bycia nastolatkiem. Na poziomie nieświadomego przekazu zostajemy więc z wyobrażeniem, że ćpanie wyróżnia, uatrakcyjnia, czyni ciekawym i daje kreatywność. Mało jest treści, które niosłyby ze sobą edukacyjny wątek. Jak porównamy film „My, dzieci z dworca Zoo" z lat 80., gdzie wyraźnie było widać siermiężność uzależnienia, całe związane z nim cierpienie i upokorzenie, do współczesnej wersji – to w tej chwili bohaterowie latają w różowych futrach i chodzą na imprezy do modnych klubów! To kwintesencja przekazu wokół narkotyków. A że oni przy okazji mają problemy? Zawsze można powiedzieć, że każdy je ma. Nie widać powagi konsekwencji, które idą za używaniem tych nieszczęsnych „używek".

Dlaczego dla jednych używanie ich staje się źródłem problemów, a dla innych nie?

Uzależnia się mniej niż 10 procent osób, które zaczynają eksperymentować z jakimiś substancjami. Elementem decydującym są więc indywidualne predyspozycje. Nie ma czegoś takiego jak „gen uzależnienia", ale możemy odziedziczyć pewnego rodzaju cechy temperamentu: na przykład niższą odporność na stres czy większe zapotrzebowanie na nowe bodźce. Nasze cechy mogą też pośrednio powodować, że gorzej funkcjonujemy w relacjach społecznych. Tymczasem to bliskość jest największym zabezpieczeniem przed potencjałem uzależnienia się.

ALEKSANDRA PRUGAR / ARCHIWUM PRYWATNE

DR MARIA BANASZAK jest specjalistką psychoterapii uzależnień, pełnomocniczką zarządu głównego Stowarzyszenia Monar ds. badań i rozwoju, doradczynią naukową PredictWatch, współautorką książki „Hajland. Jak ćpają nasze dzieci".

Czy za uzależnieniem zawsze kryje się trauma?

Udziałem znakomitej większości osób uzależnionych jest potocznie rozumiana trauma. Co nie oznacza od razu, że musi to być gwałt, mówimy też o traumie relacyjnej: zaniedbaniu albo nadmiarze atencji, kontroli. Ale to nie powoduje uzależnienia, jest przecież mnóstwo osób z trudnymi doświadczeniami, które nie popadają w nałogi. Elementem wspólnym dla wszystkich uzależnionych jest brak umiejętności radzenia sobie z cierpieniem, napięciem emocjonalnym, trudnościami i konfliktami wewnętrznymi. Bo jeśli człowiek potrafi tworzyć satysfakcjonujące i trwałe związki, brać odpowiedzialność za własne samopoczucie, konsekwentnie dążyć do jakiegoś celu, potrafi się rozwijać i radzić sobie z dyskomfortem, te substancje mogą być urozmaiceniem czy elementem rytuału społecznego, ale nigdy nie staną się bardziej atrakcyjne od rzeczywistości, bo na dłuższą metę ćpanie jest strasznie nudne.

Jak więc poradzić sobie z tą ambiwalencją wpisaną w decyzję o zażywaniu?

Od pewnego momentu ta decyzja staje się coraz mniej naszą własną, bo rozwijają się mechanizmy związane z nałogiem, które manipulują naszym postrzeganiem rzeczywistości. Z jednej strony, w naszym mózgu szaleje dopamina, która każe nam za wszelką cenę dążyć do przyjemności, z drugiej – mamy mechanizmy psychologiczne, takie jak wyparcie czy racjonalizacja, dzięki którym nie dostrzegamy, że nasze zachowanie nosi znamiona ryzyka.

W takim razie, czy picie weekendowe po stresującym tygodniu może być już uzależnieniem?

Uzależnieni nie muszą zażywać substancji codziennie. Chodzi o to, że stają się więźniami pewnych rytuałów. Ćpają nie tylko w momencie zażywania substancji. Proces uwalniania dopaminy zaczyna się w mózgu już na poziomie oczekiwania na rytuał. Ludzie są nakręceni wizją, że zaraz, za kilka dni, będzie fajnie. Ale to nie jest życie „tu i teraz". To przeczekiwanie od rytuału do rytuału. Osoby uzależnione fantastycznie potrafią się mobilizować w życiu, czekać tygodniami, a do tego racjonalizować sobie, że skoro podtrzymują jakieś role społeczne, to wszystko mają pod kontrolą. Pytanie, czy zareagują złością i napięciem, jeśli ktoś zakłóci ten rytuał.

Czy trzeźwość może wykluczać?

Najtrudniej jest młodym ludziom, bo dorośli są w stanie bardziej świadomie wybierać sobie środowiska. Nastolatkowie są skazani na grupę rówieśniczą z najbliższego otoczenia i to w jej ramach konstytuuje się ich poczucie wartości i tożsamości. A w tym wieku wiele rytuałów wiąże się z przyjmowaniem różnych substancji psychoaktywnych. Co prawda, w dużych miastach powstają świetne inicjatywy trzeźwych imprez, ale zazwyczaj spotkania towarzyskie ograniczają się do tego, że „idziemy się nawalić". I nie chodzi o to, że ktoś trzeźwy będzie wytykany palcem. Nikt nie będzie się ze mnie śmiał, ale po prostu zostanę ze swoją trzeźwością sama. Inni będą coś przeżywać, a ja nie będę w tym uczestniczyć. Trzeźwa młodzież czuje się więc wyobcowana, inna, a co za tym idzie – gorsza. I musi mieć dużo innych zasobów, żeby tę trzeźwość podtrzymywać.

© Rozmawiała DOMINIKA TWOREK

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny, pod sygnaturą akt I Ns 322/22, toczy się postępowanie z wniosku Andrzeja Woźnicy o nabycie na własność przez zasiedzenie z dniem 1 października 2005 r. zabudowanej nieruchomości w Kałuszynie przy ul. Barlickiego 13 – działka nr 2990 objęta KW SI1M/00008285/2.

Sąd wzywa, aby zainteresowani, w szczególności spadkobiercy Władysława Świętulskiego i Heleny Świętulskiej, w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili swoje prawa, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci.

Przed Sądem Rejonowym w Przysusze toczy się postępowanie w sprawie I Ns 512/21 z wniosku Krzysztofa Łomży z udziałem Wiesławy Saganowskiej, Elżbiety Pająk, Sofii Sochy, Henryki Mączyńskiej, Krzysztofa Macierzyńskiego, Edwarda Macierzyńskiego o uwłaszczenie na rzecz Marianny i Tadeusza Łomżów, Agnieszki i Karola Macierzyńskich, Józefy Markowskiej działki nr 981 o pow. 0,11 ha położonej w Klwowie, pow. Przysucha.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się ogłoszenia wykazały swoje prawa do w.w. działki, w przeciwnym razie Sąd stwierdzi uwłaszczenie, jeśli zostanie ono udowodnione.

Sąd Rejonowy w Przysusze I Wydział Cywilny postanowieniem wydanym w dniu 15 grudnia 2022 roku w sprawie I Ns 19/20 nakazał wpłacić do depozytu sądowego kwotę 1.682,00 zł (tysiąc sześćset osiemdziesiąt dwa złote 00/100) tytułem odszkodowania za ustanowienie na rzecz każdoczesnego właściciela działki nr 909 położonej w miejscowości Łęgonice Małe gm. Odrzywół, dla której Sąd Rejonowy w Przesusze V Wydział Ksiąg Wieczystych prowadzi księgę wieczystą nr RA1P/00011409/0, służebności drogi koniecznej biegnącej od drogi gminnej oznaczonej jako działka nr 915 położona w miejscowości Łęgonice Małe gm. Odrzywół, przez działkę nr 916 położoną w miejscowości Łęgonice Małe gm. Odrzywół, przedstawioną na mapie do celów prawnych – wariant I przez biegłego sądowego z zakresu geodezji Jana Zasowskiego, zaewidencjonowanej w Starostwie Powiatowym w Przysusze w dniu 26.04.2021 r. za nr P.1423.2021.417, jako służebność gruntowa wytyczona liniami koloru brązowego zawierająca się w punktach: 28-30-32-36-37--39-41-43-44-42-40-38-35-34-33-31-29-28 na tej mapie.

Złożona do depozytu sądowego kwota zostanie wydana właścicielowi działki nr 916 położonej w miejscowości Łęgonice Małe gm. Odrzywół, który będzie legitymował się dokumentem stwierdzającym jego własność.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny toczy się pod sygn. akt I Ns 49/23 postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Januszu Marku Gańko zmarłym 30 maja 2020 r. w Mińsku Mazowieckim, ostatnio stale zamieszkałym w Mińsku Mazowieckim.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy, w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia, zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Sąd Rejonowy w Przysusze I Wydział Cywilny postanowieniem wydanym w dniu 15 grudnia 2022 roku w sprawie I Ns 19/20 nakazał wpłacić do depozytu sądowego kwotę 1.682,00 zł (tysiąc sześćset osiemdziesiąt dwa złote 00/100) tytułem odszkodowania za ustanowienie na rzecz każdoczesnego właściciela działki nr 913 położonej w miejscowości Łęgonice Małe gm. Odrzywół, nie mającej założonej księgi wieczystej, służebności drogi koniecznej biegnącej od drogi gminnej oznaczonej jako działka nr 915 położona w miejscowości Łęgonice Małe gm. Odrzywół, przez działkę nr 916 położoną w miejscowości Łęgonice Małe gm. Odrzywół, przedstawioną na mapie do celów prawnych – wariant I przez biegłego sądowego z zakresu geodezji Jana Zasowskiego, zaewidencjonowanej w Starostwie Powiatowym w Przysusze w dniu 26.04.2021 r. za nr P.1423.2021.417, jako służebność gruntowa wytyczona liniami koloru brązowego zawierająca się w punktach: 28-30-32-36-37-39-41-43-44-42-40--38-35-34-33-31-29-28 na tej mapie.

Złożona do depozytu sądowego kwota zostanie wydana właścicielowi działki nr 916 położonej w miejscowości Łęgonice Małe gm. Odrzywół, który będzie legitymował się dokumentem stwierdzającym jego własność.

W Sądzie Rejonowym w Jarosławiu I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 522/21 toczy się postępowanie z wniosku Tadeusza Czuba z udziałem Pawła Czuba, Małgorzaty Czuba i Katarzyny Czuba o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie własności nieruchomości położonej w Świebodnej, oznaczonej ewidencyjnie jako działka nr 1006/1 o powierzchni 2,4189 ha, objętej księgą wieczystą nr PR1J/00086014/1 prowadzoną przez V Wydział Ksiąg Wieczystych Sądu Rejonowego w Jarosławiu, w której jako właściciel figuruje Michał Czuba, s. Józefa i Katarzyny (nr PESEL 41040500835).

W wypisie z rejestru gruntów działka ta figuruje na Michała Czuba, s. Józefa i Katarzyny (zam. Łopuszka Wielka 411, 37-222 Łopuszka Wielka).

Z odpisu skróconego aktu zgonu Michała Czuba (ur. 28.04.1900 r. w Woli Rzeplińskiej, zmarłego 25.06.1972 r. w Woli Rzeplińskiej) wynika, iż był on synem Józefa i Paraskewi.

Nieruchomość ta jest w posiadaniu wnioskodawcy i uczestników, a w latach 1980-2005 była w posiadaniu Ewy i Andrzeja Czuba.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, a w szczególności następców prawnych zmarłego Michała Czuba, s. Józefa i Paraskewi, względnie Michała Czuba, s. Józefa i Katarzyny, aby w ciągu 3 miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosiły się, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zgodnie z wnioskiem, jeżeli zostanie on udowodniony.

W Sądzie Rejonowym w Mińsku Mazowieckim pod sygn. akt I Ns 21/23 toczy się sprawa z wniosku Powiatu Mińskiego o zezwolenie na złożenie do depozytu sądowego na okres 10 lat przedmiotu świadczenia w postaci pieniędzy w kwocie 680 (sześćset osiemdziesiąt) złotych z tytułu odszkodowania za nieruchomości zajęte pod drogę – działki nr 334/3 o pow. 0,0029 ha i 335/9 o pow. 0,0056 ha, we wsi Chyżyny, gmina Latowicz, dla których nie jest prowadzona księga wieczysta, a których właściciel jest nieustalony, z tym zastrzeżeniem, że odbiór tego świadczenia może nastąpić przez właściciela działek po przedstawieniu przez niego dowodu własności.

TOMASZ

Stawiszyński: *Miłość i władza*

Kiedy w jednym z odcinków trzeciego sezonu „Sukcesji" Siobhan Roy mówi mężowi Tomowi, że go kocha, on zaś w odpowiedzi (cokolwiek, przyznajmy, naciskany, najpierw bowiem po prostu jej dziękuje) odwdzięcza się tym samym – w ogóle nie wierzymy w prawdziwość tych deklaracji. Podobnie kiedy w innej scenie Logan Roy – sędziwy patriarcha rodu, dominujący *senex*, którego, jak na razie, nic i nikt nie jest w stanie pozbawić atrybutów mocy – domaga się zapewnienia, że córka mu ufa, a ona wtedy skwapliwie kiwa głową i twierdzi, że tak właśnie jest. Nie wierzymy ani trochę.

Nie wierzymy, bo wiemy, że to oczywista nieprawda. A wiemy to nie tylko z uwagi na niebywały poziom gry prezentowanej przez aktorów „Sukcesji", którzy wirtuozersko operują jakimiś ledwie uchwytnymi mikroekspresjami, dzięki czemu mamy dostęp do najbardziej splątanych i zniuansowanych emocji czy motywacji bohaterów, a zarazem nie do końca potrafimy wskazać, którędy właściwie ten dostęp uzyskaliśmy. I nie tylko z uwagi na to, że nikt w „Sukcesji" nie zachowuje się po prostu tak, jakby kogoś faktycznie kochał, nikt nie zachowuje się tak, jakby komukolwiek faktycznie ufał. Przeciwnie – wrogość, ostrożność, uprzedmiotowienie i, delikatnie rzecz ujmując, pragmatyczny stosunek do innych należą tam do relacyjnego kanonu. Wiemy to przede wszystkim dlatego, że w świecie tego serialu – nie boję się powiedzieć: jednego z najwybitniejszych, jakie w ogóle powstały – toczy się permanentna, brutalna, realizowana na rozmaite sposoby walka o władzę. Tam zaś, gdzie stawką jest władza, tam, gdzie władza jest dominantą i obiektem najintensywniejszego pożądania – nie ma miejsca na miłość. A gdzie nie ma miejsca na miłość, nie ma go także na zaufanie.

Przeciwieństwem miłości – zapamiętałem to rozpoznanie z któregoś z tekstów mojego ulubionego Jamesa Hillmana – wcale nie jest nienawiść, jak by nam to podpowiadał intuicyjny odruch (mnie przynajmniej do czasów tej lektury tak właśnie podpowiadał). Przeciwieństwem miłości jest władza, dominacja, posiadanie. Te bowiem aspekty, te sfery istnienia stoją na antypodach jakości, które się w doświadczeniu miłosnym uobecniają. Zaufania, więzi, bliskości, otwartości, fascynacji, troski, wspólnoty, a także rezygnacji z „ja" na rzecz „ty" i „my". Jest to współzależność uniwersalna, występująca również, a może przede wszystkim tam, gdzie na poziomie deklaracji jest miłość, gdy tymczasem pod spodem odbywają się, jak w „Sukcesji", machinacje zupełnie odmiennego autoramentu.

Bohaterowie serialu stworzonego przez Jesse'a Armstronga nie kochają się zatem i nie ufają sobie właśnie dlatego, że zajmuje ich wyłącznie pilnowanie, żeby ochronić miejsce, które aktualnie zajmują w hierarchii, ewentualnie wspiąć się jeszcze wyżej. A przy tym w każdej chwili coś lub ktoś im zagraża, nie ma godziny, w której mogliby spokojnie odetchnąć, jeśli zaś taka godzina jakimś cudem wybija – w kolejnej sytuacja ulega znowu radykalnemu odwróceniu.

Owszem, losy bohaterów „Sukcesji" odzwierciedlają archetypowe porządki ludzkich spraw, precyzyjnie opisane choćby w greckich mitach albo sztukach Szekspira. Jednostka pozostaje tam zależna od potężnych, bezosobowych sił kierujących jej przeznaczeniem, a zarazem wciąż na nowo ulega iluzji o własnym sprawstwie – i właśnie z tego zderzenia realiów z iluzją rodzi się tragedia. Odwieczny wątek poszukiwania autonomii wobec potężnego rodzica, który z jednej strony pragnie godnego następstwa, z drugiej nie jest w stanie pogodzić się z nieuniknionym przemijaniem, uzyskuje tu atrakcyjny, współczesny kostium. Psychoanaliza miesza się z fatum, a romans rodzinny przybiera formę bez mała gargantuiczną. Owszem, jest to dzieło o niespotykanej przenikliwości psychologicznej, doskonale obrazujące – znowu: z pomocą ledwie uchwytnych mikroekspresji i mikroobserwacji – złożoną rzeczywistość ludzkich spraw, motywacji oraz powikłań, do jakich w tej materii może dochodzić. Momentami – również dzięki charakterystycznej pracy kamery, żywej, dynamicznej, niekiedy, wydaje się, w równym stopniu co widzowie zaskoczonej biegiem zdarzeń i zmuszanej, żeby się doń gwałtownie dopasowywać – można w ogóle zapomnieć, że się ogląda film. I poczuć np. jakiś dziwny wstyd, jakieś zażenowanie z powodu tego, że się nagle weszło w środek rodzinnej kłótni albo że się wtargnęło przypadkiem do pomieszczenia, gdzie dwoje ludzi prowadzi ze sobą intymne rozmowy.

To wszystko prawda. O „Sukcesji" można by zresztą powiedzieć jeszcze mnóstwo innych rzeczy. Choćby – że jest to bezpardonowy, pozbawiony złudzeń portret współczesnego kapitalizmu. Albo że to bezlitosna satyra na osławiony jeden procent najbogatszych. Albo radykalny moralitet obrazujący cynizm i zepsucie współczesnych elit.

Zgoda, ze wszystkim tym zgoda. Ale – moim przynajmniej zdaniem – jest to w pierwszej kolejności opowieść o świecie, w którym nie ma miłości, bo brakuje już na nią miejsca. Zastanawiam się więc, czy to dojmujące wrażenie realizmu nie bierze się przypadkiem także z intuicyjnego przeczucia, że świat, który nas otacza, zaczyna coraz bardziej przypominać ten oglądany na ekranie. ©

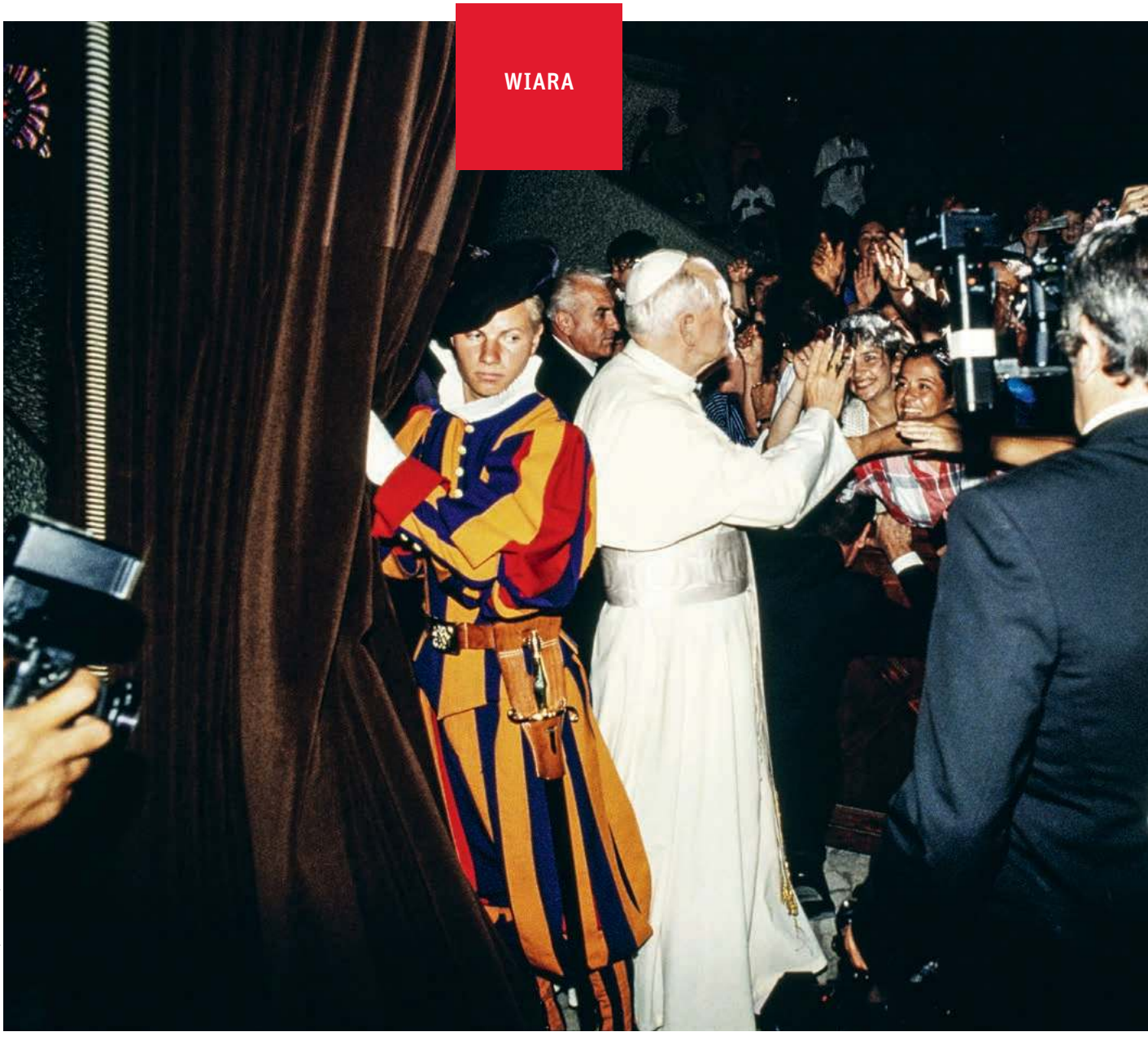

DENIZE ALAIN / SYGMA / GETTY IMAGES

STREFA ŚWIATŁA I CIENIA

KS. ALFRED WIERZBICKI, ETYK:

Żeby ocalić dorobek Jana Pawła II, trzeba teraz jego biografię napisać bardziej realistycznie.

ARTUR SPORNIAK: Odnosząc się do sprawy Karola Wojtyły, stwierdził Ksiądz Profesor, że niejasności wokół jego postawy to nie tyle „maxima culpa" (wielka wina), ile „felix culpa" – szczęśliwa wina. W jakim sensie?

KS. ALFRED WIERZBICKI: Gdybyśmy podeszli poważnie do stawianych Wojtyle zarzutów, przekonalibyśmy się, że dotyczą nie tylko jego, ale w ogóle Kościoła w Polsce. Tu tkwi sedno sprawy – a nie to, czy Wojtyła wiedział, czy nie wiedział o księżach pedofilach, bo tego się można było domyślać przed reportażem Piotra

Gwardia Szwajcarska ochrania Jana Pawła II. Watykan, 1988 r.

Gutowskiego czy książką Ekke Overbeeka. Natomiast jeśli to dotyka Wojtyły, czy to nie jest wreszcie powód, by powołać niezależną komisję do szczerego rozliczenia z całym Kościołem w Polsce? Tego typu komisje działały w Niemczech, we Francji, ostatnio w Portugalii, a ich prace przyniosły pozytywne rezultaty.

Sytuacja w Polsce jest naprawdę alarmująca. Nie znam drugiego Kościoła w Europie, w którym ponad dziesięciu biskupów już zostało pociągniętych do odpowiedzialności przez Stolicę Apostolską. Jeśli teraz cała para pójdzie w obronę Wojtyły, pogłębimy tylko kryzys.

I stracimy najlepszą okazję?

Sprawy Wojtyły nie możemy zignorować. Więc tak, jest ona okazją, by Kościół rozliczył się z pedofilii. Zresztą widzimy, że Jan Paweł II z czasem coraz bardziej zdawał sobie sprawę, jak to poważny problem w całym Kościele. Początkowo ograniczał go do Stanów Zjednoczonych. To dla amerykańskich biskupów ogłosił zasadę „zero tolerancji" wobec nadużyć seksualnych. Potem sprawy te przekierował do Kongregacji Nauki Wiary – biskupi musieli je tam zgłaszać.

Czego nie robili, bo nie było norm, które karałyby za niewywiązywanie się z biskupich obowiązków.

Zgadza się.

A teraz są normy wprowadzone przez Franciszka w 2019 r. i dalej nie działają. Watykan przestał karać biskupów.

Normy nie działają. I mimo że kary nie są dotkliwe, są ignorowane – np. zakaz uczestniczenia w celebracjach liturgicznych. Ostatnio mieliśmy przypadek biskupa z takim zakazem – byłego metropolity wrocławskiego, który pojawił się na konsekracji nowego biskupa gliwickiego.

Napisał Ksiądz, że porządne zajęcie się sprawą Wojtyły „pozwoliłoby zamknąć niechlubny rozdział klerykalizmu w polskim Kościele". Obawiam się, że klerykalizm jeszcze długo będzie się miał w Polsce dobrze.

Prawdę mówiąc, ja też się tego obawiam. Ale biorąc pod uwagę spadek w ciągu dwóch dekad liczby powołań do seminariów, niedługo nie będzie można prowadzić całego duszpasterstwa tylko w oparciu o księży. Myślę, że klerykalna pycha duchowieństwa z czasem będzie kruszeć. Na razie jednak ma się bardzo dobrze, co pokazała ostatnia niedziela przed świętami, kiedy odbywały się marsze w obronie Jana Pawła II.

Wydaje się, że do klerykalizmu poważnie podszedł tylko episkopat niemiecki. Tylko on zgodził się, by w ramach Drogi Synodalnej rozmawiać o reformach ze świeckimi, na równi. Te rozmowy doprowadziły do nowych propozycji.

Również uważam, że tylko niemieccy biskupi na serio podeszli do diagnozy, że klerykalizm niszczy Kościół i że nie ma teologicznych przesłanek do utrzymywania władzy duchownych oraz traktowania świeckich tylko jako adresatów posługi duszpasterskiej. Dziś chodzi o odpowiednie rozłożenie władzy, a co za tym idzie – także odpowiedzialności. To nie jest walka o władzę w sensie politycznym.

Nieraz stawia się zarzut, że Kościół to nie demokracja. A dlaczegóżby nie? Kościół tak dobrze odnalazł się w strukturach feudalnych i tak nimi nasiąkł, że mógłby poeksperymentować teraz ze strukturami demokratycznymi. Moim zdaniem właśnie niemiecka Droga Synodalna, w której głosy biskupów i świeckich rozkładały się po partnersku, jest takim eksperymentem – i raczej udanym.

Skąd zatem tak ostra krytyka z wielu stron, m.in. papieża Franciszka i Kurii Rzymskiej?

Nie wiem, dlaczego Watykan się tego obawia. Ze względu na nowość procesów decyzyjnych Drogi Synodalnej? Jeśli mówi się o deklerykalizacji i decentralizacji Kościoła, to bądźmy konsekwentni! Niemcy w każdym razie tacy są.

Chyba największy opór budzi tematyka, która stała się przedmiotem obrad Drogi Synodalnej, czyli sprawy dotyczące zasadniczo etyki seksualnej, np. zgody na błogosławienie par homoseksualnych. To niepokoi lokalne Kościoły – a nie sama synodalność, która została pokazana w bardzo dojrzały sposób. Żaden Kościół nie może się dotychczas czymś takim pochwalić i na pewno to stanie się wkładem Kościoła niemieckiego do dziejów Kościoła powszechnego.

W adhortacji „Evangelii gaudium" Franciszek pisze o prymacie czasu nad przestrzenią, czyli prymacie procesów nad natychmiastowymi rozwiązaniami. Dla niego ważniejsze jest zapoczątkowywanie procesów niż dawanie natychmiastowych odpowiedzi. Sądzę, że ta zasada rzeczywiście się weryfikuje. To, co się stało w Niemczech, jest zapoczątkowaniem nieodwracalnego nowego doświadczenia Kościoła. Nie tylko będziemy musieli wszyscy się z tym oswoić, ale też będziemy musieli wejść na podobną drogę. ↦

↦ Dla mnie najśmieszniejsze w krajowej syntezie synodalnej były deklaracje, że my, polscy katolicy, nie chcemy Drogi Synodalnej. To świadectwo albo niewielkiej świadomości tego, o co chodziło w Drodze, albo wyraz jakichś fobii. W polskiej syntezie jeszcze jeden moment był zabawny: i świeccy, i księża prosili, żeby nie obradować razem. Trudno myśleć o nauczeniu się synodu, jak my od razu w dwóch różnych grupkach startujemy i tak kończymy.

Ksiądz Profesor twierdzi, że żyjemy w epoce przełomów moralnych. W artykule na portalu Wiez.pl Ksiądz pisze, że np. stosunek do niewolnictwa czy kary śmierci zmieniał się w procesach obejmujących dziesiątki lat. Czyli taki nowy przełom jest możliwy?

Tak uważam. Zmienia się np. nasza wrażliwość na pedofilię. W Kościele zawsze była ona zaliczana do ciężkich grzechów, ale nie mieliśmy wiedzy psychologicznej dotyczącej ofiar. Pedofilię wśród duchownych traktowano w kategoriach prawno-moralnych. Groziły za nią dość łagodne sankcje, choć dawny kodeks z 1917 r. przewidywał także możliwość wydalenia ze stanu duchownego. Gdyby do tej pory tak wiele uwagi media nie poświęciły właśnie ofiarom, gdyby nie powstawały takie inicjatywy jak „Zranieni w Kościele", dalej byśmy tkwili w tej niewiedzy. Nie mielibyśmy świadomości, jak wielka krzywda dokonuje się w Kościele.

W Kościele – zwłaszcza jeśli chodzi o doktrynę – nie widać znaczącego docenienia psychologii. Np. wbrew nauce Kościół odrzuca płeć psychologiczną, istotną dla zrozumienia sytuacji osób transseksualnych. Ostatnio biskupi amerykańscy zakazali szpitalom katolickim dokonywania korekty płci, bo „dusza nigdy nie może być w niewłaściwym ciele". To odwołanie do metafizyki Arystotelesa sprzed 24 wieków!

To aprioryzm antropologiczny – czyli założone z góry prawdy, które nie mają kontaktu z rzeczywistością. Znam osobiście osoby transseksualne i zdałem sobie sprawę, że ta niezgodność płci psychologicznej z płcią biologiczną nie jest czymś wydumanym. Te osoby doświadczają strasznej udręki. Do tego stopnia, że notuje się wśród nich bardzo wysoki odsetek myśli samobójczych.

Kościół musi wypracować nowe rozwiązania moralne, uwzględniające z jednej strony konieczne principia moralne, a z drugiej strony – dzisiejszą naukową wiedzę.

Cóż mogę powiedzieć? Mamy problem w Kościele z asymilacją współczesnych nauk empirycznych. We wrześniu będziemy celebrować 25-lecie encykliki Jana Pawła II „Fides et ratio" – już zapowiedziano szereg konferencji. Moim zdaniem ta encyklika zatrzymała się w połowie drogi. Jej początek jest uniwersalny: „Wiara i rozum (*Fides et ratio*) są jak dwa skrzydła, na których duch ludzki unosi się ku kontemplacji prawdy". Ale rozum to nie tylko filozofia uwikłana w założenia swych systemów, jak przedstawia to Jan Paweł II, ale przede wszystkim to dzisiaj nauka. Pewną nadzieję można wiązać z faktem, że obecnie w watykańskich instytucjach – takich jak Papieska Akademia Życia – jest więcej debat, które korzystają z nauki. Ale to mimo wszystko bardzo cienki strumyk. Cierpi na tym bardzo np. formacja księży. „Fides et ratio" trzeba koniecznie poszerzać o nowe działy nauki – zwłaszcza te, które stanowią wyzwanie dla prawd wiary, którymi żyjemy, jak ewolucjonizm czy neuronauka.

Kościół niemiecki stara się zmienić podejście do osób LGBT+, ale to wymaga zreformowania antropologii chrześcijańskiej, czyli poważnej zmiany w doktrynie. Obowiązująca wizja człowieka, budowana na dosłownym odczytywaniu pierwszych rozdziałów Księgi Rodzaju, nie widzi tych ludzi. Widzi tylko heteroseksualnych mężczyzn i kobiety.

Musiałem się rozstać z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim, bo powiedziałem, że dokument episkopatu na temat osób LGBT+ z 2020 r. wygląda, jakby był pisany na Księżycu (był doktrynerski, a nie duszpasterski, i mógł być wykorzystywany jako narzędzie dla siania homofobii). Najpierw rektor KUL wydał oświadczenie, że stanowisko tej uczelni jest takie jak episkopatu. W ogóle nie wiem, dlaczego rektor ma oświadczać, jakie jest stanowisko KUL. Przecież na tej uczelni jest co najmniej dwustu samodzielnych pracowników naukowych i może lepiej byłoby ich zapytać przed taką deklaracją lojalności, jakie jest ich stanowisko.

Później z tego samego powodu wszczęto wobec mnie postępowanie dyscyplinarne. I wcale mnie w tej materii nie uznano za niewinnego, tylko skorzystano z przeprowadzonej przez ministra Czarnka nowelizacji ustawy, według której sprawy o charakterze ideologicznym nie stanowią przedmiotu postępowań dyscyplinarnych, a jeżeli się takie toczą, to należy je zawiesić. Co więcej, w przypadku wcześniejszych wyroków należy dokonać zatarcia. Więc uczelnia, na której powinna się toczyć rzetelna debata korzystająca z nowoczesnych poznawczych instrumentów, jakie daje nauka, zamienia ją w postępowanie dyscyplinarne.

Czy zatem może się coś w tym temacie zmienić w Kościele? W październiku odbędzie się pierwsza z dwóch części synodu na temat synodalności. Czy jest szansa, że doktryna – przedstawiana jako niewzruszony bastion – zostanie poluzowana? Dodajmy, że do utwardzenia doktryny przyczynił się właśnie Jan Paweł II.

Unikałbym określenia „poluzowanie", bo ci, którzy chcieliby, żeby rzucić nowe światło na kwestie moralne, zaraz będą okrzyczani relatywistami. Powiedziałbym, że konieczne jest jej przemyślenie na nowo, które pociągnęłoby za sobą odejście od rygorystycznej wykładni w szeregu spraw, czy też pochopnej moralnej kwalifikacji niektórych działań. Uważam np., że partnerskie związki homoseksualne są do przyjęcia ze strony Kościoła. Sam Franciszek opowiedział się w prywatnej rozmowie za związkami – jak to określił – cywilnymi.

Poza tym nie można się trzymać encykliki Jana Pawła II „Veritatis splendor" jako punktu archimedesowego etyki. Ta encyklika była reakcją Jana Pawła II na pewne tendencje tzw. nowej teologii moralnej i spotkała się z zarzutem, że jest uproszczoną i zniekształcającą interpreta-

cją tej teologii. Powiem najkrócej jak potrafię: „Veritatis splendor” odnosi się do pewnego etapu dyskusji w teologii, jest zatem czymś przeszłym. Za papieża Franciszka mamy bardziej zaawansowany dialog w Kościele. Teraz potrzeba ośmielić teologię do wypracowania rozwiązań moralnych uwzględniających z jednej strony konieczne pryncypia moralne, bez których nie ma myślenia moralnego, a z drugiej strony – dzisiejszą naukową wiedzę. To wszystko jest do wykonania, w tym sensie trwanie przy „Veritatis splendor” – jako odległym etapie dyskusji – nie ma sensu.

W jaką stronę ewoluuje teraz dyskusja moralna w Kościele?

Nie obserwuję jakiejś wielkiej debaty dotyczącej samego modelu nauczania moralnego. Są zgłaszane postulaty pastoralne, czyli dotyczące praktyki duszpasterskiej. Może pójdzie to właśnie tą drogą. Wydaje się, że taki jest zamysł papieża Franciszka, który raczej nie wchodzi na pole doktryny.

Przykładem na psychologiczną ignorancję obecnej doktryny moralnej Kościoła mogą być słowa z homilii Jana Pawła II z 27 września 1986 r. poświęconej 11-letniej świętej, która została zamordowana, gdyż nie chciała ulec gwałcicielowi: „Maria Goretti umiłowała czystość tak, jak Chrystus. Nie chciała popełnić żadnego grzechu przeciwko niej – nawet za cenę własnego życia – gdyż nie chciała obrazić Chrystusa”. Wynikałoby z tego, że gdyby dziewczynka się nie broniła, popełniłaby grzech.

Oczywiście, że w takim przypadku nie może być mowy o grzechu. Żyją tysiące ofiar zgwałconych np. przez księży. Przecież nie można im przypisywać żadnego grzechu. Grzech jest świadomym i dobrowolnym przekroczeniem prawa Bożego. Taka jest definicja katechizmowa. Już nawet wedle tej definicji nie można mówić w przypadku ofiary gwałtu, że popełniłaby grzech, gdyby nie przyjęła męczeństwa. Nikogo przecież nie wolno przymuszać do czynów heroicznych, które są piękne, bo są w granicach ludzkiej możliwości, ale nieobowiązkowe. W tej homilii słychać jakąś emfazę kaznodziejską prowadzącą do skrajności.

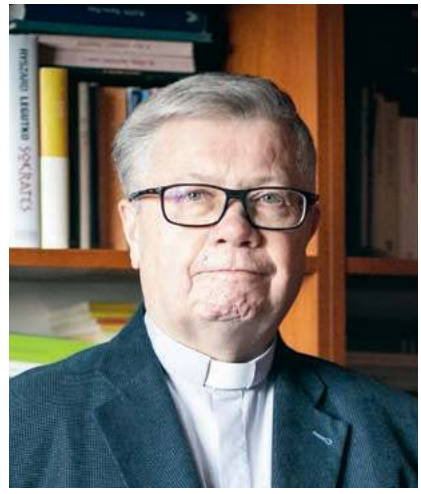

JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

KS. ALFRED WIERZBICKI (ur. 1957) jest filozofem, od 2022 r. profesorem Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Wcześniej kierował Katedrą Etyki na Wydziale Filozofii KUL, a w latach 2006-14 był dyrektorem Instytutu Jana Pawła II KUL. Wydał m.in. książkę „Kruche dziedzictwo. Jan Paweł II od nowa”.

Właśnie w „Veritatis splendor” znajdziemy długie passusy o męczeństwie jako najważniejszym potwierdzeniu nienaruszalności norm moralnych nawet za cenę oddania życia. Można dostrzec w tym parcie do rygoryzmu.

To chyba ks. Józef Tischner zwrócił uwagę na pewną niespójność tej encykliki. Ona się zaczyna od rozmowy Jezusa z młodym człowiekiem, który poszukuje drogi życia, a potem mamy wykład doktryny zamykający rozmowę.

Czy prawda może gorszyć? Tak myślał i Wojtyła, gdy strofował Jerzego Turowicza za to, że zbyt szczegółowo relacjonował spory na Soborze Watykańskim II, i potem Jan Paweł II w liście do amerykańskich biskupów, gdy krytykował zbyt duże zainteresowanie mediów złem w Kościele.

Mówmy tylko o rzeczach pozytywnych, a choć wiemy, że zło jest, to go nie nagłaśniajmy, żeby nie gorszyć – w takiej postawie jest jakiś paternalizm. Wyższość człowieka oświeconego, a w przypadku Wojtyły – biskupa, który ma poczucie swojej odpowiedzialności za wiernych. Tymczasem odkrywanie pedofilii i skłonienie Kościoła do mniej lub bardziej posuniętego rozliczenia dokonało się nie od wewnątrz Kościoła. Nie poprzez głoszenie wzniosłych ideałów, które oczywiście są ważne, ale poprzez demaskację tego brudu, który jest w Kościele. Pamiętam, że miałem spięcie z pewnym księdzem, który się oburzył, że kard. Ratzinger podczas pamiętnej Drogi Krzyżowej w Koloseum mówił o brudzie w Kościele. Jeśli poważnie traktujemy wiarę i te momenty sakralne, jak Droga Krzyżowa, to trzeba mówić o tym, co nas oddala od prawdy ewangelicznej.

Ksiądz powiedział też, że „trzeba biografię Jana Pawła II napisać na nowo, kiedy widzimy także jakieś rysy charakteru”.

Oczywiście nie całkiem na nowo – wielu zasług i dokonań nie można mu odmówić. Ale biografie pisane za życia – Weigla czy Ricardiego – były próbą zrozumienia pontyfikatu podczas jego trwania. My dzisiaj więcej wiemy także o człowieku – jak bardzo był uwikłany w mentalność Kościoła swojego czasu. Trzeba spróbować pisać biografię Jana Pawła II bardziej realistycznie.

To trudna rzecz pisać o świętych, jak to kiedyś mówiono, *sine ira et studio*, bez gniewu i pasji. W tej chwili jesteśmy jeszcze pod presją emocji – zarówno szoku, gdy się dowiadujemy o tych co najmniej kłopotliwych zachowaniach Wojtyły, jak i wzburzenia związanego z obroną, która widzi w szukaniu prawdy o tym człowieku atak na Kościół i świętość Jana Pawła II. Jestem przekonany, że jest on największą postacią w historii Kościoła polskiego. Powinniśmy zadbać o wolność w jej badaniu.

To apel o większą dojrzałość?

Myślę nawet, że to sprawa naszego narodowego charakteru. Niedawno wertowałem wspomnienia Gombrowicza. I choć je wcześniej już czytałem, dopiero teraz zwróciłem uwagę na opis narodowej histerii po śmierci marszałka Piłsudskiego. Nawet ci, którzy go wcześniej zwalczali, byli załamani i zastanawiali się, co teraz będzie. Naszą własną wielkość i nasze deficyty musimy wspierać na wielkości innych. Tymczasem, jak się spojrzy na dzieje każdego, także wybitnego człowieka, znajdziemy strefę światła i strefę cienia.

©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

ALI ATMACA / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

Wirujący derwisze podczas rocznicy operacji morskich w kampanii dardanelskiej. Canakkale, Turcja, marzec marzec 2017 r.

Derwisza kręci wiara

MARCELINA SZUMER-BRYSZ, KONYA (TURCJA)

Są wśród nich teolodzy, wykładowcy akademiccy, krawcy i piekarze. Wirujący derwisze nawet w ojczyźnie dla wielu są zagadką.

Kiedy pytam Turnera Baydara, jak zostać derwiszem, jest zdziwiony. To przecież takie oczywiste.

– Najpierw trzeba poczuć pragnienie zgłębienia wszystkich tajemnic naszego proroka Mahometa i wsłuchać się w jego słowa. Potem wystarczy znaleźć grupę, która jest najbliższa naszemu sercu i umysłowi i nawiązać więź z jej przywódcą. Ścieżka do zostania derwiszem nie zacznie się bez duchowego związku z szejkiem.

Duchowym przywódcą (bo takie znaczenie ma w islamie określenie szejk) Turnera Baydara był Hasan Çikar ze Stambułu, przez niemal 20 lat przewodzący loży wirujących derwiszów działającej w dzielnicy Galata. Zmarły przed pięciu laty *dede* – dziadek, jak zwykli tytułować szejków uczniowie, był znaną na świecie postacią. Z wykładami o sufizmie i Mevlanie jeździł po całym świecie, a pokazy mistycznego tańca, zwanego sema, realizował nie tylko w Stambule, ale i w USA. To tam jego derwisze tańczyli w kościołach.

Baydar, jak wielu innych derwiszy, nie bardzo chce mówić o sobie, może w myśl powtarzanej czasem zasady, że o byciu derwiszem świadczy zachowanie, a nie słowa, a samo mówienie o sobie jako o mevlevim – członku bractwa wirujących derwiszy – to wyraz pychy, której podążający ścieżką Mevlany powinien się wystrzegać.

– Określa się nas mianem derwiszy, ale w rzeczywistości jesteśmy tylko uczniami naszego mistrza – tłumaczy, choć przeszedł przy Hasanie Çikarze całą ścieżkę szkolenia i wiruje z innymi derwiszami podczas pokazów sema w loży Galata.

Pokazuje mi za to filmy, które nagrał jeszcze za życia swojego mistrza. Starszy pan, do którego po nauki przyjeżdżali nawet Japończycy, ze spokojem tłumaczy, kim jest derwisz: „Kochankiem derwisza jest Bóg. Derwisz zawsze mu się poddaje i nigdy nie jest sam, bo spędza z nim dni, noce, wykonuje z nim swą pracę. Derwisz przyodziewa się w Boga”.

Czy zawsze wiruje

Derwisz to z języka perskiego żebrak. Nazwy używano już w XI wieku na określenie członków rozmaitych bractw muzułmańskich podążających drogą sufizmu – mistycznego nurtu w islamie. Wirować derwisze zaczęli – nie wszyscy zresztą – ponad sto lat później. Początek temu rodzajowi modlitwy, a także całemu nurtowi w islamie, dał Dżalaluddin Rumi Mevlana. Poeta, mistyk i duchowny, którego Turcy uważają za swoje narodowe

dobro, urodził się w Wachsz w dzisiejszym Tadżykistanie. Jego ojciec był islamskim teologiem i mistykiem, którego nauki miały wielki wpływ na syna, podobnie jak miejsce, w którym dorastał, Balch (dziś Afganistan) stanowił istną mieszankę kultur i wyznań. Rumi od dzieciństwa był więc zaznajomiony nie tylko z teologią islamską, ale i elementami zoroastryzmu czy buddyzmu. Z chrześcijaństwem zetknął się już jako dorosły człowiek w Konyi. Jego ojciec nauczał tu w szkole dla derwiszy. Po jego śmierci nauczycielem został Mevlana.

W mieście, funkcjonującym w Dziejach Apostolskich pod nazwą Ikonium, istniała wówczas spora wspólnota chrześcijańska – tak grecka, jak ormiańska. Mevlana najpewniej znał grekę, co umożliwiło mu studiowanie Ewangelii i rozmowy z miejscowymi. Z zachowanych pism wynika, że spotykał się z duchownymi, a lektura jego poezji dowodzi – twierdzą niektórzy badacze jego pism – że „wykazywał zrozumienie" dla boskiej natury Jezusa, który dla muzułmanów jest przecież „tylko" prorokiem.

Muzułmańscy badacze widzą to nieco inaczej. Przywołują dowody mające świadczyć, że to on miał większy wpływ na chrześcijan niż oni na niego. Powtarzana więc jest historia o księdzu, któremu jeden z uczniów Mevlany miał dostarczyć do Stambułu list. Gdy po mszy podszedł do duchownego i wręczył mu korespondencję, ten zdjął szaty liturgiczne i założył filcową czapkę przyznając: „Jestem jednym z was".

Albo taką o chrześcijańskim mnichu, który na spotkaniu z Mevlaną nisko mu się ukłonił. Islamski filozof ukłonił się więc jeszcze niżej. Chrześcijanin zrobił to samo. Sytuacja powtarzała się, póki obaj nie leżeli na ziemi. Mnich z miejsca miał przyjąć islam pełen podziwu dla pokory Mevlany. Wersje tych historii różnią się w zależności od tego, kto je opowiada. Pewne jest jednak, że być może nie byłoby mistycznego tańca, i arcydzieł sufickiej poezji, bo Rumi był już wtedy statecznym mężem i ojcem, gdyby nie spotkanie, do którego doszło w 1244 r.

Mevlana poznał wtedy Szamsa z Tabryzu, wędrownego derwisza, charyzmatycznego sufiego. Sufizm – mistyczny nurt islamu, kładący nacisk na poznanie Boga i zjednoczenie z absolutem – upowszechniał się już wtedy od dwóch stuleci, jednak to właśnie nauki Szamsa trafiły prosto do serca Mevlany. Mistrz i uczeń zwykli zamykać się w odosobnieniu na długie dni, by rozmawiać o Bogu. Nie podobało się to ani uczniom, ani rodzinie Mevlany. Wersji tego, jak i kiedy derwisze zaczęli wirować, jest wiele. Jedna mówi, że gdy Szams zniknął (być może zamordowany na zlecenie syna Mevlany), Mevlana z rozpaczy miał zacząć wirować we własnym ogrodzie. Inna – że kiedyś na targowisku usłyszał rytmiczne uderzanie garncarskiego młotka. Przepełniło go niezwykłe uczucie, które pogłębiło się, gdy zaczął obracać się wokół własnej osi. Od tej pory robił to regularnie, a uczniowie zaczęli go naśladować.

Zakazany taniec

Po jego śmierci (w pogrzebie uczestniczyli muzułmańscy, żydowscy i chrześcijańscy mieszkańcy Konyi) schedę po ojcu przejął syn Sultan Veled. To jego uważa się za formalnego założyciela bractwa wirujących derwiszy, które tworzył z uczniem Hüsamettinem Çelebim.

Przypadająca w tym roku 750. rocznica śmierci Mevlany zbiega się z inną ważną dla kraju datą. Stulecie proklamowania republiki Turcji członkom bractwa wirujących derwiszy i innych organizacji religijnych w Turcji nie kojarzy się jednak najlepiej. Ledwie dwa lata później, w 1925 r., Mustafa Kemal Atatürk zakazał ich działalności. Rozwiązano medresy – szkoły religijne, i zamknięto *derviş hane* – siedziby islamskich zakonów. Tekke – szkołę uczniów Mevlany, gdzie znajduje się też jego mauzoleum, zamieniono w muzeum, którym jest do dziś, a derwisze musieli zrzucić religijne szaty. Na długie lata zakazano też mistycznego tańca. Derwisze działali w ukryciu, w ukryciu też praktykowali rytuał sema. Dopiero w 1953 r. rząd zezwolił na przywrócenie publicznych występów derwiszy. Początkowo odbywały się one w publicznej bibliotece w Konyi, następnie w salach gimnastycznych i na stadionach. W końcu derwisze doczekali się w mieście własnego budynku, w którym do dziś odbywają się mistyczne pokazy.

Okrągłą scenę oddzielają od widowni niskie, ażurowe barierki. W czasach Mevlany taniec nie miał jeszcze ani własnej nazwy, ani szeregu zasad, według których powinien się odbywać, by „liczyć się" jako modlitwa. Dziś składa się na nią kilka elementów tworzących integralną całość widowiska. Poszczególne etapy symbolizują drogę człowieka do Boga. Pierwsi na scenę wychodzą muzycy. Zaczynają od *naat-ı şerif* – szlachetnej pochwały proroka Mahometa. Derwisze, którzy dotąd stali nieruchomo ze skrzyżowanymi rękoma i spuszczonymi głowami, zajmują, jeden po drugim, miejsca na scenie. Wciąż jeszcze mają na sobie ciemne płaszcze, symbolizujące grób, i wysokie, filcowe kapelusze mające przywodzić na myśl skojarzenie z nagrobkiem. Wirując, pozbywają się części odzieży, tak jakby pozbywali się doczesnych zmartwień i problemów. Zostają w białych szatach: koszulach i rozkloszowanych spódnicach, których kolor kojarzyć się ma z barwą całunów, w których po śmierci muzułmanie składani są do grobu.

Symbolika rytuału sema nawiązuje do układu słonecznego, gdzie derwisze są planetami, a *post-nişîn* – osoba kierująca ceremonią – Słońcem. Wirowanie reprezentuje dawanie świadectwa zawsze, wszędzie i w każdych okolicznościach, tupanie – miażdżenie pragnień ego, trzymanie rąk po bokach – dążenie do perfekcji. Znaczenie ma nawet fakt, że prawa ręka jest uniesiona, by otrzymać boże błogosławieństwo, a lewa skierowana w dół, by przekazać dobro dalej. Ceremonia kończy się czytaniem Koranu i modlitwami. Oczywiście, o ile przeprowadzona została tak, jak należy, przez ludzi, którzy długo uczyli się, na czym polega nie tylko sam rytuał, ale i nauki Rumiego Mevlany. Tymczasem pokazy wirujących derwiszy odbywają się przecież w hotelach *all inclusive* na tureckim wybrzeżu czy podczas „wieczorów tureckich" w restauracjach albo na miejskich placach. W Izmirze widziałam nawet taki pokaz w jednym z centrów handlowych.

– Pokazów w hotelach i dla turystów nie można rozpatrywać w kategorii rytuału sema. Są to po prostu animacje – mówi mi Mehmet Yunden, wicedyrektor Regionalnej Dyrekcji Kultury i Turystyki w Konyi. Esin Çelebi Bayru, wnuczka Mevlany w 22. pokoleniu, obecna szefowa Międzynarodowej Fundacji Mevlany jest z kolei przekonana, że dewaluowanie dziedzictwa i wypaczanie sensu duchowego rytuału powinno być zabronione. Derwisze „na wynajem" popełniają karygodne błędy, od nieodpowiednich strojów począwszy, ↦

↦ po niewłaściwe kroki czy muzykę. Jej organizacja przygotowała projekt odpowiednich przepisów, ale nie znalazły one na razie uznania ministra kultury.

Nieważna płeć

W czasach Mevlany i później, by zostać derwiszem, należało być pełnoletnim i stanu wolnego. Potrzebna też była zgoda rodziny. Kandydat przez pierwsze dni obserwował życie w *derviş hane*. W tym czasie nikt się do niego nie odzywał. Jeśli uznał, że coś mu nie odpowiada, mógł po prostu bez słowa wyjść. Jeśli został, rozpoczynał trwający 1001 dni okres szkolenia, na który składały się nauka arabskiego, by umożliwić mu czytanie Koranu i hadisów, studiowanie dzieł Mevlany, nauka gry na instrumencie albo malowania miniatur i oczywiście taniec. Pierwszego dnia uczący się derwisz wykonywał tylko dziewięć obrotów wokół własnej osi. Każdego dnia dodawał kolejne dziewięć obrotów, ucząc się przy tym innych niezbędnych w tańcu ruchów.

Dawna siedziba derwiszy w Konyi zamieniona została w muzeum, podobnie jak wiele innych tego typu miejsc w całym kraju. – W okresie osmańskim na obszarze około 2 mln kilometrów kwadratowych było 147 mevlevihanów. Z Konyi wysyłano do nich wykształconych derwiszów – mówi Mehmet Yunden.

Wyjaśnia, że dziś zakon nie działa w tak zorganizowanej formie jak w czasach osmańskich, ale raczej nad tym nie ubolewa. Uważa, że bardziej wartościowe od nazywania się derwiszem jest zwyczajne kochanie, czytanie i rozumienie myśli Mevlany, dzielenie się jego spojrzeniem na Boga, człowieka i przyrodę. Przypomina też, że błędem jest używanie określania mnich czy zakonnik. – Derwisz to derwisz. Nasi derwisze się żenią, mają dzieci, zawód. Nie zamykają się w odosobnieniu, ale żyją wśród ludzi. Mogą mieszkać w dowolnym miejscu na świecie. Jedynie podczas trwającej od 2 do 3 lat edukacji mieszkają w Konyi lub którymś z innych ośrodków.

Potwierdza to Turner Baydar. W jego bractwie można spotkać fryzjerów, księgowych, biznesmenów, inżynierów i urzędników państwowych. Znaczenia nie ma też wiek.

– Bycie derwiszem to proces, którego nigdy nie można zakończyć. Z tego powodu dzieci z najbliższego kręgu Mevlevi lub w ich rodzinach również przechodziły takie szkolenie. Uczyły się sema, by z czasem zrozumieć jego sens – doprecyzowuje Mehmet Yunden.

ABDULLAH COSKUN / ANADOLU AGENCY / ABACA / EAST NEWS

Przygotowania do ceremonii sema w Konyi. Turcja, 8 grudnia 2021 r.

W konserwatywnej Konyi o to trudniej, ale w *derviş hane*, z którym związany jest Turner Baydar, wirują nawet kobiety. Dziś w rytuale uczestniczy tu siedmiu mężczyzn i siedem kobiet. Pierwszą z nich była Didem Andaç, fotografka, na której pokaz mistycznego tańca zrobił tak potężne wrażenie, że zaczęła regularnie odwiedzać Hasana Çikara. W jednym z wywiadów opowiadała, że choć pochodziła z religijnej rodziny, nigdy nie rozumiała, po co się modli, po co pości. „Uczy się nas wielu rzeczy, a my ślepo je powtarzamy. Miałam 23 lata i nie chciałam tego dłużej robić". Derwisz rozmawiał z nią o sufizmie, tłumaczył zawiłości wiary, a w końcu – nauczył, jak wirować. Dokładnie 30 lat temu Didem Andaç pierwszy raz zawirowała wśród mężczyzn. Dwa lata później dołączyła do niej Cemre Genç, a później kolejne kobiety. Dziś mówią, że Bóg nie patrzy na płeć. I że skoro w Mekce kobiety i mężczyźni razem okrążają Kaabę, nie ma powodu, dla którego nie mieliby razem wirować. Przywołują też dowody na fakt, że w czasach Mevlany kobiety również wirowały, a dopiero później wykluczono je z rytuału.

– Uczniowie Mevlany są misjonarzami, ale nie misjonarzami religii. Jesteśmy misjonarzami człowieczeństwa – mówi Turner Baydar.

I miłości. Mevlana siedem wieków temu mawiał, że w każdej religii jest miłość i droga do Boga, a islam jest nie jedyną, lecz po prostu najkrótszą z tych ścieżek.

© MARCELINA SZUMER-BRYSZ

Chrześcijaństwo bez poczucia winy

PIOTR SIKORA

Metafora grzechu pierworodnego i idea boskiego miłosierdzia dotyczą przede wszystkim cierpienia, jego przyczyn i sposobu wyzwolenia od niego.

Parę tygodni temu medialne poruszenie wywołała scena spektaklu, który w ramach rekolekcji wielkopostnych oglądali uczniowie toruńskich szkół średnich. W scenie tej przedstawiono poniżanie kobiety – zdzieranie ubrania, wyzywanie, zamykanie w klatce. W toczonych później debatach zwracano najczęściej uwagę na szkodliwe skutki zetknięcia się młodych ludzi z tak ukazaną przemocą o podtekście seksualnym – nawet w ramach przedstawienia. Pojawiały się też liczne głosy wskazujące, że przestrzeń sakralna powinna być wolna od takich treści.

Warto jednak zauważyć problematyczność nie tylko formy, ale także treści toruńskiego przedstawienia – tj. podstawowej idei, która leżała u podstaw takiej, a nie innej jego formy. Jak tłumaczyli później organizatorzy, kobieta miała symbolizować każdą i każdego z nas – poniżoną/ego i zniewoloną/ego przez grzech. Chodziło zatem o bardzo mocny przekaz, który miał przekonać ludzi do ich własnej grzeszności.

Winni z założenia

Ten właśnie przekaz – oparcie religijnego przesłania na próbie wzbudzenia poczucia winy – jest bardzo szeroko rozpowszechniony w chrześcijańskiej narracji o człowieku. Można go spotkać w niezliczonych kazaniach, katechezach, dziełach teologicznych. Przenika tak powszechnie historię chrześcijaństwa, że rodzi się pokusa, by uznać go za istotny element tożsamości tej tradycji religijnej.

Nic dziwnego, że łatwo spotkać się z tezą: nie ma chrześcijaństwa bez idei powszechnej grzeszności, zepsucia; nie ma chrześcijaństwa bez grzechu pierworodnego – którego korzeń (jakoby) sięga samych początków ludzkości, a więc który wszyscy (ponoć) dziedziczymy. „Jakoby" i „ponoć" umieszczone w nawiasach wskazują, że tę wizję chrześcijaństwa podzielają także osoby, które się z nim głęboko nie zgadzają i radykalnie je krytykują – często właśnie ze względu na nacisk, jaki chrześcijanie kładą na grzeszność człowieka.

Głoszenie nauki o grzechu pierworodnym wiąże się często w społecznym odbiorze z komunikatem: coś jest z tobą gruntownie nie tak; jesteś zepsuta/y; co byś nie robił/a, i tak jesteś nie w porządku. Chrześcijaństwo, które prezentuje się jako religia, dla której idea grzechu pierworodnego jest czymś niezbywalnym, jawi się więc jako tradycja zbudowana na poczuciu winy.

W tym kontekście nawet święto, które obchodzimy w tydzień po Wielkanocy – Niedziela Miłosierdzia – jest często postrzegane jako druga strona tego ciemnego medalu. Może być bowiem rozumiane jako potwierdzenie schematu: jesteś grzesznicą/grzesznikiem, dogłębnie zepsutą/ym; potrzebujesz zatem – koniecznie! – miłosierdzia; Bóg – masz szczęście! – jest miłosierny, gotów jest ci miłosierdzie okazać; przyznaj to, przyznaj się do winy, a miłosierdzia dostąpisz.

Niekoniecznie winni

Nie ma sensu zaprzeczać, że ów schemat jest bardzo głęboko w chrześcijaństwie zakorzeniony. Dotyczy to zwłaszcza jego zachodniego nurtu, na który ogromny wpływ wywarł Augustyn z Hippony. Od jego czasu doktryna grzechu pierworodnego zadomowiła się w centralnym punkcie kościelnego nauczania. Warto jednak mieć świadomość, że doktryna ta różnie była i jest rozumiana – i że możliwe są takie jej interpretacje, które nie wiążą się z apriorycznym wmawianiem ludziom ich osobistego zepsucia i grzeszności.

Analizując na przykład oficjalne nauczanie, zawarte w Katechizmie Kościoła Katolickiego, warto wziąć pod uwagę, że wyraźnie zostało tam napisane, iż „grzech pierworodny jest nazywany »grzechem« w sposób analogiczny; jest grzechem »zaciągniętym«, a nie »popełnionym«, jest stanem, a nie aktem" (KKK 404). W kontekście doświadczenia wielu osób, iż katolicka nauka o grzechu nakierowana jest na wzbudzanie w nich „poczucia winy", warto też nie pominąć kolejnego zdania katechizmu: „Chociaż grzech pierworodny jest grzechem własnym każdego, to jednak w żadnym potomku nie ma on charakteru winy osobistej" (KKK 405).

Z tekstu jasno wynika, że nauka o grzechu pierworodnym – jak interpretuje ją katechizm – nie obciąża żadnego człowieka winą. Co jednak – można teraz zapytać – znaczy, że ów grzech (który nie jest winą) jest grzechem własnym człowieka? Szukając odpowiedzi, warto zwrócić uwagę na pierwsze z cytowanych katechizmowych zdań, które mówi, że mamy tu do czynienia tylko z analogicznym rozumieniem słowa „grzech", oraz że to analogiczne rozumienie ma wyrażać nie naszą odpowiedzialność, ale stan naszej natury. Jest to dla każdej i każdego z nas coś własnego w tym sensie, że określającego jej i jego egzystencję i los. A jednocześnie jest to coś odziedziczonego, za co nie ponosimy odpowiedzialności, czemu nie jesteśmy winni.

Niezależnie od rozmaitych zastrzeżeń, które można mieć co do katechizmowej nauki o grzechu pierworodnym, wydaje się, że w tym akurat punkcie jest ona zgodna z powszechnym, egzystencjalnym doświadczeniem – czyż nie odkrywamy bowiem często w sobie rozmaitych ograniczeń i uwarunkowań, negatywnie wpływających na kształt naszego życia? Te ograniczenia i uwarunkowania są „nasze własne" w tym sensie, że działają jakby „od wewnątrz", w dużej mierze niezależnie od tego, w jakiej sytuacji się znajdujemy (tzn. uruchamiają się w bardzo różnych sytuacjach). Z drugiej strony – doświadczamy tych ograniczeń i uwarunkowań jako czegoś, co nie zależy od naszej decyzji (choć jakoś na ↦

YASIN AKGUL / AFP / EAST NEWS

Na gruzach zawalonych domów po trzęsieniu ziemi. Prowincja Hatay, Turcja, 14 lutego 2023 r.

↦ nasze decyzje wpływa). Niesprawiedliwe byłoby zatem obwinianie się za to, że takim ograniczeniom i uwarunkowaniom podlegamy. Są jakoś nasze, a jednocześnie nie nasze, lecz skądś odziedziczone.

Przyczyny cierpienia

W podobny sposób można interpretować biblijny tekst, który stał się podstawą doktryny o grzechu pierworodnym – opowieść zapisaną w Księdze Rodzaju. Znamy ją dobrze: człowiek, utworzony z ziemi i boskiego tchnienia, umieszczony w raju; samotny, uśpiony, obdarzony równą mu towarzyszką życia; a potem historia kuszenia przez węża, zjedzenie owocu poznania dobra i zła – utrata pierwotnej niewinności, wzbudzenie się wstydu, wygnanie w świat znoju, przemocy i śmierci.

Jak powiedzieliby badacze tego typu tekstów: to nie relacja historyczna, lecz mit. Jego akcja przebiega u początku czasu, ale znaczy to, że za pomocą metafor i symboli opowiada o powszechnych prawach, o naturze rzeczy. Co wcześniejsze w narracji, to bliżej istoty rzeczywistości.

Mówi zatem opowieść o tym, że każda i każdy z nas przynależy jednocześnie do ziemi i do boskiej sfery. Że spełnienie jest możliwe tylko w relacji równych osób. A także – że na najgłębszym poziomie jesteśmy niewinni i dobrzy. Opowiada jednak również o mechanizmach zła, które prowadzą do upadku i cierpienia: o podejrzliwości, zazdrości, utracie zaufania; że to, co zakazane, ukazuje się jako atrakcyjne; że katastrofa polega na „poznaniu dobra i zła" – czyli wprowadzeniu w nasze postrzeganie i myślenie osądzania; że osądzanie prowadzi do wstydu; że brak harmonii ze światem natury i niesprawiedliwe stosunki społeczne to wykrzywienie natury rzeczy.

Upraszczając, można powiedzieć, że opowieść o wydarzeniach w Raju, interpretowana w kontekście, w jakim została umieszczona – tj. razem z wcześniejszym poematem o tygodniu stworzenia – nie ma na celu wzbudzania poczucia winy, lecz mówi o tym, iż w swej najgłębszej istocie jesteśmy wszystkie i wszyscy dobrzy. Mówią też te opowieści, że Bóg nie chce patriarchatu, za to pragnie weganizmu, oraz próbują nam otworzyć oczy na mechanizmy, które doprowadziły do tego, że patriarchat zdominował kulturę, a weganizm jest na jej marginesie.

Uwolnienie od cierpienia

Rozumienie mitu o wygnaniu z Raju jako opowieści ujawniającej mechanizmy prowadzące do cierpienia (a nie jako podstawy do apriorycznego obciążania wszystkich winą) rzuca światło na ideę boskiego miłosierdzia. W tej perspektywie chodzi w niej o to wskazanie, że ludzkie cierpienie nie jest Bogu obojętne, tj. że tym, co najbardziej boskie, a więc najbardziej wartościowe, co najbardziej się liczy, czego najbardziej potrzeba – tym jest współczucie i działanie zmierzające do uwolnienia od cierpienia istot, które mu podlegają.

Idea grzechu pierworodnego jest w tym sensie nieusuwalna, że nie da się usunąć cierpienia udając, że go nie ma, i nie szukając jego przyczyn. Idea boskiego miłosierdzia wyraża zaś absolutne zobowiązanie, by wszelkie cierpienie leczyć.

©℗ PIOTR SIKORA

ZUZANNA

Radzik:
Ostrożnie z prorokami

Autopsja po zamachu pokazała, że jego serce było nad wiek zniszczone. Pewnie przez stres, więzienie i zamachy na niego i rodzinę. W Memphis, 55 lat temu, 4 kwietnia, w środku Wielkiego Tygodnia, został zastrzelony Martin Luther King Jr. Miał trzydzieści dziewięć lat, od kilkunastu był zaangażowany w ruch na rzecz praw obywatelskich i zafascynowany oporem bez przemocy. Był charyzmatycznym mówcą. Pięć lat wcześniej do 250 tys. osób zgromadzonych podczas tzw. Marszu na Waszyngton wygłosił swoje najsłynniejsze przemówienie. To, które wszyscy znamy, o marzeniu, ryzykownym marzeniu o innym świecie, w którym wszyscy ludzie zostali stworzeni równi i tacy właśnie są.

Ponoć spodziewał się zamachu. Jego żona wspominała, że gdy zastrzelono prezydenta Johna F. Kennedy'ego, King patrzył w telewizor i powiedział, że jego też to czeka. Dla czarnoskórych Amerykanów ten wstrząsający moment oznaczał rozpoczęcie żałoby. Najpierw wstrząs i zaniemówienie, potem rozpacz i pytania, co teraz, a wreszcie gniew, który wyciągnął ludzi na ulice i skłonił do zamieszek. Zatrząsł ruchem na rzecz równouprawnienia. Wraz z charyzmatycznym pastorem opłakiwano przyszłość, która mogła nadejść, ale nie wiedziano, czy nadejdzie bez niego. Czy powinno się do niej dążyć jego metodami, pytano, podając w wątpliwość skuteczność oporu bez przemocy.

W niedzielę przed śmiercią, czyli w Palmową Niedzielę, wygłosił kazanie w katedrze w Waszyngtonie. Swoje ostatnie. Mówił o tym, jak nie przespać rewolucji społecznej. O tym, że postęp w historii ludzkości bierze się z wytrwałej pracy oddanych jednostek, które są gotowe być współpracownikami Boga. Podkreślał też, żeby nie słuchać tych, którzy mówią, że zmiana przyjdzie, ale że potrzeba czasu. Ile tego czasu? Sto, dwieście lat? Tymczasem to czas jest zawsze odpowiedni, by zachować się, jak trzeba.

Wypominał, że pewnie wielu ma nadzieję, iż kto inny wykona tę pracę, której zmiana wymaga. To kazanie zatytułował „Pozostać przytomnym w czasie wielkiej rewolucji", aby podkreślić, że „zbyt wielu ludzi, żyjąc w czasie zmian społecznych, nie rozwija nowej postawy, nowych reakcji umysłowych, których wymaga sytuacja. Ostatecznie przesypiają rewolucję". Podkreślał też, że jesteśmy w tym wszystkim razem, kolektywnie: „Jesteśmy związani w nieuchronną sieć wzajemności. I cokolwiek dotyka jednego bezpośrednio, dotyka wszystkich pośrednio. Z jakiegoś dziwnego powodu ja nigdy nie mogę być tym, kim powinienem być, dopóki ty nie będziesz tym, kim powinieneś być. A ty nigdy nie możesz być tym, kim powinieneś być, dopóki ja nie będę tym, kim powinienem być. W taki sposób stworzony jest Boży wszechświat, taka jest jego struktura".

Tak, wyszło, że to było ostatnie kazanie. Charyzmatyczne, jak zawsze. Wypowiedziane ze strojnej katedralnej ambony. Prorok XX wieku. Dobrze się go słucha.

Uwodzący był jednak nie tylko na ambonie i gdy mówił do tłumów. Uwodził kobiety. Wiemy, że żonę zdradzał wielokrotnie i z wieloma równocześnie. Wspominając Kinga, myślę też o wszystkich czarujących, uwodzących duszpasterzach, przywódcach, nauczycielach, mistrzach. O ostrożności, jaką we mnie budzą, tym bardziej, im bardziej są świadomi swojej siły i przyciągania. Im więcej poznaję takich historii, tym większa czujność. Słyszę o tym w mediach i szeptach dziewczyn ostrzegających się przed kierownictwem duchowym konkretnych osób. Ostrzegających przed profesorami studentek. Myślę o władzy i uwiedzeniu nią, jakie powodują u niektórych ambony i konfesjonały, katedra uniwersytecka, front pochodu, scena.

Zresztą, jeśli chodzi o myślenie o kobietach, to taki postępowy i równościowy King już nie był. Żona miała na niego czekać w domu, tam przynależeć i zajmować się dziećmi. Ona chciała więcej. Więcej kasy w domowym budżecie niż mógł przynieść działacz społeczny. Nie zatrzymał dla rodziny nawet pieniędzy z Nagrody Nobla, nie spisał testamentu. Ale Coretta chciała też więcej siebie w swoim życiu. Tego nie umiał zrozumieć. Ten wielki mówca przekonujący nas, że żyjemy w czasach rewolucji. Interpretujący tamtego poranka w Palmową Niedzielę słowa z Apokalipsy św. Jana o tym, że Bóg wszystko czyni nowe. Nie widział, że nową staje się też rola kobiet i że ją przesypia, gdy oczekuje od Corretty, że wystarczy jej to, co w domu.

Może nie da się być prorokiem od wszystkiego? Patrzeć przenikliwie na wszystkie obszary naraz i ocenić właściwie wagi zmian, jakie nadchodzą. A może łatwiej widzieć te rewolucje, które nas mają wznieść, a nie te, które mogą zachwiać naszym przywilejem? ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Dwa Kluby TP świętują 10-lecie!

Naszym przyjaciołom z Klubów **GLIWICKIEGO** oraz w miejscowości **LONDON** (Kanada) dziękujemy za obecność i zaangażowanie w wiele inicjatyw społecznych. Tworzycie wyjątkowe miejsce do debaty i dialogu.
Życzymy Wam dalszych sukcesów, mnóstwa ciekawych spotkań a także coraz większej liczby Klubowiczów!

Redakcja „Tygodnika Powszechnego"

ŚWIAT

KANDYDAT ARESZTANT

Nowojorska prokuratura dopięła swego i postawiła Trumpowi zarzuty karne. Ale to nie jest sprawa, w której łatwo będzie go skazać. Łatwiej za to będzie mu teraz walczyć o Biały Dom.

MARTA ZDZIEBORSKA

Jest wtorek 4 kwietnia, godzina 13.24 czasu lokalnego. Amerykańska stacja CNN pokazuje ujęcie kamery z helikoptera, na którym widać, jak Donald Trump wychodzi z czarnego samochodu i zmierza do manhattańskiego sądu.

Gdy przestępuje próg budynku, musi złożyć odciski palców i odpowiedzieć na szereg pytań funkcjonariuszy. Od tego momentu formalnie jest aresztowany. Jako były prezydent może jednak liczyć na taryfę ulgową: funkcjonariusze nie każą mu pozować do zdjęcia do kartoteki, nie pobierają próbek DNA i pozwalają wejść na salę sądową bez kajdanek.

Trasa, jaką pokonuje, jest wyjątkowo krótka: otoczony agentami Secret Service mija reporterów na odcinku zaledwie półtora metra. Ma też święty spokój na sali rozpraw, gdyż prowadzący sędzia nie zgodził się na obecność kamer. Zaledwie pięciu wyselekcjonowanych fotografów miało kilka minut na zrobienie zdjęć jeszcze przed odczytaniem aktu oskarżenia. Świat musi zadowolić się niemal identycznymi kadrami z gniewnym Trumpem siedzącym w towarzystwie czterech prawników.

Według relacji obecnych na sali, był jak na siebie wyjątkowo spokojny. Ponoć zachował milczenie nawet, gdy sędzia Juan Merchan pouczył go, by w mediach społecznościowych powstrzymał się od prowokacyjnych wpisów na temat postępowania – co robi zresztą stale.

Słaba sprawa

Donald Trump wypowiedział w sądzie jedynie dwa słowa: „*Not guilty*" (niewinny). Nie przyznał się do 34 zarzutów fałszowania dokumentów biznesowych, co według aktu oskarżenia służyło zatajeniu przed wyborcami kompromitujących informacji na finiszu kampanii prezydenckiej w 2016 r.

Sprawa powiązana jest z płatnościami za milczenie dla gwiazdy porno Stormy Daniels (otrzymała 130 tys. dolarów) i modelki „Playboya" Karen McDougal. Obie twierdzą, że miały z Trumpem romans. Pieniądze dostał też odźwierny nowojorskiego wieżowca Trump Tower, twierdzący, że Trump ma nieślubne dziecko. Płatności za milczenie dokonał ówczesny prawnik Trumpa Michael Cohen, któremu zwrócono potem pieniądze pod pozorem wynagrodzenia za usługi prawne.

Według prawa stanu Nowy Jork fałszowanie dokumentów biznesowych może być zakwalifikowane jako przestępstwo, a nie tylko wykroczenie, jeśli zostało dokonane w celu ukrycia innego czynu zabronionego. Prokuratura nie podała w akcie oskarżenia, jaki to czyn. Dopiero na konferencji prasowej nowojorski prokurator Alvin Bragg wyjaśnił, że chodzi m.in. o złamanie prawa dotyczącego finansowania kampanii wyborczych. Zdaniem ekspertów prokuratura może chcieć dowieść, iż Trump popełnił przestępstwo, nie zgłaszając i nie księgując płatności dla byłych kochanek jako kampanijnych wydatków. A tak można teoretycznie kwalifikować te płatności, skoro służyły ukryciu kompromitujących informacji przed wyborcami.

Tak postawiona teza może być jednak trudna do dowiedzenia, co zapewne wykorzystają prawnicy Trumpa. Mogą twierdzić, że ich klient zataił niewygodne informacje, by chronić dobro swojej rodziny, a nie po to, by ukryć je przed wyborcami. David Orentlicher, cytowany przez CNN profesor prawa z University of Nevada, wskazuje, że taka linia obrony jest atrakcyjna także z innego powodu: kandydaci nie mogą wydawać kampanijnych funduszy na cele prywatne, więc teoretycznie można uznać za zasadne, iż Trump nie za-

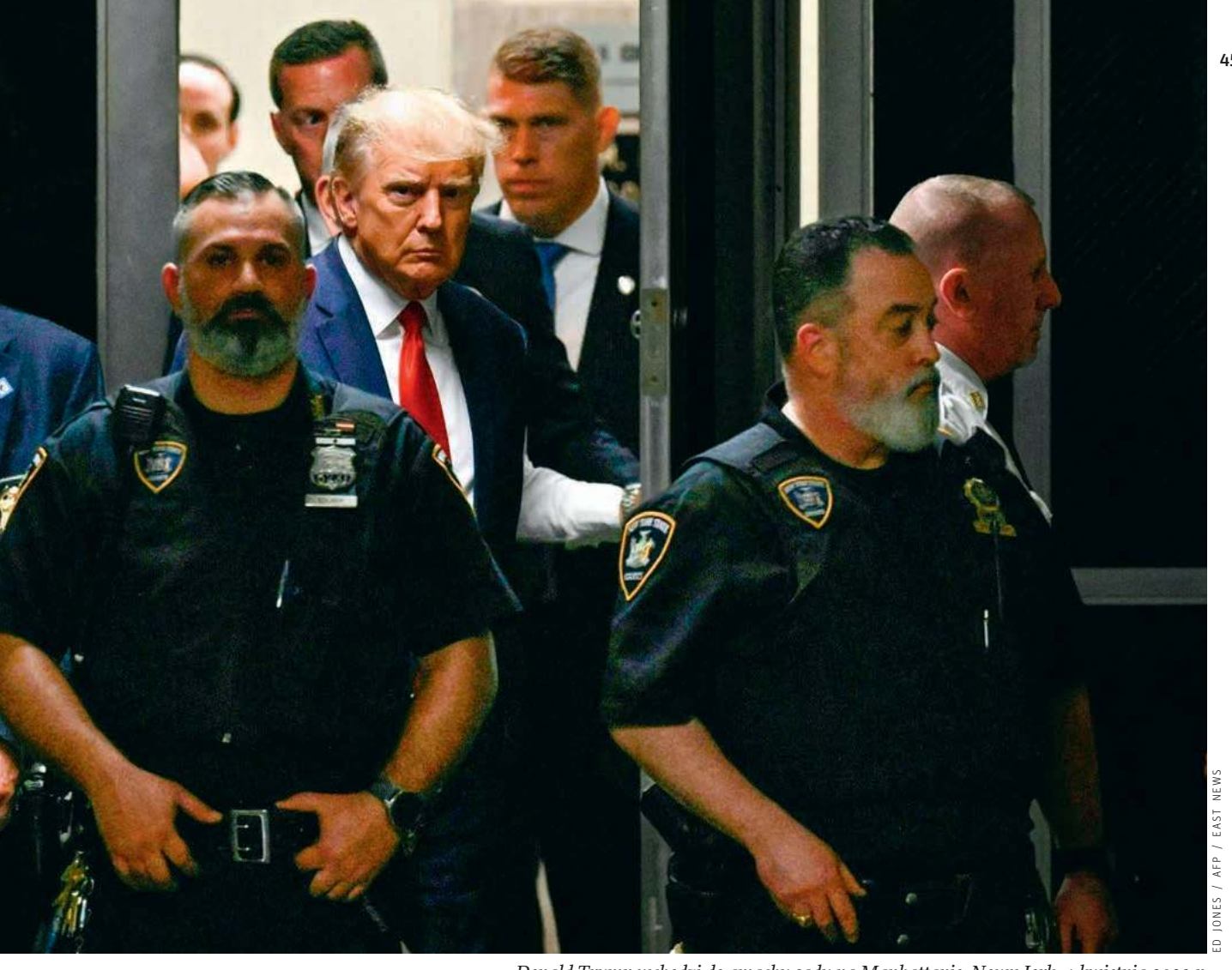

ED JONES / AFP / EAST NEWS

Donald Trump wchodzi do gmachu sądu na Manhattanie. Nowy Jork, 4 kwietnia 2023 r.

raportował płatności dla obu kobiet jako kampanijnych wydatków.

Popłoch wśród wrogów

Jeszcze zanim ujawniono publicznie treść zarzutów wobec Trumpa, sceptycy nazywali nowojorskie postępowanie „sprawą zombie". Kwestionowali wiarygodność Cohena, który ma być kluczowym świadkiem w procesie sądowym, choć już raz złożył fałszywe zeznania przed Kongresem USA. Zwracano też uwagę na fakt, że nowojorska prokuratura przez długie lata ociągała się z postawieniem zarzutów Trumpowi, a gdy już to zrobiła, dała pole do wątpliwości, czy sprawą nie powinny zająć się federalne organy ścigania.

Na nowojorskim akcie oskarżenia suchej nitki nie zostawiają najbardziej zagorzali przeciwnicy Trumpa w republikańskich szeregach. John Bolton, kiedyś doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego w administracji Trumpa, wypalił na antenie CNN, że „treść aktu oskarżenia jest słabsza", niż się spodziewał. „Dla mnie jako dla kogoś, kto bardzo nie chce, by Trump zdobył nominację w prawyborach republikańskich, dokument ten budzi popłoch" – mówił Bolton. Jeszcze mocniejszych słów użył senator z Utah Mitt Romney, jedyny republikański polityk, który dwukrotnie głosował za impeachmentem Trumpa. Napisał w oświadczeniu, że prokuratura kieruje się pobudkami politycznymi, chcąc udowodnić na siłę, że były prezydent dokonał przestępstwa, a nie wykroczenia.

Obawy związane z nowojorskim postępowaniem mają też Demokraci. Amerykański serwis Axios cytuje anonimowego kongresmena, który przestrzega, że Trump może skorzystać na zarzutach, ustawiając się w roli ofiary. Ponoć kongresmeni z tej partii otrzymali instrukcje, by nie dolewać oliwy do ognia i w najbliższych tygodniach stronić od wypowiedzi na temat byłego prezydenta. Zamiast tego Demokraci mają skupić się na mówieniu o dokonaniach administracji Bidena i atakować Republikanów za budzące emocje propozycje cięć budżetowych w planie na przyszły rok fiskalny.

Koszulka za 47 dolarów

Były prezydent od początku dawał sygnały, że wykorzysta swoje problemy prawne do podkręcenia kampanii. Sztabowcy Trumpa podają, że w ciągu 48 godzin po decyzji nowojorskiej prokuratury o postawieniu mu zarzutów zebrano rekordowe 5 mln dolarów. Fanów Trumpa bombardowano apelami o wpłatę nawet, gdy ten czekał w sądzie na odczytanie zarzutów. W mailu rozesłano zmontowane w Photoshopie czarno-białe zdjęcie rzekomo sfotografowanego do kartoteki Trumpa. Całość opatrzono wielkim napisem „*NOT GUILTY*", oferując T-shirty z jego wizerunkiem w zamian za przekazanie na kampanię 47 dolarów.

Zbierający swój fundusz Trump nazywa działania nowojorskiej prokuratury ↦

↦ „polowaniem na czarownice", nad którym rzekomo czuwają ludzie Bidena – prezydenta i jego potencjalnego rywala w walce o Biały Dom.

Podczas przemówienia, które Trump wygłosił na Florydzie tuż po powrocie z sądu (jako podejrzany w sprawie karnej niższego kalibru prawdopodobnie nie musiał zapłacić kaucji), zaatakował też prokuratora Bragga i prowadzącego sprawę sędziego Merchana. Ten drugi już raz zaszedł za skórę Trumpowi tym, że w styczniu nałożył na jego firmę Trump Organization 1,6 mln dolarów grzywny za oszustwa podatkowe.

„Jedyną zbrodnią, jaką popełniłem, była nieustraszona obrona naszego narodu przed tymi, którzy chcą go zniszczyć" – perorował Trump w sali balowej swojej florydzkiej posiadłości. Otoczony zwolennikami w czerwonych bejsbolówkach z napisem „*Make America Great Again*" mówił też o prześladującej go „radykalnej lewicy" i atakował prokuratorów prowadzących inne śledztwa w jego sprawach.

Znów widzimy się w sądzie

Trump to pierwszy prezydent USA, który usłyszał zarzuty karne. I być może nie jest to jego ostatni raz: obecnie ważą się losy śledztwa w stanie Georgia, gdzie może potencjalnie usłyszeć m.in. zarzut złamania prawa wyborczego. To w związku z próbami nacisku na sekretarza stanu Brada Raffenspergera, aby ten „znalazł" dodatkowe głosy, dzięki którym Trump zyskałby w Georgii przewagę nad Bidenem w wyborach w 2020 r.

Oprócz tego federalni śledczy badają sprawę przetrzymywania przez Trumpa po zakończeniu kadencji tajnych dokumentów państwowych. Były prezydent zapewne nerwowo śledzi także śledztwo mające ustalić rolę, jaką odegrał przed szturmem swoich zwolenników na Kapitol 6 stycznia 2021 r. Istotne w tej sprawie mogą okazać się zeznania pod przysięgą byłego wiceprezydenta Mike'a Pence'a. Śledczy będą go dopytywać o rozmowy, podczas których Trump naciskał na niego, by pamiętnego 6 stycznia zakwestionował głosy elektorów podczas zatwierdzania zwycięstwa Bidena przez Kongres. Przesłuchiwani mają być też byli doradcy Trumpa, w tym ówczesny szef personelu Białego Domu Mark Meadows.

To nie koniec problemów byłego prezydenta: trzy tygodnie po tym, jak musiał stawić się w nowojorskim sądzie, być może będzie musiał zeznawać w procesie cywilnym wytoczonym mu przez pisarkę Jean Carroll, która oskarża go o gwałt. Zarzuty dotyczą lat 90., gdy Trump, wówczas biznesmen, miał ją zaatakować w przebieralni w luksusowym butiku na Piątej Alei w Nowym Jorku.

> Sondaże sugerują, że większość tych Amerykanów, którzy stronią od wojen plemiennych, **nie chce mieć kandydata z zarzutami karnymi.**

Gra na zwłokę

Problemy prawne Trumpa w krótkofalowym okresie podkręcą jego kampanię, a być może nawet ułatwią mu walkę o partyjną nominację w republikańskich prawyborach. W obliczu zarzutów kryminalnych skupił on bowiem wokół siebie republikański establishment, który jeszcze w marcu nie chciał udzielić poparcia dla jego kampanii. Teraz w obronie Trumpa stają nawet jego potencjalni rywale, jak Pence i gubernator Florydy Ron DeSantis, którzy boją się zadrzeć z jego elektoratem.

Jeśli wszystko pójdzie po myśli nowojorskiej prokuratury, proces sądowy w sprawie płatności za milczenie ruszy w styczniu 2024 r., czyli na kilka tygodni przed republikańskimi prawyborami w stanach Iowa i New Hampshire. Z jednej strony to szansa dla rywali Trumpa, który będzie miał mniej czasu na prowadzenie kampanii, ale z drugiej po raz kolejny może on skraść uwagę mediów i to na początku rywalizacji o partyjną nominację.

Obrońcy Trumpa nie spieszą się i wnioskują o rozpoczęcie procesu na wiosnę 2024 r. Należy się spodziewać, że będą kwestionować zasadność zarzutów, a także sięgać po każdy możliwy manewr: od wnioskowania o zmianę miejsca prowadzenia procesu, przez objęcie go jurysdykcją sądu federalnego, po wniosek o wycofanie się sędziego z uwagi na rzekomy konflikt interesów. Wszystko to ma na celu opóźnienie procedury, tak aby przeciągnęła się na sam środek kampanii wyborczej.

Według ekspertów gra na zwłokę jest szczególnie atrakcyjna w przypadku potencjalnego zwycięstwa Trumpa w prawyborach, a następnie w wyścigu o Biały Dom. A gdyby puścić wodze fantazji, i gdyby wyrok skazujący zapadł już po zaprzysiężeniu na kolejną kadencję, Trump – mając immunitet – mógłby uniknąć odpowiedzialności.

Przede wszystkim atak

A to wychodzi mu wyjątkowo dobrze, i to od wielu dekad. Już w 1973 r. jako młody biznesmen wraz z ojcem Fredem, właścicielem firmy deweloperskiej Trump Management, został pozwany przez Departament Sprawiedliwości – za to, że odmawiał wynajmowania mieszkań czarnoskórym Amerykanom. Po dwuletniej batalii sądowej doszło do ugody bez orzeczenia o winie. Donald Trump już wtedy wiedział, jak postępować z wymiarem sprawiedliwości: zamiast iść na cichą ugodę, przeszedł do ataku, składając przeciw rządowi federalnemu pozew o zniesławienie. Zażądał 100 mln dolarów zadośćuczynienia i wielokrotnie atakował śledczych, sugerując, że chcą zmusić go do wynajmowania mieszkań „ludziom na zasiłkach".

Dziś Trump jest starszy o pięć dekad, a stawka jest znacznie wyższa. Były biznesmen jest znów oficjalnym kandydatem w wyścigu o Biały Dom, a zgodnie z amerykańskim prawem może kontynuować kampanię, nawet jeśli miałby na koncie wyrok skazujący.

Tymczasem według sondażu CNN z 4 kwietnia aż 79 proc. republikańskich respondentów uważa, że zarzuty karne postawiono mu niesłusznie. W przypadku zwolenników Demokratów jest na odwrót: 94 proc. z nich popiera postawienie Trumpa w akt oskarżenia. Wśród niezależnych wyborców odsetek ten utrzymuje się na poziomie 62 proc. W spolaryzowanej Ameryce cała nadzieja w tej ostatniej grupie, której głosy mogą potencjalnie przesądzić o wyniku wyborów prezydenckich w 2024 r.

Przynajmniej na tym etapie wygląda na to, że większość tych Amerykanów, którzy stronią od wojen plemiennych, nie chce mieć kandydata z zarzutami karnymi. © MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press".

MAJA HITIJ / GETTY IMAGES

Protest Greenpeace przeciwko rządowi Niemiec, żądającemu wyjątku od nowych ogólnounijnych przepisów dotyczących sprzedaży samochodów spalinowych. Berlin, 22 marca 2023 r.

Gdy Niemcy i Francuzi mogą więcej

PAWEŁ BRAVO

Negocjacje wokół zakazu silników spalinowych i uznania atomu za prawie zieloną energię pokazują, że w sprawach mających znaczenie pokoleniowe w Unii białe rękawiczki idą w kąt.

W NIEDAWNĄ WSPÓLNĄ PODRÓŻ DO Pekinu – w wykonaniu przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen i prezydenta Francji Emmanuela Macrona – ta pierwsza miała pojechać (jak wynika z suflowanych nieoficjalnie podpowiedzi) w roli złego policjanta. Dopiero co wygłosiła wszak ostre w tonie przemówienie pod adresem Chin. Macron zaś jako ten dobry, wyrozumiały, wiozący ze sobą dużą delegację biznesową. Ten obraz rozpisanej na role, lecz wspólnej gry o tę samą stawkę skrywa jednak ogromne dysproporcje w realnym podziale sił: w końcu to Macron zaproponował von der Leyen, by podłączyła się do jego podróży do Chin; jej pomysł ogłosił już w lutym.

WCZESNA WIOSNA tego roku dostarczyła jeszcze dwóch innych przykładów, jak duża jest nierównowaga, gdy idzie o wpływy między stolicami a Brukselą (tj. instytucjami wspólnotowymi). Konkretnie dwiema stolicami: w kluczowych chwilach, gdy stawką są gospodarcze skutki polityki, prócz Paryża także Berlin zachowuje się tak, jakby wolno mu było więcej.

Tym razem poszło o kilka przełomowych decyzji związanych z polityką klimatyczną. Decyzji, które sprawią, iż zacznie ona mieć przełożenie – bliskie już i odczuwalne – na życie codzienne i obyczaje większości obywateli, choć wcześniej przez lata była dla nich sferą abstrakcyjną. Owszem, deklaratywnie ważną, lecz zawieszoną gdzieś wysoko na poziomie podniebnych wiatraków.

Gdy w marcu miało dojść do formalnego „podstemplowania" przepisów – uprzednio żmudnie cyzelowanych przez Komisję, Radę i Parlament – zakazujących od 2035 r. rejestracji nowych aut z silnikiem spalinowym (wciąż otwarty jest konkurs na zgrabny termin określający ten proces, na wzór brexitu), przedstawiciel Niemiec znienacka zapowiedział, że zagłosuje przeciw. Mając, co więcej, za sobą tzw. mniejszość blokującą, do której weszła oczywiście Polska, ale też Włochy oraz Czechy i Słowacja (kraj o największej produkcji aut na głowę mieszkańca). Niemcy domagały się przy tym otwarcia dopiętej już legislacji, by wprowadzić prawnie wiążący wyjątek: dla silników spalających tzw. e-paliwo.

W „KOALICJI SPALINOWEJ" były wprawdzie kraje takie jak Polska, gdzie obawa przed koniecznością konwersji na silniki elektryczne wiąże się z niską siłą nabywczą ludności. Jednak nagły sabotaż na ostatniej prostej ze strony niemieckiego rządu (a ściślej: ministra transportu Volkera Wissinga z najmniejszej partii koalicyjnej, liberalnej FDP) nie miał na celu obrony właścicieli „starego passata".

E-paliwa są produkowane drogą skomplikowanego procesu z udziałem dwutlenku węgla pozyskanego z atmosfery i dlatego mogą uchodzić za „neutralne". Ale to wciąż projekt w powijakach, który (prócz możliwości zasilania samolotów czy statków) pozostanie niszową opcją dla właścicieli najdroższych aut – tych, którym obojętny jest fakt, iż cena za taką „neutralną" klimatycznie benzynę jest znacznie wyższa.

W rzeczy samej największe obecnie instalacje produkcji tego paliwa powstały w Chile (chodzi o dostęp do energii wiatrowej) za pieniądze m.in. Porsche i Siemensa. Innym źródłem e-paliw chce być niebawem Arabia Saudyjska (jej z kolei nie brakuje energii słonecznej do zasilania niezbędnej hydrolizy). I na to też zwracali uwagę przeciwnicy tego wyjątku, oburzeni na egoistyczną postawę Niemiec. Dodając, że dopuszczenie nawet niewielkiej liczby aut spalinowych z górnej półki cenowej osłabi motywacje europejskiego biznesu do inwestycji we wszystko, co potrzebne do w miarę ↦

↦ samodzielnej produkcji elektrycznych silników i baterii (dziś na tym rynku liderem są Chiny).

„EGOIZM" NIEMIEC miał konkretne powody, zależne od tamtejszej polityki wewnętrznej. Liberałowie z FDP żyrują w wielu sferach politykę zdecydowanie bardziej progresywną, niż oczekiwałby jej elektorat – i słusznie rozpoznają obronę „Das Auto", nawet jeśli w mocno ograniczonej postaci, za obszar, na którym mogliby się efektownie różnicować od koalicyjnych socjaldemokratów i Zielonych.

Zresztą podobną rolę – obrońcy tradycji w kwestii energetyki i transportu – FDP przyjęła w wewnątrzniemieckich burzliwych negocjacjach dotyczących pieniędzy na budowę nowych autostrad. A przede wszystkim w sprawie przepisów, które – gdyby przyjęły postać oczekiwaną przez Zielonych – zakazałyby od przyszłego roku instalowania w prywatnych domach pieców grzewczych na gaz i olej. Nawet gorliwy dotąd w kwestiach klimatycznych niemiecki *mainstream* zaczyna odczuwać pewną nerwowość i napięcie – co widać było np. po marcowym referendum w Berlinie, gdzie nie udało się przepchnąć szybszego terminu osiągnięcia neutralności klimatycznej przez niemiecką stolicę.

FDP UZYSKAŁA WIĘC WYJĄTEK, gdy idzie o piece mogące w przyszłości spalać wodór. A na scenie europejskiej po dwóch tygodniach przepychanek – trwały nieformalnie, lecz intensywnie podczas szczytu Rady UE (teoretycznie był poświęcony innym sprawom) – Niemcy uzyskały zadowalającą dla siebie obietnicę wprowadzenia wyjątku dla silników spalających e-paliwo. Choć dopiero jesienią okaże się, jakie diabły będą tkwić w szczegółach przepisów zaproponowanych przez Komisję.

W każdym razie od tego momentu mniejszość blokująca przestała być Berlinowi potrzebna (gdy np. Włosi chcieli dalej walczyć o tzw. biopaliwa), całość legislacji szybko poddano pod finalne głosowanie – i tylko Polska zagłosowała przeciw. Bez żadnych skutków prawnych. Trudno jednak odmówić racji minister Annie Moskwie, gdy przy tej okazji mówiła „o nietransparentnych i nieformalnych dyskusjach, gdzie Niemcy forsują rozwiązania korzystne głównie dla swojego rynku".

> Otwarte przyznanie, że polityka klimatyczna to nie tylko walka o planetę, lecz także o czysto **ekonomiczną dominację, należy się wyborcom.**

Kilka dni później rozpadła się inna, niepotrzebna – tym razem Paryżowi – koalicja „atomowa", gdy głosowano końcową wersję dyrektywy o energii odnawialnej. Nałoży ona na kraje Unii obowiązek podwojenia w ciągu sześciu lat do 42 proc. udziału odnawialnych źródeł energii w miksie energetycznym. Francja od dawna najpierw walczyła o zaklasyfikowanie energii atomowej jako „zielonej". A później, gdy to nie do końca się udało, o uwzględnienie wodoru – uzyskanego dzięki wykorzystaniu energii atomowej (i określanego z kolei w ekopolitycznej nowomowie jako „różowy") – w skomplikowanych systemach przeliczania miksu tak, aby dany kraj mógł zaliczyć sobie na papierze spełnienie norm (choć uran nie jest paliwem odnawialnym).

OPÓR PRZECIW UZNANIU ATOMU za czystą i przyszłościową opcję ma korzenie zwłaszcza w awersji, na poły magicznej, wpływowych i zasiedziałych środowisk ekologicznych, a zwłaszcza niemieckich Zielonych – i trudno nie mieć tu skojarzeń z atawistycznym lękiem przed niewidoczną siłą, jaki wybuchł dwa lata temu w ruchach antyszczepionkowych. Trzeba jednak zauważyć, że dalsza rozbudowa reaktorów atomowych – jak słusznie wskazuje ogół ekspertów – będzie wpływać w danym kraju hamująco na prawdziwie czystą, wolną od wszelkich emisji i odpadów energetykę wiatrową. Taką właśnie, jaką rozwinęli przez ostatnie lata swojej *Energiewende*, rewolucji energetycznej, właśnie Niemcy – mający dziś w Unii największe kompetencje, *know how* i zaplecze w budowie takich wiatrowych siłowni.

W trosce tym razem o interesy swego *Das Windrad* (niem. wiatrak) Niemcy stawiali więc – wraz z grupą paru państw, w tym Austrii – silny opór. Aby wywrzeć nacisk i zablokować ewentualne głosowania, Francji potrzebni byli zatem sojusznicy: kraje, które albo już mają (choć w mniejszej niż Paryż skali) energetykę jądrową, albo planują jej posiadanie.

Po wielu tygodniach pertraktacji – schodzących na poziom detali zrozumiałych tylko dla ekspertów, ale też niewolnych od nacisków politycznych na prezydenckim szczeblu – udało się wypracować formułę przeliczania „różowego" wodoru na „zielone" procenty. Ale taką, która przynosi korzyść – w sensie spełniania za sześć lat wymogów dyrektywy – tylko krajom, które już dziś mają rozwiniętą energetykę jądrową, a nie tym, które posiadają po jednej siłowni lub dopiero chcą je budować. Jednak to wystarczyło Paryżowi (druga w podobnie korzystnej sytuacji jest Szwecja, ta jednak, jako że sprawuje prezydencję w Unii, nie uczestniczyła w grze). Dzięki temu dyrektywa trafiła ostatecznie, podobnie jak ta dotycząca aut, pod głosowanie.

ROLĘ SAMOTNEGO JEŹDŹCA głosującego przeciw wzięli tym razem na siebie Czesi. Pogwałcono przy tych obu okazjach zwyczaje i procedury, polegające na ucieraniu do upadłego konsensusów. Tymczasem to konsensualność, jak się przyjęło sądzić, ma być wielkim sukcesem Wspólnoty, ograniczającym nieco dominację „dużych" nad „małymi". Fakt, że Polska – teoretycznie kraj średni – w tych rozgrywkach dwukrotnie została na lodzie w jednym szeregu z „małymi", może mieć coś wspólnego z programową niechęcią obecnych polskich władz do traktowania na serio instytucji unijnych oraz z ich wiarą we własną antyunijną propagandę. Widać jednak, że w tych kluczowych – i mających pokoleniowe znaczenie – chwilach białe rękawiczki idą w kąt.

Większa przejrzystość tych procesów i otwarte przyznanie, że polityka klimatyczna to nie tylko walka o planetę, lecz także o czysto ekonomiczną dominację, byłyby jednak ważne. Zwłaszcza, gdy się wierzy, że kierunek zmian w pozyskiwaniu i wydatkowaniu energii jest słuszny i jedyny z możliwych. Inaczej, cytując słowa jednego z byłych przewodniczących Rady Europejskiej, wyborcy zaczną wymierzać „srogie baty" za sposób, w jaki to wszystko jest załatwiane.

©℗ PAWEŁ BRAVO

CROWN COPYRIGHT / EPA / PAP

Humza Jousaf, Edynburg. 29 marca 2023 r.

Z Pendżabu do szkockiego rządu

PATRYCJA BUKALSKA ZE SZKOCJI

Humza Jousaf, 37-letni syn imigranta z Pakistanu, jako nowy premier Szkocji chce poprowadzić kraj do niepodległości.

Zawsze będę wdzięczny za to, że moi dziadkowie wyruszyli z Pendżabu do Szkocji ponad 60 lat temu. Jako imigranci, ledwie znający pojedyncze słowa po angielsku, nawet by nie pomyśleli, że pewnego dnia ich wnuk będzie o krok od tego, by zostać premierem Szkocji" – mówił wzruszony Humza Jousaf po ogłoszeniu wyników partyjnego głosowania wśród członków Szkockiej Partii Narodowej (SNP). Pokonał w nim dwie rywalki, a kolejnego dnia, po głosowaniu w szkockim parlamencie – a było już tylko formalnością, jako że SNP i wspierający ją Zieloni mają tam większość – stanął na czele lokalnego rządu w Edynburgu.

Wybory nowego przewodniczącego i zarazem szefa rządu Szkocji były konieczne po tym, jak w połowie lutego niespodziewaną rezygnację złożyła premier Nicola Sturgeon. Po kampanii partia jest mocno podzielona, co więcej, 5 kwietnia był przesłuchiwany w związku z dochodzeniem w sprawie finansów SNP Peter Murrell, mąż byłej premier, do niedawna również zasiadający we władzach partii.

PIERWSZY SONDAŻ przeprowadzony już po wyborze Jousafa pokazał, że miodowego miesiąca premier mieć nie będzie. Poparcie dla SNP spadło i wynosi obecnie 39 proc. – nadal jest to zatem najsilniejsze ugrupowanie w Szkocji, ale opozycyjna Partia Pracy zaczyna deptać mu po piętach z 33-procentowym poparciem. Gdyby odbyły się teraz wybory, szkockie i brytyjskie, SNP straciłaby po kilkanaście mandatów zarówno w brytyjskim parlamencie, jak też w Holyrood, autonomicznym parlamencie w Edynburgu. Niepewne byłoby nawet utrzymanie okręgu wyborczego samego premiera w Glasgow Pollok.

Odzyskanie zaufania Szkotów będzie więc jednym z najważniejszych zadań Jousafa – w sytuacji, gdy połowa z nich jest przekonana, że Szkocja zmierza w złym kierunku. Również akceptacja dla działań rządu w takich dziedzinach jak ekonomia, edukacja i ochrona zdrowia jest niewielkie i średnio wynosi ok. 26 proc.

Jousaf zapowiada „radykalną, ambitną i postępową polityczną agendę". W jego gabinecie po raz pierwszy zasiada więcej kobiet niż mężczyzn. W swoim przemówieniu po zwycięskim głosowaniu mówił o walce z ubóstwem i rosnącymi cenami, o poprawie szans życiowych i wsparciu małych przedsiębiorstw. Problem w tym, że SNP rządzi już od kilkunastu lat i opozycja wytyka jej wiele porażek i niespełnionych obietnic. Sam Jousaf kierował w tym czasie kilkoma ministerstwami, m.in. transportu i zdrowia, i jego bilans jest tu mocno krytykowany. Obejmując teraz urząd premiera, nie ma więc czystej karty i będzie się musiał mocno postarać, by pozytywnie zaskoczyć Szkotów.

NA LIŚCIE PRIORYTETÓW Jousafa są też europejskie ambicje Szkotów. „Jestem dumnym Szkotem i równie dumnym Europejczykiem, a Szkocja jest europejskim narodem. Chcemy wrócić do Unii Europejskiej i odegrać swoją rolę w budowie kontynentu opartego na prawach człowieka, pokoju, dobrobycie i społecznej sprawiedliwości" – podkreślał. Powrót do Europy jest teoretycznie możliwy jedynie wtedy, gdyby Szkocja opuściła Zjednoczone Królestwo, które, przypomnijmy, przed trzema laty przeprowadziło brexit.

To właśnie wypracowanie nowej wiarygodnej drogi do niepodległości będzie głównym zadaniem Jousafa. Po poprzedniczce odziedziczył sytuację patową: brytyjski rząd niezmiennie nie zgadza się na kolejne referendum niepodległościowe w Szkocji, a poparcie dla secesji wcale nie rośnie. Obecnie za niepodległością opowiada się 48 proc. ankietowanych Szkotów, przeciwnych jest 52 proc. – i mimo chwilowych wahań stan ten nie zmienia się od lat. Jousaf nie traci jednak pewności siebie. „Będziemy pokoleniem, które doprowadzi Szkocję do niepodległości" – obiecuje.

DZIADKOWIE JOUSAFA nie doczekali widoku wnuka na czele SNP i szkockiego rządu, za to rodzice mogą cieszyć się tym sukcesem razem z nim. Jego ojciec Muzaffar Jousaf, który przybył do Szkocji jako 10-latek, jest członkiem SNP od ponad 50 lat. Jak mówi, wstąpił do partii niepodległościowej, bo czuł, że Szkoci nie są traktowani przez londyński rząd uczciwie. Wspomina, że wywołało to różne reakcje: „Mówiono mi, że nie mogę być nacjonalistą, bo to tylko dla ludzi urodzonych w tym kraju". Sukces syna pokazuje, jak wiele się zmieniło od lat 70. XX wieku. Muzaffar Jousaf ma teraz nadzieję, że ten przyciągnie do SNP więcej młodych ludzi z mniejszości etnicznych.

■■■

Humza Jousaf to niejedyny potomek imigrantów, który osiągnął ostatnio polityczny sukces na Wyspach Brytyjskich. Rządem w Londynie od kilku miesięcy kieruje Rishi Sunak. Na szkockiej scenie zaś na czele opozycyjnej Partii Pracy stoi Anas Sarwar, podobnie jak Jousaf pochodzący z muzułmańskiej rodziny Pakistańczyków z Pendżabu. W następnych tutejszych wyborach zmierzą się więc najpewniej jako liderzy największych partii dwaj szkoccy politycy o pakistańskich korzeniach, obaj urodzeni w Glasgow. ©℗

Wieża Babel nad Dniestrem

KS. MARCIN JANUŚ, PROBOSZCZ Z NADDNIESTRZA:

Opatrzność Boża czuwała nad Odessą, a przy okazji nad nami. Baliśmy się, że wojna lada moment rozszerzy się na Mołdawię.

AURELIUSZ M. PĘDZIWOL: Od dawna żyje Ksiądz w Naddniestrzu?

KS. MARCIN JANUŚ: Od 22 lat. Jestem już obywatelem Naddniestrza. Wraz z pozostałymi trzema księżmi z Polski doszliśmy do wniosku, że tak będzie prościej. Nadal jesteśmy też obywatelami Polski.

Prościej, bo pewnego dnia mogłoby się okazać, że nie da się wjechać do Naddniestrza?

Tak, mogliby nas nie wpuścić. A tak nie mogą nas nawet wydalić. To ma jednak też konsekwencje. Gdyby nam zarzucono wrogą działalność, moglibyśmy trafić do więzienia.

Naddniestrze to kawałek Mołdawii kontrolowany przez Rosję.

Na pewno to szara strefa wpływów Rosji. Ma struktury państwowe: prezydenta, premiera, rząd, parlament, armię, służby celne, budżet, walutę...

...i rosyjskie „siły pokojowe".

Tak, kontyngent żołnierzy rosyjskich. Stacjonują tam od wojny domowej 1992 r. Ale pięć lat temu wygasł mandat ONZ, na mocy którego były to siły rozjemcze między Mołdawią właściwą a Naddniestrzem. Połowa tego kontyngentu to Rosjanie, którzy z dziada pradziada żyją w Naddniestrzu. Mają rosyjskie paszporty i mogli pójść do pracy w armii rosyjskiej. Oni na pewno nie są zainteresowani wojną, bo jednymi z pierwszych, którzy by ucierpieli, byliby ich najbliżsi. Pozostali to Rosjanie z Rosji, oni będą wypełniać rozkazy, jakie dostaną.

Może tam znów dojść do wojny?

Rok temu, wiosną 2022 r., czuło się w powietrzu duże niebezpieczeństwo, że siły rosyjskie mogą dostać rozkaz podporządkowania sobie armii Naddniestrza i wspólnego uderzenia w plecy ukraińskich obrońców Odessy. Ale Opatrzność Boża czuwała nad Odessą, a przy okazji i nad nami. Był sztorm i choć rosyjskie okręty kilka razy wychodziły w morze, do desantu szczęśliwie nie doszło.

Czy przyczyniły się do tego także ukraińskie rakiety, które trafiły krążownik „Moskwa"?

To już Bóg wie najlepiej.

Ilu ludzi mieszka w Naddniestrzu?

Teraz już mniej niż pół miliona.

I wiele narodów?

W całej Mołdawii żyje podobno 40 różnych narodowości. A to kraj, który wraz z Naddniestrzem liczy niecałe 3,5 mln mieszkańców.

Krótko mówiąc: wieża Babel?

Tak. Największymi grupami w Naddniestrzu, mniej więcej równie licznymi, są Rosjanie, Mołdawianie i Ukraińcy. Potem daleko za nimi Bułgarzy i inne narody byłego Związku Sowieckiego, których przedstawicieli wysłano do pracy w Mołdawskiej SRS.

Rosjanie też znaleźli się w Naddniestrzu w ten sposób?

W czasach sowieckich na terenie dzisiejszego Naddniestrza lokowano przemysł ciężki. W największych miastach – Tyraspolu, Benderach i Rybnicy – powstały huta stali, cementownia, zakłady elektromaszynowe. Z centrum Rosji wysyłano tam specjalistów i kadry kierownicze. W Naddniestrzu spotykałem obywateli Rosji z różnych jej części, nawet z Sachalina. Akurat stamtąd to była potomkini polskich zesłańców, lekarka.

A inne mniejszości?

Spora niemiecka diaspora żyła w okolicy Kiszyniowa i w Naddniestrzu, ale wyemigrowali jeszcze w latach 90. Jeśli jacyś zostali, to niewielu. Spotykałem Azerów. W Gagauzji, na południu Mołdawii, żyją Gagauzi, ludność pochodzenia tureckiego, która bodaj u schyłku panowania hospodara mołdawskiego Stefana III Wielkiego w XV w. przyjęła prawosławie. Są też Turcy.

Oraz Polacy. Skąd się tam wzięli?

Byli już w czasach I Rzeczypospolitej.

I zachowali polskość, język i tradycje?

Najwięcej tradycji udało się im zachować poprzez wiarę rzymskokatolicką. A język? Bardzo słabo. Najczęściej jako język modlitw nauczanych z pokolenia na pokolenie w domu.

Archaiczny?

Trochę przypomina język Sienkiewicza, bo polskiej edukacji nie było tam przez ponad 200 lat.

Ksiądz jest w Naddniestrzu dlatego, że to nadal Polacy?

Jestem tam dlatego, że są rzymskimi katolikami i potrzebują duszpasterza. Pierwszym polskim księdzem, który przyjechał do Mołdawii w grudniu 1990 r., jeszcze przed rozpadem Związku Sowieckiego, był nieżyjący już sercanin Henryk Soroka. Trafił do Naddniestrza, do wsi Swoboda-Raszków, zamieszkanej w większości przez ludzi przyznających się do polskich korzeni. Kiedyś nazywała się ona Księdzowo, bo założył ją proboszcz parafii w Raszkowie, miasteczku oddalonym o ok. 10 km na zachód, nad Dniestrem. To była druga połowa XVIII w., gdy właścicielem tych ziem był książę Stanisław Lubomirski, wojewoda bracławski i kijowski. Prawdopodobnie od niego proboszcz z Raszkowa otrzymał prawo do założenia wioski na utrzymanie kościoła i parafii, i do osiedlenia w niej chłopów. Oni najpierw nazywali ją Słobodka-Księżówka, potem z tego zrobiła się Raszkowska Słoboda, Słobodka, a dziś to Słoboda-Raszków lub Swoboda-Raszków. Swoboda, czyli wolność, gdyż proboszcz miał wyznaczyć chłopom tylko siedem dni pańszczyzny w roku. Byli naprawdę wolnymi ludźmi.

O takich obciążeniach chłopi mogli wtedy tylko pomarzyć.

Rzeczywiście, chyba nigdzie nie było tak niskich. Wiedza, że wioskę założył

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Rzymskokatolicki kościół św. Kajetana w Raszkowie powstał w XVIII wieku, gdy miasteczko należało do Rzeczypospolitej. Naddniestrze, lipiec 2011 r.

ksiądz, przetrwała przez pokolenia. Również w czasach sowieckich była żywa.

Ilu ludzi tam żyje?

Około pół tysiąca. Zdecydowana większość ma polskich przodków, a wielu także Kartę Polaka, dokument oficjalnie potwierdzający ich polskie pochodzenie.

To jedyna taka polska wioska w Naddniestrzu?

W Naddniestrzu tak. Jeszcze przed II wojną światową Polacy byli w Raszkowie, ale potem wyemigrowali albo ulegli całkowitej rusyfikacji. W pierwszych latach pobytu w Naddniestrzu spotykałem czasem kogoś, kto przyznawał się do polskiego pochodzenia. Duża grupa Polaków, może nawet większa niż w Swobodzie-Raszkowie, żyje w oddalonej o 35 km Rybnicy. Ale to miasto. 20 lat temu miało ponad 50 tys. mieszkańców, dziś chyba dużo mniej, a Polaków jest tam pół tysiąca. Poza tym znaczące, ale mniejsze skupisko Polaków jest w Tyraspolu, stolicy Naddniestrza.

Czy Polacy ze Swobody-Raszkowa mówią dziś po polsku nie tylko słowami modlitw?

Ksiądz Soroka był również nauczycielem polskiego w miejscowej szkole. Dzięki niemu język, którym ludzie dziś mówią, trochę się uwspółcześnił. Uczył on także rękodzieła artystycznego, znał się na tym, był absolwentem liceum plastycznego w Zamościu. Do dziś pozostały wyhaftowane przez niego chorągwie procesyjne, sam też uszył stroje ludowe dla dzieci. Dzięki niemu polscy mieszkańcy Swobody-Raszkowa zaczęli być widoczni w naddniestrzańskim środowisku. Już nie tylko religia ich wyróżniała. Wszyscy wkoło wiedzą, że to Polacy.

Czyli to proces odwrotny niż np. na Zaolziu, gdzie Polaków ubywa. Ksiądz twierdzi, że mieszkańcy Swobody-Raszkowa coraz bardziej identyfikują się z Polską.

Ma to chyba po części ekonomiczne tło. Bo jeśli znajdują w metrykach urodzenia zapis, że rodzice, dziadkowie czy choćby pradziadkowie byli Polakami, daje im to podstawę do uzyskania Karty Polaka, z którą mogą wyjechać do Polski, legalnie podjąć pracę czy kształcić się na tych samych zasadach, co obywatele polscy. Przyznawanie się do polskich korzeni jest więc w jakimś sensie motywowane materialnie. I patrząc z punktu widzenia księdza, nie zawsze przekłada się na religijność. Choć więc na Wschodzie powszechne jest utożsamienie, że katolik to Polak, a Polak to katolik, dziś już zdecydowanie nie tak to wygląda.

Swoboda-Raszków jest wyspą nie tylko polską, ale i rzymskokatolicką?

To jest na pewno rzymskokatolicka wyspa w całym Naddniestrzu.

A inne wyznania? Prawosławie, Kościół greckokatolicki?

Grekokatolicy to jednostki, w Naddniestrzu prawie ich nie ma. W Mołdawii właściwej mają dwie parafie: w Kiszyniowie i Bielcach.

Dominuje prawosławie?

Prawosławie, i to Moskiewskiego Patriarchatu. Z innych chrześcijańskich wyznań więcej niż katolików jest np. baptystów. W Naddniestrzu spora jest też diaspora żydowska. No i ogromnie dużo jest Świadków Jehowy. Na pewno więcej niż katolików.

A muzułmanie?

Meczetów nie widziałem, ale coraz częściej spotykam kobiety w burkach. 20 lat temu tyle ich nie było. Może to ludzie, którzy wyjechali z Syrii i Turcji po trzęsieniu ziemi. Pewnie też uchodźcy wojenni z Syrii.

Czego można się spodziewać w Naddniestrzu?

Przede wszystkim trzeba życzyć mu pokoju. Żeby wojna w sąsiedniej Ukrainie jak najszybciej się skończyła. Oraz żeby nie było kolejnej wojny domowej, bo przyniosłaby zniszczenie i tak już zniszczonego kraju, i morze cierpienia, którego i tak mają na co dzień dużo. Chyba najlepiej by było, gdyby powstała federacja Naddniestrza z Mołdawią właściwą.

Pewnie najpierw musiałyby zostać wycofane te rosyjskie tzw. siły pokojowe?

Właśnie. Dlatego mówię, że najlepiej by było, żeby powstała federacja, bo to by pozwoliło Naddniestrzu zachować odrębność. Ale sprawy mogą się też potoczyć całkiem inaczej i wtedy nie obędzie się bez przelewu krwi. Tego się boję i modlę się, żeby do tego nie doszło. Trzeba ufać, że obie strony, Mołdawia i Naddniestrze, widząc z bliska ogrom zniszczeń i cierpień w sąsiedniej Ukrainie, będą szukać innej drogi niż siłowa.

© Rozmawiał AURELIUSZ M. PĘDZIWOL

ARCHIWUM PRYWATNE

KS. MARCIN JANUŚ (ur. 1972), sercanin, jest proboszczem parafii rzymskokatolickiej we wsi Swoboda-Raszków (rum. Slobozia-Raşcov) w północnej części samozwańczej republiki Naddniestrza. Pracuje tam od 2001 r. Rozmowę przeprowadzono podczas Europejskiego Kongresu Samorządów w Mikołajkach.

HENA, CZYLI ŁASKA

KRYSTYNA BUDNICKA:

Proszę ode mnie nie oczekiwać jakichś rozmyślań, czy się bałam itd. To było wszystko fizyczne. Tam nie było żadnego psychicznego działania, to był tylko instynkt. Pali się? Więc trzeba się schować.

PATRYCJA BUKALSKA: 19 kwietnia 1943 r. o świcie w getcie wybuchło powstanie. Pani – wtedy 11-letnia dziewczynka – od kilku miesięcy przebywała już z rodziną w przygotowanym wcześniej bunkrze. Czy jednak zapamiętała Pani ten dzień jako szczególny?

KRYSTYNA BUDNICKA: Od stycznia nie wychodziłam już na zewnątrz. Moi bracia za to wychodzili, kontaktowali się z organizacją podziemną. Ja wiedziałam tylko, że tego dnia oni poszli do walki. Słyszałam też, co się dzieje na zewnątrz, i czułam działania powstańcze przez skórę – kiedy się paliło dookoła, kiedy się zaczęło gorąco u nas robić.

W bunkrze mieliśmy też radyjko – słuchaliśmy rozgłośni polskiej Świt, nadawał Londyn i w ten sposób dochodziły wiadomości. Był ten chorał „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej..." z radia. Mówiło się, że getto walczy. Wiedziałam więc, że trwa powstanie, choć samego momentu wybuchu nie zapamiętałam.

To radio było bardzo ważne również później, bo mówiono o froncie wschodnim, że Niemcy dostają łupnia, że tracą siły, że się cofają. Tak to zapamiętałam, ale docierało to do mnie poprzez rozmowy dorosłych. Była w tym jakaś nadzieja, że wytrwamy, że jeszcze trochę...

Czy bracia, którzy poszli walczyć, pożegnali się z Panią i z rodzicami?

Tego nie pamiętam. Ja byłam bardzo późnym dzieckiem i między mną a braćmi była duża różnica wieku – między mną a najstarszym bratem aż 21 lat. Oni byli więc już dorośli i dlatego mogli walczyć. Ja naprawdę nie rozumiałam wszystkiego, co się dzieje, słyszałam takie strzępki rozmów... Raczej odczuwałam, niż rozumiałam. To w ogóle jest bardzo skomplikowane, co ja wtedy czułam.

Może Pani o tym opowiedzieć? W sumie spędziła Pani w ukryciu w bardzo małej przestrzeni podziemnego bunkra dziewięć miesięcy.

Byłam bardzo mało aktywna – i psychicznie, i fizycznie. Teraz myślę, że być może to mnie uratowało, bo nie zostałam tak bardzo – jak by to powiedzieć? – poraniona. Nie byłam aktywna, a przez to nie byłam wszystkiego świadoma. Nie rozumiałam całej grozy. Tak to teraz, z pozycji dorosłej osoby, widzę. Bo jak inaczej można było być tam, przeżyć to wszystko, czuć?

Nasz bunkier to był rodzaj ziemianki. Na bazie pogłębionej piwnicy, obniżono jej poziom. Ziemia była wybrana i położona na stropie oraz na ściany boczne. Dlatego kiedy się getto paliło, to te ściany były gorące jak w piecu chlebowym. Uciekaliśmy więc do kanału, w kanale było chłodno. Tam jednak Niemcy zaczęli wrzucać bomby gazowe, więc musieliśmy wracać z powrotem do bunkra.

Tak to wyglądało w czasie powstania w getcie. Państwo jednak zeszli do niego już kilka miesięcy wcześniej...

Urodziłam się na placu Muranowskim, więc nawet kiedy powstało getto, to myśmy się nie przeprowadzali. Dopiero później, kiedy getto zmniejszano i plac Muranowski znalazł się poza nim, trzeba się było przeprowadzać. Musiało już być po akcji likwidacyjnej, bo można było znaleźć dużo pustych mieszkań. My trafiliśmy na ul. Miłą, mieszkaliśmy na piętrze. To był czas, kiedy trwały już bardzo poważne wywózki, rewizje, gromadzono ludzi na Umschlagplatz – codziennie odchodził pociąg z wypełnionymi wagonami. Były też łapanki na ulicach – w jednej z nich straciłam dwóch z moich sześciu braci. Nie byłam tego świadkiem, ale wiem z opowiadania, że jeden brat został zgarnięty z ulicy i wywieziony do Treblinki, a po pewnym czasie również drugi w ten sposób zginął.

Problem polega na tym, że ja po wojnie nie miałam nawet z kim konfrontować tych moich wspomnień – bo nie było już nikogo... Ja tak teraz odtwarzam to, co pamiętam.

Moi czterej pozostali bracia związali się z organizacją, był to ŻOB, i to chyba właśnie wtedy powstał pomysł budowy naszego bunkra.

Zbudował go Pani brat, prawda?

Mój brat Rafał był technicznie do tego przygotowany. Już wcześnie specjalizował ↦

ANNA LIMINOWICZ / POLIN

HENA KUCZER / KRYSTYNA BUDNICKA (ur. 1932) jest najmłodszą z ośmiorga dzieci Cyrli i Josefa Lejzora. Przed wojną jej ojciec wraz z braćmi prowadzili warsztat stolarsko-budowlany na placu Muranowskim. W getcie wyspecjalizowali się w budowaniu skrytek, w których Żydzi chowali kosztowności, a od 1942 r. konstruowali także kryjówki dla ludzi. Bracia Boruch i Szaja z rodzinami zginęli w Treblince latem 1942 r. Trzeci brat, Rafał, wraz z żoną również został wywieziony, ale uciekł z pociągu i wrócił do getta. Pod jego kierownictwem Kuczerowie wybudowali schron, znajdujący się w podziemiach narożnego budynku przy ul. Zamenhofa 56/Muranowskiej 44. Jego pomieszczenia wykopano pod dwiema piwnicami. Był dostęp do wody i prądu, działała kuchnia z kominem i radio. Wydrążono tunel, łączący bunkier z kanałami miejskimi.

W chwili wybuchu powstania w bunkrze Kuczerów przebywało ok. 40 osób. Rafał, Chaim i Izaak Kuczerowie, którzy mieli kontakty z ŻOB, brali udział w walkach. Później ciężko chory Rafał został przeniesiony przez działaczy żydowskiego podziemia na stronę aryjską. Izaaka i Chaima zabili Polacy, którzy odkryli wejście do bunkra, poszukując „skarbów" na terenie getta.

23 września 1943 r. Hena, jej rodzice, siostra Perla, najmłodszy brat Jehuda i bratowa Anka (żona Izaaka) weszli do kanałów, by przedostać się poza teren getta. Rodzice Heny nie mieli siły iść dalej. Razem z Perlą, która nie chciała ich opuścić, zostali w kanałach. Hena, Jehuda i Anka zostali wyciągnięci i umieszczeni w kryjówce po stronie aryjskiej.

Jehuda zmarł wkrótce z powodu zakażenia wodą z kanałów. Rafał został wydany przez konfidenta i zamordowany przez gestapo. Hena i jej bratowa były pod opieką Żydowskiego Komitetu Narodowego, który pomagał im znaleźć kolejne schronienia i udzielał zapomogi. Po powstaniu warszawskim znalazły się w Pruszkowie, gdzie Anka oddała Krysię do domu dziecka prowadzonego przez siostry zakonne. Dziewczynka przebywała w nim aż do zdania matury, a później skończyła studia i pracowała w Warszawie jako nauczycielka. Od 1991 r. jest członkinią Stowarzyszenia „Dzieci Holocaustu" w Polsce.

↦ się w różnych skrytkach... To się wzięło stąd, że na początku getta Niemcy wydali polecenie konfiskaty mienia. Tzn. mówili, żeby dać do „depozytu" wartościowe rzeczy, a potem po wojnie mieliśmy je dostać z powrotem. Chodziło o biżuterię, futra, aparaty fotograficzne – rzeczy tego typu. Ludzie oczywiście nie chcieli tego oddawać, więc zaczęło się szukanie sposobu, jak te rzeczy schować. Mój brat miał do tego smykałkę i zaczął robić różne takie ukrycia, wyspecjalizował się w tym.

Później, kiedy zaczęły się rewizje i ludzie przestali się sami zgłaszać do rzekomej pracy – bo tak oficjalnie przedstawiano wywózki – to potrzebne były miejsca, by mogli się ukrywać dłużej niż przez kilka minut. Stąd pomysł zbudowania czegoś trwalszego z drogą ewentualnej ucieczki.

Stąd to przejście łączące Państwa bunkier z kanałem...

Niezbyt bezpieczne, ale tak: to się sprawdzało, dopóki Niemcy się nie zorientowali, że taką drogą ludzie uciekają. Pomysłodawcą takiego bunkra – tak jak to teraz analizuję – był mój brat Rafał, wykonawcami moi pozostali bracia, bo to była ciężka fizyczna praca, ale potrzebne były jeszcze pieniądze, by zgromadzić tam zapasy żywności. Kilka rodzin dołączyło się więc do tego dzieła finansowo. Bunkier to były dwa pomieszczenia, w tym drugim były zapasy, worek kaszy, ziemniaki, nawet jakieś leki były, środki opatrunkowe, witaminy.

Ja to wszystko jednak opowiadam z perspektywy małej dziewczynki, nieaktywnej, jakby wyłączonej. Zeszliśmy na dół, jeszcze gdy trwały prace nad tunelem łączącym nas z kanałem.

Kto z Panią tam był?

Poza moimi braćmi byli moi rodzice i moja siostra. Wśród braci jeden, Jehuda, był dwa lata zaledwie starszy ode mnie. On już jednak nie był chłopcem, był mężczyzną, świetnie zorientowanym we wszystkich sprawach, również tych organizacyjnych związanych z budową bunkra, wszędzie chodził ze starszymi braćmi. Były jeszcze dwie młode kobiety, kilka rodzin, był lekarz z żoną... On jednak wyszedł z bunkra w pierwszym dniu powstania – nie wytrzymał psychicznie. „Zegarek mi stanął – powiedział. – To koniec życia". I wyszedł.

A Pani się nie bała?

Mnie tak jakby nie było. Nie odczuwałam strachu i nie odczuwałam głodu, choć na pewno musiałam być głodna.

Jakie były te pierwsze miesiące w bunkrze, jeszcze przed powstaniem?

Dość spokojne. Moi bracia wychodzili na zewnątrz, jeszcze coś się w getcie działo. Byli oczywiście bardzo ostrożni, znali też doskonale plan kanałów. Wyjścia z kanałów, włazy, to były takie miejsca ustalone, kontaktowe. Pamiętam, jak wracali z tych wędrówek, ja jednak nie wychodziłam z bunkra i to wszystko do mnie tak dziwnie nie docierało. Byłam taka... przymglona. Tylko leżałam na pryczy – w tym małym pomieszczeniu nie było jak się poruszać. Spałam. Nawet już nie miałam książek, żeby czytać.

Bunkier był jednak świetnie zorganizowany, bo był prąd i woda pitna. Gotowało się, póki mieliśmy zapasy. Jak to jedzenie kupowano? Nie wiem, ale moja rodzina nie była zamożna, więc musiało to pochodzić ze źródeł wspólnotowych. Porcje były wydzielone i bardzo skromne.

Czy posiłki były takimi ustalonymi punktami dnia?

Nie pamiętam, byśmy razem jedli. Na pewno nie. Pamiętam kobiety, które się krzątały przy tym gotowaniu, robiły jakąś zupę.

Czy pamięta Pani coś jeszcze z tego okresu przed powstaniem?

Nabyłam bratową! Któregoś dnia mój najstarszy brak Izaak przyprowadził koleżankę. Przedstawił ją jako swoją przyjaciółkę, która straciła całą rodzinę i nie ma gdzie mieszkać. Spotkał ją na ulicy zapłakaną i prosił nas, by mogła zostać z nami. Moja mama, pobożna Żydówka, zgodziła się, ale stwierdziła: „Jak to będzie wyglądać, ty kawaler, ona panienka, jak to tak?". Więc brat stwierdził, że dobrze, niech będzie „narzeczona". „Skoro tak, to bierzecie ślub" – powiedziała mama. Był więc ślub w warunkach kanałowych. Na ręce mojego taty złożyli przysięgę małżeńską. Był jakiś rodzaj baldachimu, chyba z koca, ale żadnych innych uroczystości. Taka była miłość w bunkrze... Kilka miesięcy trwała... Bratowa, Anka, do końca się mną opiekowała, kiedy już nikogo innego z rodziny nie było.

Życie w bunkrze, gdy wybuchło powstanie, zaczęło być znacznie trudniejsze.

Proszę ode mnie nie oczekiwać jakichś rozmyślań, czy się bałam itd. To było wszystko fizyczne. Tam nie było żadnego psychicznego działania, to był tylko instynkt. Pali się? Więc trzeba się schować. Gorąco? Trzeba szukać ochłody. Tylko tyle.

Byli z Panią wtedy Pani rodzice i siostra?

Tak, i muszę tu opowiedzieć o moim tacie, i co z nim się stało. Przed wojną był kimś ważnym, głową rodziny, a potem się zagubił... Był praktykującym Żydem, chodził w żydowskim stroju, miał piękną białą brodę. I tę brodę, połowę brody, obcięło mu dwóch Niemców, kiedy w getcie wracał kiedyś do naszego mieszkania na placu Muranowskim. Kazali mu tańczyć. Tata nie chciał, więc go uderzyli i sami zaczęli się z niego naśmiewać, przedrzeźniać. Zrobił się tłumek koło niego. On był bardzo szanowanym człowiekiem, ludzie przychodzili do niego po porady, a ta sytuacja sprawiła, że tata stracił poczucie godności, nie pozbierał się już z tego psychicznie i przestał być głową rodziny. Tę funkcję przejęli wtedy moi bracia – oni się nami opiekowali i myśleli, jak przeżyć. Tata przestał decydować, nie zabierał już głosu, nie umiał sobie poradzić z tą rzeczywistością, w zasadzie przestał być...

Kiedy wrócili do Państwa Pani bracia, którzy poszli walczyć w powstaniu?

Wrócili, kiedy powstanie się załamało, ale nie umiem powiedzieć, czy było to już po wysadzeniu bunkra na Miłej. Część bojowców popełniła samobójstwo, część wydostała się kanałami na aryjską stronę, a moi bracia wrócili do nas, bo wiedzieli, że bez nich sobie nie poradzimy.

Bo życie w bunkrze toczyło się dalej. Nasza ziemianka, na szczęście, się nie zawaliła, ale spłonęło to drugie pomieszczenie, gdzie były zapasy. Dookoła morze gruzu i ognia, ale my byliśmy do pewnego stopnia bezpieczni. Dalej mieliśmy też prąd – pamiętam radość mojego brata, gdy po awarii połączył się z jakąś „mufą", pamiętam to słowo. To nas ratowało: prąd i bieżąca czysta woda pitna. Tyle że groziła nam śmierć głodowa.

Czy to właśnie głód sprawił, że postanowili Państwo opuścić getto?

Przede wszystkim kiedy moi bracia wrócili, to mieli już kontakt z podziemiem. Myślę, że to był ŻOB, ale nie potrafię na pewno tego powiedzieć. To takie moje przypuszczenie, bo potem, jak już byliśmy na stronie aryjskiej, to przyszedł do nas Antek Cukierman. I była taka pani Basia, która przyniosła mi jakieś ciuszki. Basia Bermanowa. To już jednak było później, a wracając do wyjścia z getta: ważne, że moi bracia wiedzieli, gdzie jest punkt kontaktowy po stronie aryjskiej, i ten kontakt nawiązali.

Ile osób pozostawało wtedy jeszcze w bunkrze?

Poza moją rodziną jedna kobieta, taka starsza chora pani, oraz małżeństwo, które miało syna po aryjskiej stronie i liczyło, że ten syn im pomoże. Tak się zresztą stało.

Pozostałe osoby wyszły wcześniej?

Nie wiem, nie wiem, jak to się stało... Kontakt ze stroną aryjską został nawiązany i kiedyś przyszedł do nas łącznik. Miał się zorientować w sytuacji, sprawdzić, ile nas jest osób. W międzyczasie jednak zachorował Rafał – zapewne coś zjadł, a może to był tyfus albo czerwonka? Potrzebował pomocy lekarskiej i jego pierwszego zabrali na drugą stronę.

A jak nie było Rafała, to u nas się zrobiło takie rozprężenie w bunkrze. Zabrakło kapitana, jak wtedy mówiliśmy....

Kiedy po powstaniu mury getta ostygły, to pojawili się szperacze. Niemcy wysłali ich do porządkowania getta, a może sami przychodzili szukać cennych rzeczy, w każdym razie my w bunkrze zamieniliśmy dzień na noc, noc na dzień – po to, żeby w dzień nie było żadnego ruchu, który mógłby zdradzić naszą kryjówkę. Któregoś dnia lub wieczoru, nie potrafię powiedzieć, jaka to była pora, usłyszeliśmy jednak, że coś się koło nas dzieje, jakieś dźwięki, jakiś ruch. I to był koniec bunkra.

Co się stało?

Moi bracia Izaak i Chaim, którzy przejęli kierownictwo po tym, jak wyprowadzono Rafała, stracili czujność i chcieli zobaczyć, co tam się dzieje. Myśmy uciekli do kanału, a oni poszli – to było bardzo nierozsądne. Za jakiś czas wrócili, powiedzieli, że tam jest dwóch Polaków, porządkują gruzy, przerazili się, jak moich braci zobaczyli, ale zapytali, czy są głodni, i obiecali, że przyniosą im chleba. Taka naiwność moich braci, wydawałoby się: dorosłych, rozsądnych ludzi... A może po prostu byli tak bardzo głodni? Poszli po ten chleb.

ARCHIWUM RODZINNE

Krystyna Budnicka, zdjęcie zrobione w Warszawie w 1944 r., tuż przed powstaniem warszawskim.

Pamiętam, że wyszli o umówionej godzinie. My znów się schowaliśmy. Z daleka usłyszeliśmy strzały. Poczekaliśmy do nocy i wtedy moja siostra z moją bratową – Izaak to przecież był jej mąż – wyszły... Śladu jednak po braciach nie było. Zrozumieliśmy, że bunkier został nakryty, i że nie możemy tam zostać – ci, co zabili moich braci, na pewno domyślili się, że nie ukrywali się sami, i jeszcze wrócą. Musieliśmy uciekać...

Nie było ciał braci?

Nie było po nich śladu. Ale wiedzieliśmy, co oznaczały te strzały...

I tak naszym przywódcą został najmłodszy brat, 13-letni Jehuda, który doskonale wiedział, gdzie jest punkt kontaktowy, kiedy jest godzina podawania wiadomości przez dziurkę we włazie kanału, jaką drogą nas prowadzić przez kanał... Poszliśmy pod ten właz. Nie mieliśmy ze sobą nic do jedzenia, nawet wody, tylko latarkę na piersiach mojego brata.

Nie wiem, jak długo szliśmy, ale to było kilkaset metrów, właz był już przecież po aryjskiej stronie. Pod włazem, w kanale jest takie wybetonowane suche miejsce dla kanalarzy. Tam usiedliśmy i czekaliśmy.

Ile osób było w tej grupie?

Rodzice, moja siostra Pola, bratowa Anka, brat Jehuda, ta starsza kobieta i to małżeństwo. I ja.

Może ktoś jeszcze był? Nie pamiętam... Czekaliśmy. Wiedzieliśmy, że o umówionej godzinie przychodził współpracujący z organizacją dozorca, odebrać ewentualne wiadomości na karteczkach przełożonych przez właz. Napisaliśmy, że bunkier jest spalony i oczekujemy pomocy. Po stronie aryjskiej był już mój brat Rafał... Bardzo chory, ale był.

Długo czekaliście na pomoc?

Wiele godzin? Nie wiem, nie potrafię powiedzieć. W końcu dostaliśmy informację: „Dziś w nocy po was przyjdziemy". To była zorganizowana i niełatwa akcja – przecież była godzina policyjna i w Warszawie nie wolno było się poruszać. Przyszli po nas i... okazało się, że właz jest zalutowany! Prawdopodobnie Niemcy zorientowali się, że przy tym włazie jest jakiś ruch.

Czyli można było przesunąć karteczkę z wiadomością, ale nie można było włazu podnieść?

Tak, po prostu był zalutowany. A przecież właśnie tym włazem niedawno Rafał był wyprowadzony...

Kazali nam przejść do kolejnego włazu. Jehuda wiedział, gdzie to jest, znał te kanały doskonale. Już mieliśmy ruszać, kiedy okazało się, że ani tatuś, ani mamusia nie mają siły. Wszyscy byliśmy słabi, ale oni byli już niezdolni nawet by wstać z tego betonu, na którym siedzieliśmy. Ci z góry wołają: „Szybko, szybko, bo wszyscy zginiemy!", trzeba iść, nie ma chwili do stracenia, jest przecież godzina policyjna... Moja siostra postanowiła z rodzicami zostać. Ja też chciałam zostać przy mamie, ale ona powiedziała: „Idź, idź. Tam jest Rafał, on nam pomoże". Taka była jej wiara w syna, który wszystko może, wszystko zorganizuje... „Idź, masz iść" – mówiła. Traktuję to jako testament mojej mamy, która kazała mi żyć...

To dla mnie najtragiczniejsze wspomnienie.

Mama zapewne chciała, by choć Pani przeżyła...

Moja siostra miała ok. 20 lat i również mogła żyć. Jej jednak mama nie ↦

↦ powiedziała, żeby też poszła... Może bała się zostać całkiem sama.

Została jeszcze ta starsza chora kobieta, ona chyba chorowała na gruźlicę...

Jehuda poprowadził nas dalej.

W pewnym momencie trzeba było przejść z naszego kanału w nurt kanału burzowego. Jehuda szedł pierwszy i jego ten prąd porwał. Zapadły ciemności, bo to on miał latarkę. Cud się jednak stał – nie umiem tego inaczej powiedzieć – i brat zatrzymał się na jakiejś śluzie. Wrócił i dotarł do tego właściwego włazu. Tam powiedział tym ludziom, którzy przyszli nam pomóc, że muszą nas wynieść, bo nie damy rady samodzielnie przejść przez kanał burzowy. Zeszli i wynieśli nas na plecach.

A rodzice?

Mówiliśmy im, że tam jeszcze inni zostali, ale powiedzieli, że nie ma czasu, że jutro po nich wrócą, że teraz już trzeba dalej iść. Zaprowadzili nas do jakiejś piwnicy, gdzie był Rafał. Leżał na jakiejś pryczy, rozpłakał się, kiedy zobaczył, że nie ma z nami rodziców. Nic nie mogliśmy więcej zrobić...

Rano przyszli do nas jacyś ludzie – organizacja była bardzo sprawna – i zapakowali nas w cztery worki, bo tyle nas zostało. Po to starsze małżeństwo rzeczywiście przyszedł syn, ale nie wiem, kim oni byli ani jak się nazywali.

Dlaczego w worki?

Bo tylko tak nas można było przewieźć. Nie byliśmy już do ludzi podobni... Zawieźli nas na Mokotowską 1. Teraz jest tam metro Politechnika, a wtedy była piwnica, właściwie suterena budynku wypalonego jeszcze w 1939 r. Tam mogliśmy być. Przyszedł do nas lekarz i okazało się, że Rafał wychodzi z choroby, a Jehuda zaczyna być bardzo chory. On się topił w tych kanałach, musiał się napić tam wody... Dostał sepsy, po tygodniu umarł. Nie wiem nawet, gdzie go pochowali. To wszystko się działo jakby poza mną, nie byłam całkiem przytomna. Bez świadomości.

I tak się zaczęło moje życie po stronie aryjskiej.

Dalej musiała się jednak Pani ukrywać...

Tak, ale nie byłam głodna, nie było ciemno. Można powiedzieć, że byłam zaopiekowana. Nadal było jednak niebezpiecznie i dalej czułam się zagrożona. Bałam się chyba bardziej niż w bunkrze. W bunkrze już nic gorszego nie mogło mnie spotkać, a po aryjskiej stronie mogłam jeszcze stanąć twarzą w twarz z oprawcą. To oczywiście nie było takie świadome. Nie wiem, nie próbuję nawet tego analizować.

Nie byłam aktywna, a przez to nie byłam wszystkiego świadoma. Nie rozumiałam całej grozy. Tak to teraz widzę. **Bo jak inaczej można było być tam, przeżyć to wszystko, czuć?**

Tam na Mokotowskiej byliśmy do roku 1944. Opiekował się nami dozorca, pan Grochowski. Musiał być zaufanym człowiekiem podziemia. Zaczęła być mowa o powstaniu warszawskim i uznano, że mój brat jako bojowiec nie powinien być z nami, bo to zbyt ryzykowne. Pamiętam, że odwiedził nas tam jeszcze Antek Cukierman, przyniósł broń, a potem rozdzielono nas z Rafałem. On został na Mokotowskiej, a mnie i Ankę przenoszono w inne miejsca.

To musiało być trudne – Rafał był tak ważną postacią w Pani życiu.

On był już ostatnią osobą z całej mojej rodziny. I też zginął.

Jak to się stało?

Mokotowska uważana była już za podejrzany adres, ale Rafał tam jednak wrócił. On budował jakąś skrytkę podziemną, coś tam kopali, chyba było im szkoda rozpoczętej pracy. Do pomocy przydzielono mu takiego młodego chłopaka, Józef miał chyba na imię.

Tam, do pana Grochowskiego, tego dozorcy, który pomagał organizacji i narażał własne życie, często przychodził syn. I on Rafała wydał, a razem z nim własnego ojca. Kazik miał na imię. Pewnego dnia sprowadził gestapo, które zabrało i mojego brata, i pana Grochowskiego. Nie wiem, czym on się kierował, bo przecież nic z tego nie miał, żadnych zysków. Po wojnie znalazłam dokumenty, że on był konfidentem niemieckim, wydał wielu Żydów i Polaków, w tym własnego ojca. Był na niego wyrok podziemia.

A Rafał zginął przesłuchiwany na alei Szucha.

Kiedy dowiedziała się Pani o tym, co się stało?

My nie mieliśmy kontaktu, telefonu ani nic. Wiadomości były przekazywane przez łączników. O śmierci Rafała dowiedziałam się później, ale nie potrafię powiedzieć, kiedy. On zginął w lutym, a my z Anką do powstania warszawskiego byłyśmy przenoszone jeszcze wiele razy, tułałyśmy się. Kiedy nas przewożono, to musiałam zakrywać twarz, bandażowali mi głowę i tylko taki jeden prześwit na oko miałam. To w ogóle był dla mnie szok – po tych miesiącach w bunkrze nagle dźwięki miasta, jazda tramwajem, słońce... Przecież ja byłam pod ziemią dziewięć miesięcy!

Powstanie warszawskie zastało nas na Powiślu. To było dla mnie bardzo radosne, bo w końcu przestałam ukrywać twarz, schodziłam do schronu jak wszyscy, jak inne dzieci. Kiedy słyszałam „Mazurek Dąbrowskiego" i widziałam biało-czerwone sztandary, to aż podskakiwałam z radości. Ale potem znów trzeba było uciekać. 6 września padło Powiśle i ludność cywilną pognano na Wolę, do kościoła św. Wojciecha. Szliśmy tam całą noc, miasto płonęło.

Z kim Pani wtedy była?

Była ze mną moja bratowa i nasz ostatni opiekun, z którym przed powstaniem mieszkałyśmy na ul. Dobrej – pan Budnicki. Tam pod kościołem św. Wojciecha można powiedzieć, że moja tułaczka się zakończyła. Z Powiśla z dziećmi wyszły też siostry szarytki, które prowadziły dom dziecka. To były dziewczynki w moim wieku, jak się okazało potem, było już wśród nich kilka Żydówek. Pan Budnicki wiedział, że jako młodego mężczyznę wezmą go do obozu albo na roboty, więc podszedł do zakonnicy i zapytał, czyby mnie nie zabrały z tą grupą dzieci. Powiedział, że jestem sierotą, ale po wojnie on mnie odbierze. Siostry się zgodziły. „Mamy już dzieci, jeszcze jedno nie robi różnicy" – stwierdziły. Tak zaczęło się moje nowe życie jako Krysia Budnicka.

Nie chciała Pani potem wrócić do swojego imienia? Bo nazywała się Pani Hena Kuczer.

W mailu mam „Hena", więc Hena jakoś istnieje [*śmiech*]. Nazwiska nie zmieniłam, bo... Nie wiem. Może gdybym miała rodzinę, to byłoby inaczej. Najpierw nie myślałam o tym, później było mi wszystko jedno, a potem myślałam, że to skomplikowane. Teraz mi to trochę przeszkadza, byłoby mi miło mieć choć łączone nazwisko, ale już dożyję moje życie do końca jako Krysia Budnicka. Na grobie prosiłam, żeby było podwójne nazwisko: Kuczer-Budnicka.

Hena to po hebrajsku „łaska". To ładne imię.

Czy po wojnie pamięta Pani moment, w którym zrozumiała, że została sama?

To się nie działo z dnia na dzień. Dla mnie do tej pory jest sprawą niezwykle ważną, że ja nikogo z mojej rodziny nie pożegnałam. To było takie ciągłe ubywanie kogoś. To nie było tak, że któregoś dnia obudziłam się ze świadomością, że wszyscy zginęli. Dorastałam do tego. Chyba to moje imię „Hena – Łaska" jest jednak ważne, bo nie przeżyłam szoku nagłego osamotnienia. Te pięć lat wojny to było dorastanie do tego, kim jestem teraz.

Kiedy wojna się skończyła, byłam właściwie 12-letnią analfabetką. Cała moja edukacja to było przedszkole, gdzie nauczyłam się czytać, i dostęp do książek w domu. Po wojnie musiałam szybko wszystko nadrabiać – nawet braki w wychowaniu fizycznym, bo przez tyle lat miałam bardzo ograniczony ruch. Miałam tyle szczęścia, że zaplecze znalazłam w domu dziecka u szarytek. Nawet będąc już studentką, przyjeżdżałam tam na wszystkie ferie, jak do domu. Jestem chrześcijanką, ale tę decyzję podjęłam sama i świadomie. Pamiętam, że był taki stary ksiądz i on powiedział zakonnicom, że absolutnie im zabrania ochrzczenia mnie. „Niedługo skończy się wojna, odnajdzie może rodzina. Nie wolno" – pamiętam dobrze, jak to mówił.

To wszystko składało się na moje życie. Ale jestem pogodna, uśmiecham się, nie mam traumatycznych snów.

Teraz często dzieli się Pani swoją opowieścią z młodymi ludźmi. Czy to jest trudne?

Przez wiele lat w ogóle nie mówiłam o swoich przeżyciach. Zajęłam się edukacją, potem pracą, a poza tym były podłe czasy w Polsce. Ale w 1991 r. powstało Stowarzyszenie „Dzieci Holocaustu". Nie miałam żadnego kontaktu ze środowiskiem żydowskim, ale postanowiłam, że tam pójdę. Poszłam i powiedziałam, że nie mam żadnych dokumentów, żadnego dowodu, kim jestem. „To powiedz, jak to się stało, że żyjesz" – usłyszałam i to zmusiło mnie, bym w końcu wróciła do tego, co się stało. Napisałam taki krótki życiorys, poszłam do ŻIH-u, a tam pani Bonikowska stwierdziła: „Dziewczyno, przecież my wszystko znajdziemy!". I znalazła. Z relacji i dokumentów dowiedziałam się np., kiedy wyszłam z bunkra, bo jest o tym notatka z datą: „Żywej duszy już w getcie nie było, kiedy doszła do nas wiadomość, że żyje jeszcze jakaś rodzina" – i tam jesteśmy wymienieni: „bojowiec Rafał i mała jego siostrzyczka Krysia". To musiało być sporządzone później, bo piszą o mnie „Krysia"...

©℗ Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

Rozmowa pochodzi z wydania specjalnego „Żydowska Polska Walcząca"

ANNA LIMINOWICZ / POLIN

KRYSTYNA BUDNICKA jest jedną z 12 bohaterek i bohaterów wystawy „Wokół nas morze ognia" w Muzeum POLIN.

Oprócz rozmowy publikowanej powyżej, w najnowszym wydaniu specjalnym „Tygodnika Powszechnego" ŻYDOWSKA POLSKA WALCZĄCA prezentujemy między innymi nieznane wcześniej fotografie Rudolfa Dameca. Więcej jego zdjęć do zobaczenia również na wystawie w Muzeum POLIN, otwartej od 18 kwietnia 2023 do 8 stycznia 2024 r.

Po drugiej stronie muru

Przez lata mieliśmy tylko słowa: wspomnienia świadków, bohaterów, uczestników powstania w getcie i tych, którzy przyglądali mu się z drugiej strony muru.

KOLEKCJA MUZEUM POLIN / / ARCHIWUM RODZINY RUDOLFA DAMECA

Pod zniszczonym szpitalem św. Ducha przy ul. Elektoralnej, w tle dymy płonącego getta.

Jan Błoński w historycznym tekście dla „Tygodnika Powszechnego" – „Biedni Polacy patrzą na getto" – opisywał, co to znaczyło być świadkiem, jak można było uporać się z tym dramatem, bezsilnością, bezradnością, kłopotem, a może też i jakimś rodzajem satysfakcji związanym z tym, co dzieje się właśnie tam, po drugiej stronie.

Teraz mamy też fotografie. Patrzymy na zdjęcia Rudolfa Dameca – podróżnika, taternika, fotografa amatora, który w kwietniu czterdziestego trzeciego roku znalazł się w Warszawie i zarejestrował powstanie w getcie. Sfotografował świadków, sfotografował tych, którzy patrzyli na to, czego, jak widać na tych zdjęciach, nie dało się nie zauważyć.

Nie wiemy, kim są postaci zatrzymane w tych kadrach, ale widzimy na nich właściwie wszystko, z czym zmagał się Błoński, z czym po latach także my się zmagamy. Widzimy karuzelę, plac zabaw, widzimy w tle dym płonącej dzielnicy i widzimy ludzi, którzy po prostu – patrzą.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

NAUKA

ZAINFEKOWANA ŻYCIEM

We wszechświecie mogły istnieć miejsca bardziej odpowiednie do syntezy związków, z jakich składają się komórki, niż młoda Ziemia. Czy pierwsze organizmy powstały poza naszą planetą?

MARIUSZ GOGÓL

NESTERENKO / ADOBE STOCK

Układ Słoneczny wraz z Ziemią uformował się ok. 4,5 mld lat temu. Budulcem był dysk gazu i pyłu, którego ogromna większość dała początek Słońcu. Niecały miliard lat później nasza planeta gościła już pierwsze organizmy. Aby dotrzeć do Wielkiego Wybuchu, czyli początku wszechświata (albo naszej jego ery), musielibyśmy się cofnąć o ok. 13,8 mld lat. Znane są planety starsze niż Ziemia, a Słońce prawdopodobnie należy do trzeciego pokolenia gwiazd. Ziemskie życie nie musi więc wcale być pierwszym, jakie powstało w historii wszechświata – było wystarczająco dużo czasu, by narodziło się w innym miejscu.

Więcej: Ziemia nie musi być kolebką „ziemskiego" życia. Mogła zostać nim „zarażona".

Czy życie miało korzenie

Taką hipotezę w nauce nazywa się panspermią (od starogreckich słów *pan* – wszystko i *sperma* – nasienie). Zgodnie z nią organizmy żywe mogły trafić na Ziemię z innych części kosmosu. Dzięki meteorytom, asteroidom, a nawet ciśnieniu wywieranemu przez promieniowanie elektromagnetyczne.

Pozaziemskie pochodzenie organizmów żywych może sugerować ich skład pierwiastkowy. Wśród ponad setki pierwiastków opisanych w tablicy Mendelejewa tylko ok. 25 proc. występuje w komórkach. Co więcej, te podstawowe jednostki życia w ogromnej mierze składają się z zaledwie czterech pierwiastków: tlenu, azotu, węgla i wodoru.

Tymczasem skorupa ziemska charakteryzuje się innym składem pierwiastkowym. Występują w niej przede wszystkim: tlen, krzem, glin oraz sód. Niektórzy zwolennicy panspermii pytają więc, czy proporcje pierwiastków w organizmach nie powinny odpowiadać tym, które charakterystyczne są dla miejsca, gdzie miały się rozwijać? Jeśli tak, to ziemskie życie powinno wyglądać inaczej. Co ciekawe, skład pierwiastkowy Układu Słonecznego z grubsza przypomina właśnie ten spotykany w komórkach. Odróżniają go jednak proporcje pierwiastków i dodatkowa obecność helu.

Kiełkujące nasiona groszku (Pisum sativum).

Hipoteza panspermii zawdzięcza swoją nazwę XIX-wiecznemu niemieckiemu lekarzowi Hermannowi Richterowi, który próbował uzupełnić teorię ewolucji Darwina. Ta ostatnia wyjaśniała powstawanie gatunków, czyli to, jak doszło do obserwowanej dzisiaj bioróżnorodności – ale nie tłumaczyła, w jaki sposób życie się narodziło. Richter uznał, że rozwiązanie tego problemu może przyjść z kosmosu – zarodki życia mogły zostać przyniesione na Ziemię wraz z meteorytami, a potem już ewoluować zgodnie z zasadami opisanymi przez Darwina.

Koncepcja kosmosu rozsiewającego życie jest starsza niż nazwa „panspermia". Pojawiała się w różnych odsłonach od wielu wieków – m.in. w starożytnym Egipcie czy Indiach. Odnaleźć ją można też w kilku zachowanych fragmentach pism greckiego filozofa Anaksagorasa z Kladzomen, żyjącego w V w. p.n.e., który wspomina o nasionach (gr. *spermata*) obecnych w całym wszechświecie. Późniejsi autorzy twierdzą, że według tego filozofa nasiona te spadły na ziemię i zapuściły korzenie, dając początek organizmom. Anaksagoras mógł sobie też wyobrażać, że przynajmniej niektóre z nasion przyniesione zostały na meteorytach, bo wiemy, że te ostatnie go fascynowały.

Panspermia obecna jest także w nauce czasów nowożytnych. W XVIII w. nad pozaziemskim pochodzeniem życia rozmyślał m.in. Benoît de Maillet, dyplomata i historyk przyrody. W książce „Telliamed" zamieścił fikcyjną rozmowę między francuskim misjonarzem i hinduskim filozofem. Przedstawił w niej koncepcję pierwotnej Ziemi pokrytej wielkim oceanem, którego odparowywanie było przyczyną wszelkich obserwowanych cech geologicznych planety. Wspomina też o krążących wśród globów nasionach, które częściej można spotkać w akwenach wodnych niż przestrzeni kosmicznej. Są one zarodkami różnych typów gatunków. Część z nich wykiełkowała na Ziemi, rodząc florę i faunę.

Podróż na promieniu światła

Także dziś hipoteza panspermii pojawia się w literaturze naukowej i filozoficznej, zarówno w rozważaniach teoretycznych, jak i badaniach obserwacyjnych oraz eksperymentalnych. Przez lata doczekała się wielu wariantów. Do niektórych trudno odnieść się na płaszczyźnie naukowej. Przykładowo, „panwitalizm" zakłada, że życie istniało od zawsze. Z kolei wersja zwana „teorią śmietnika" mówi, że ziemskie życie jest tylko odpadem tego, co stworzyła obca cywilizacja gdzieś w odległym kosmosie. Według „kierowanej panspermii" zaś inteligentne istoty celowo zainicjowały biologiczną ewolucję na naszej planecie.

Istnieją też mniej spekulatywne warianty. Jeden z nich przedstawił na początku XX w. Svante Arrhenius, noblista i współtwórca chemii fizycznej. Głosił, że ziemskie organizmy wyewoluowały z bakterii podróżujących przez kosmos pod wpływem wiatru słonecznego (tzn. ciśnienia wywieranego przez światło). Pomysł ten – zwany radiopanspermią – oparty został na badaniach rosyjskiego fizyka Piotra Lebiediewa, który udowodnił, że światło może wywierać nacisk na ciała stałe – a więc potencjalnie wprawiać je w ruch w przestrzeni kosmicznej. Wyliczenia pozwalały przyjąć, że siła tego ciśnienia wystarczałaby do przemieszczenia organizmów o rozmiarze poniżej 1,5 mikrometra (jednej tysięcznej milimetra). Ta koncepcja ma jednak słabą stronę – musielibyśmy przyjąć, że takie organizmy byłyby w stanie przetrwać długą podróż w zabójczym kosmicznym środowisku.

Ten problem częściowo rozwiązuje wersja hipotezy zwana litopanspermią. Popierał ją wspomniany wcześniej Herman Richter. Kilkanaście lat później pozytywnie wypowiadał się też o niej fizyk i matematyk sir William Thompson, znany jako lord Kelvin, na cześć którego nazwano jednostkę temperatury. Twierdził on, że Ziemia została zarażona przez drobnoustroje znajdujące się w meteorytach.

Możemy tu rozważać dwie możliwości. Po pierwsze, takie obiekty przelatując blisko planety mógłyby muskać jej atmosferę i zabierać drobne formy życia w kosmiczną podróż. A potem zanieść je na inny glob. W drugiej wersji uderzenie asteroidy w planetę, na której istnieje życie, mogło skutkować wyrzuceniem fragmentów skał z drobnoustrojami w przestrzeń kosmiczną i ich transfer na inne miejsce.

Problem w tym, że w obu wersjach mikroorganizmy miałyby największe szanse przetrwać, gdyby znajdowały się nie na powierzchni meteorytu, ale w jego wnętrzu. Wynika to z prowadzonych przez Europejską Agencję Kosmiczną badań, ↦

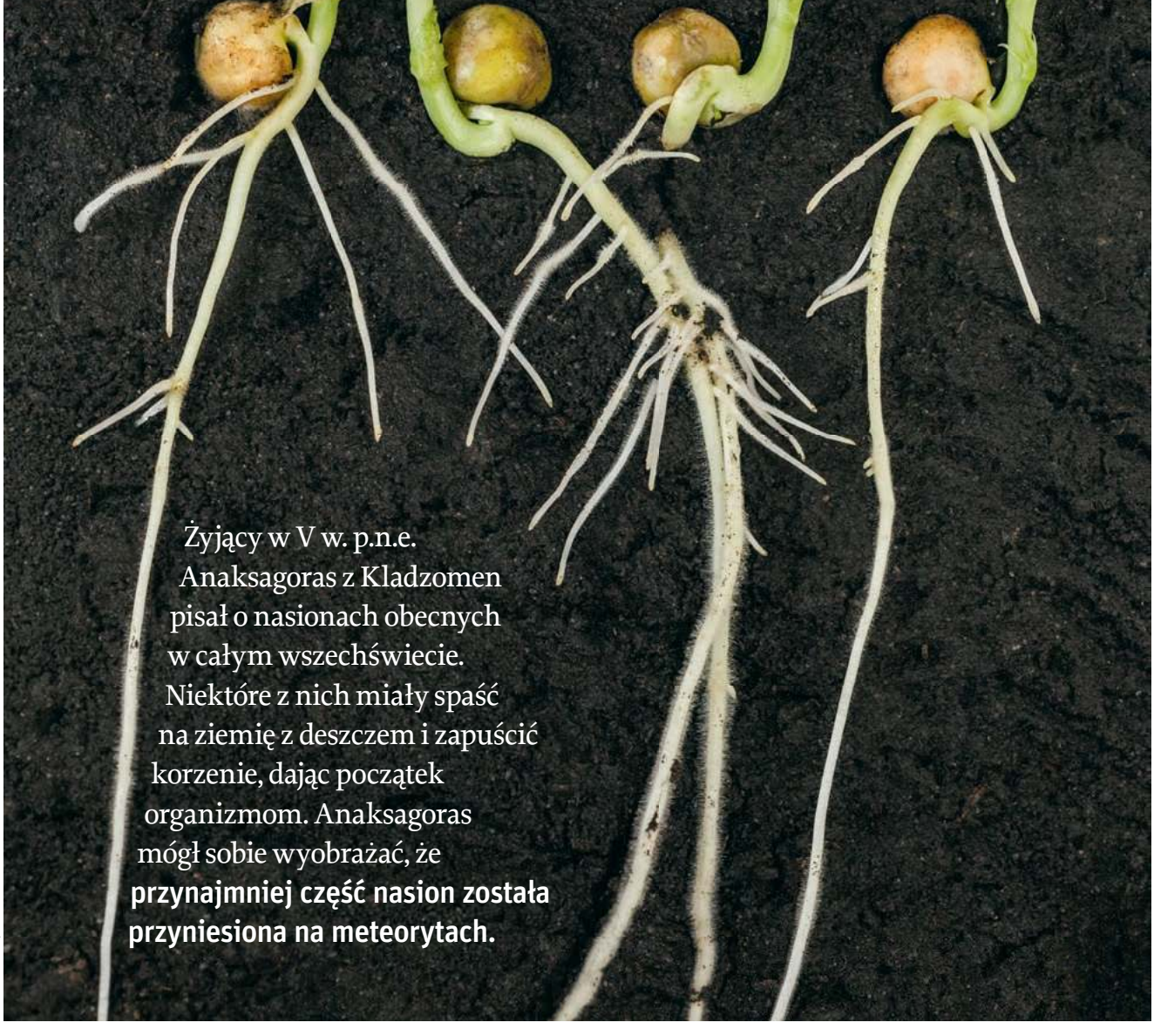

Żyjący w V w. p.n.e. Anaksagoras z Kladzomen pisał o nasionach obecnych w całym wszechświecie. Niektóre z nich miały spaść na ziemię z deszczem i zapuścić korzenie, dając początek organizmom. Anaksagoras mógł sobie wyobrażać, że **przynajmniej część nasion została przyniesiona na meteorytach.**

NESTERENKO / ADOBE STOCK

↳ które pokazują, że osłonięcie bakterii sproszkowanym meteorytem może być skuteczną ochroną przed niekorzystnymi warunkami kosmicznymi. Ale i tak finałowi takiej podróży towarzyszyłyby wysokie ciśnienie, silne wstrząsy i ekstremalne temperatury. Czy jakiś organizm mógłby to przetrwać?

Warunki konieczne do rozsiewania mikroorganizmów, które zakłada litopanspermia, nie byłyby bezpieczne dla wszystkich znanych drobnoustrojów. Wartość ciśnień uderzeniowych dla meteorytów marsjańskich wynosi nawet 55 gigapaskali (GPa). To znacznie więcej, niż jest w stanie przeżyć np. fotosyntetyzujący *Chroococcidiopsis*. Ta wytrzymała – odporna na wysychanie, niskie temperatury i promieniowanie jonizujące – bakteria ginęła przy ciśnieniu powyżej 10 GPa.

Ale nawet tak potężne zderzenie mogłyby w teorii przeżyć tzw. spory bakteryjne (inaczej nazywa się je formami przetrwalnikowymi). Powstają one w niekorzystnych warunkach dla życia mikroorganizmu. Charakteryzują się grubymi osłonkami, pokrywającymi uśpiony organizm. Wytwarza je m.in. bakteria występująca w glebie, znana jako *Bacillus subtilis*. Tworzone przez nią formy przetrwalnikowe mogą wytrzymać ciśnienie nawet 78 GPa.

Tu jednak pojawia się kolejny problem. Gdyby spory bakteryjne faktycznie przeżyły transfer w przestrzeni kosmicznej, to aby powrócić do aktywnej formy i sprawnie funkcjonować, wymagałyby specyficznych warunków panujących w nowo zasiedlonym środowisku. Te wymagania zmniejszają prawdopodobieństwo tego, że zaszczepienie życia się powiedzie. Nawet więc jeśli bakterie mogłyby podróżować w ten sposób w kosmosie, nie powinniśmy się spodziewać, że życie będzie we wszechświecie czymś całkowicie powszechnym.

A może coś prostszego?

W rozważaniach o pochodzeniu życia zawsze pojawia się określenie „zupy pierwotnej". To nazwa hipotetycznej mieszaniny związków chemicznych, w której miało dojść do syntezy składników, z jakich zbudowane są organizmy żywe. „Zupa pierwotna" zrobiła karierę po roku 1953, gdy Stanley Miller i Harold Urey przeprowadzili głośny eksperyment. Pokazali w laboratorium, że w pewnych warunkach, z udziałem wody, amoniaku, wodoru i metanu, mogą spontanicznie powstawać bardziej złożone związki organiczne. Były nimi m.in. glicyna, alanina i kwas asparaginowy, które są budulcem białek. W kolejnych odsłonach tego eksperymentu inni badacze uzyskiwali mieszaninę jeszcze innych złożonych związków. Można zatem było założyć, że

przynajmniej niektóre składniki potrzebne do przyrządzenia żywego organizmu mogły powstać na Ziemi pokrytej zupą pierwotną – płytkim oceanem bardzo prostych związków.

Ale mamy już też dowody na to, że reakcje chemiczne konieczne do wyprodukowania podstawowych cegiełek życia mogą zachodzić w przestrzeni kosmicznej. I to przybycie tych cegiełek na Ziemię wraz z meteorytami mogło przygotować odpowiednie podłoże do narodzin życia. Właśnie to głosi hipoteza pseudopanspermii.

Ważnych argumentów na obecność związków organicznych w kosmosie dostarczył najsłynniejszy meteoryt znaleziony na Ziemi, który w 1969 r. spadł niedaleko miasta Murchison w Australii. Po uderzeniu zebrano ok. 100 kg fragmentów. Ich chemiczna analiza m.in wykazała ślady takich cząsteczek jak ryboza (rodzaj cukru) czy uracyl (zasada azotowa). Oba są podstawowymi składnikami RNA – materiału genetycznego obecnego w każdej żywej komórce.

W meteorycie zidentyfikowano też aminokwasy będące budulcem białka: glicynę, alaninę czy kwas glutaminowy, a w 2011 r. znaleziono inne związki obecne w materiale genetycznym – adeninę i guaninę. Kolejne ważne dla życia cząsteczki udało się uzyskać w eksperymentach laboratoryjnych, gdy badacze zasymulowali warunki zbliżone do tych panujących w kosmosie. Okazało się też, że w takich warunkach mogą tworzyć się połączenia między aminokwasami, które są niezbędne do powstania białek.

W ostatnich tygodniach zespół japońskich badaczy ogłosił zaś, że odnalazł uracyl na asteroidzie Ryugu. To niewielkie i bardzo ciemne ciało niebieskie odkryliśmy w 1999 r., a parę lat temu sonda Hayabusa 2 dotarła na nie i pobrała stamtąd próbkę materii. To już bezpośredni dowód na to, że składniki RNA mogą powstać w kosmosie. W przypadku badań meteorytów takich jak ten z Murchison, których fragmenty zbieramy już z ziemi, zawsze istnieje ryzyko, że odkryte na nich substancje są jedynie ziemskim zanieczyszczeniem.

Jeszcze innych dowodów na złożoność kosmicznej materii dostarczyła misja Rosetta, której zadaniem było zbadanie składu chemicznego komety 67P/Churyumov-Gerasimenko, powiązanej z Jowiszem. W jej gazowej otoczce odkryto najprostszy aminokwas: glicynę, a także inne związki organiczne: metyloaminę i etyloaminę.

Co ciekawe, złożona chemia może nawet poprzedzać narodziny planet. Do takich wniosków doszli astronomowie, którzy obserwowali obszar gwiazdotwórczy Rho Ophiuchi za pomocą sieci radioteleskopów ALMA. Fotografia w świetle podczerwonym ujawniła obecność aldehydu glikolowego w chmurze gazu i pyłu, który otacza młodą, zbliżoną do Słońca gwiazdę. Ta cząsteczka także może stać się elementem budulcowym RNA.

Już wcześniej znaleziono ją w innych miejscach kosmosu, ale w tym obszarze jest szczególnie interesująca. Wspomniana chmura gazu znajduje się w takiej odległości od swojej gwiazdy, jaka dzieli Słońce od Urana. Poza tym przemieszcza się w takim kierunku, że może spaść na planety, jakie powstaną wokół młodej gwiazdy.

Bez rozstrzygnięcia

Wśród zwolenników jakiejś wersji hipotezy panspermii możemy wskazać wiele innych ważnych nazwisk badaczy i naukowych celebrytów – m.in. Francisa Cricka, czyli współodkrywcę struktury DNA, a także Stephena Hawkinga czy Richarda Dawkinsa. Ale argument autorytetu w nauce nigdy nie działa. Liczą się fakty i ich prawidłowa interpretacja. Czy one przemawiają za panspermią? Nie do końca.

Wspomnianą na początku różnicę w składzie pierwiastkowym między komórkami organizmów a ziemską skorupą można łatwo wytłumaczyć. Węgiel, wodór, tlen oraz azot to pierwiastki zdolne do tworzenia między sobą najmocniejszych wiązań. Dodatkowo atomy węgla mogą się wiązać z sobą w długie łańcuchy, z których powstaje szkielet dla wielu następnych związków chemicznych. Każdy z atomów w takim łańcuchu może oddziaływać z innymi pierwiastkami lub ich grupami, co umożliwia powstanie rozmaitych cząsteczek o bogatych strukturach i kształtach. A ponieważ to budowa przestrzenna cząsteczki warunkuje jej funkcję, więc to właśnie chemia oparta na tych pierwiastkach ma największe szanse dać początek życiu. Znajdujące się w dużym stężeniu w litosferze atomy krzemu mogłyby w teorii stworzyć podobne cząsteczki, ale w obecności tlenu szybko uległyby zniszczeniu. Natura wybrała optymalną opcję.

Do udowodnienia którejś z silniejszych wersji hipotezy panspermii nie wystarczy również wykazanie, że jakieś organizmy mogą przetrwać podróż w kosmosie. Musielibyśmy potwierdzić obecność takich pasażerów na meteorytach. Jak dotąd, rzecz jasna, się to nie udało.

Najmniej kontrowersji budzi dziś hipoteza pseudopanspermii – można ją już w zasadzie uważać za udowodnioną. Choć nadal nie wiemy, w jakim stopniu do powstania życia na Ziemi przyczyniły się przywleczone wraz z meteorytami, powstałe na obrzeżach kosmosu związki chemiczne, a w jakim warunki panujące lokalnie na młodej planecie.

© MARIUSZ GOGÓL

POŻEGNANIE

Ze smutkiem żegnamy zmarłego 30 marca 2023 roku

Profesora

Pawła Śpiewaka

wybitnego socjologa i historyka idei,
w latach 2006-2008 członka Kapituły Nagrody Literackiej Gdynia

Prezydent Gdyni Wojciech Szczurek,
członkowie Kapituły Nagrody Literackiej Gdynia,
Wydział Kultury w Gdyni

„TP" 13/2023

Chwilowa zmyłka episkopatu

Jakiś czas temu dotarła do mnie burza wokół dokumentu „Franciszkańska 3", choć filmu jeszcze wtedy nie widziałem. Sama sprawa, „czy Karol Wojtyła wiedział", wydała mi się oczywista. Odkrycie autorów reportażu potwierdziło tylko to, czego się spodziewałem. Był to ciąg dalszy tego, co widzieliśmy w dokumentach braci Sekielskich. Wobec tego bardziej interesowała mnie reakcja episkopatu, pojedynczych biskupów, kleru. Nie „zawiodłem się" generalnie w moich pesymistycznych przewidywaniach. Jedynie pierwszy komunikat, o konieczności zbadania sprawy, wlał trochę nadziei w moje serce, ale to była chwilowa zmyłka. Wybierając się w niedzielę na mszę świętą do parafii Ofiarowania Pańskiego na warszawskim Ursynowie byłem pełen obaw, co usłyszę. I znów moje negatywne nastawienie okazało się słuszne. A jednak i tak zostałem zaskoczony *in minus*. Koncelebrę prowadził ks. Robert Skrzypczak, zwolennik ks. Chmielewskiego i Wojowników Maryi. Już na wstępie usłyszeliśmy o ataku na Wielkiego Polaka, o telefonach z zagranicy w stylu: „Polacy, co wy robicie?", o esbeckich teczkach, strasznych mediach. Potem list abp. Gądeckiego. O nim już wcześniej słyszałem, więc mnie niczym nie zaskoczył. Dobiły mnie ogłoszenia duszpasterskie – z zaproszeniem na całodniowe ekspiacje „za próby zdyskredytowania osoby i dzieła św. Jana Pawła II". Zamiast prowadzić ekspiacje za skrzywdzone dzieci, słyszymy coś takiego... Ostatecznie obejrzałem „Franciszkańską 3". Uważam to za kawał dobrej dziennikarskiej roboty. I nie jestem tym zgorszony. Zgorszony jestem reakcją Kościoła i ekspiacjami.

MARCIN

Pamięć i przestroga

Dziękuję redakcji „Tygodnika" za wydanie numeru specjalnego „Żydowska Polska Walcząca". Obchodzona w tym roku 80. rocznica powstania w getcie warszawskim uzmysławia dwie rzeczy. Po pierwsze, zrywa z mitem o „Żydach idących na rzeź jak barany". W czasach kiedy odebrano im podstawowe prawo człowieka, prawo do życia, już przetrwanie każdego kolejnego dnia było przejawem oporu. Walka toczyła się na różne sposoby, nie tylko poprzez chwycenie za broń. Powstanie w getcie warszawskim oraz w innych gettach stanowi dziś memento, zwłaszcza w kontekście toczącej się za naszą wschodnią granicą brutalnej wojny. W opublikowanym w „Żydowskiej Polsce Walczącej" wywiadzie Beaty Chomątowskiej z prof. Barbarą Engelking badaczka pytana o to, co pomagało przetrwać mieszkańcom getta, odpowiedziała, że siłę wielu z nich determinowały gniew i żądza zemsty, ale też pragnienie pozostawienia po sobie świadectwa dla przyszłych pokoleń, ostrzeżenia, że ludzie, jeśli tylko stworzy im się odpowiednie warunki i wtłoczy do głów przekonanie o własnej wyższości, są zdolni do, wydawać by się mogło, niewyobrażalnego zła. Ludobójstwo w Rwandzie i podczas wojny na Bałkanach, czystki etniczne w wielu afrykańskich krajach, nieustające konflikty na Bliskim Wschodzie, prześladowania Rohingów w Mjanmie i Ujgurów w Chinach, teraz Ukraina... Jakże boleśnie prawdziwa jest konstatacja prof. Engelking, która, mówiąc o cierpieniu i walce ludności żydowskiej w getcie warszawskim, stwierdziła, iż „dziś już wiemy, że całe to cierpienie poszło na marne". Świat trawiony jest wojnami i zbrodniczymi praktykami, ale wierzę, może naiwnie, że jeszcze można to zatrzymać. Hołdu bojownikom warszawskiego getta nie oddamy stawiając im pomniki. Największym szacunkiem dla ich pamięci będzie wcielenie ich ideałów w życie.

MARIA

PROŚBA O POMOC

Fundacja Charytatywna Pomoc Polakom na Kresach im. ks. dr. Mosinga zwraca się z prośbą o pomoc dla Ali Zielińskiej z Perszotraweńska na Ukrainie. W grudniu 2022 r. spłonęła w pożarze część budynku, gdzie w porze jesienno-zimowej mieszka Ala z synem. Zielińscy palą w starym, prowizorycznym piecu, a przyczyną pożaru były iskry, które zajęły drewnianą podłogę i ogień rozprzestrzenił się dalej i wyżej. Koszty remontu to ok. 30 tys. zł – razem z opłaceniem pracowników. Ala od niedawna jest bezrobotna, sama wychowuje 7-letniego Janka. Wpłaty prosimy kierować na konto fundacji: **BNP Paribas Bank Polska SA 23 2030 0045 1110 0000 0222 0700, z dopiskiem „Ala".**

MONIKA MICHALAK
FUNDACJA DR. MOSINGA

POŻEGNANIE

Z ogromnym żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Pawła Śpiewaka

wybitnego historyka idei, socjologa,
filozofa polityki i polityka,
znawcę świata, religii i historii Żydów polskich,
laureata Nagrody Znaku i Hestii im. Ks. Józefa Tischnera.
Jesteśmy Mu wdzięczni za ważne teksty publikowane w Znaku
i liczne inspiracje intelektualne i obywatelskie,
które przynosiło każde spotkanie z Nim i rozmowa.

PRZYJACIELE Z MIESIĘCZNIKA I WYDAWNICTWA ZNAK

ELIZA

Kącka:
Czekam z wami

DWÓCH KIELE CZTERDZIESTKI W METRZE. „Gibson kręci Zmartwychwstanie. wiesz, druga część »Pasji«". „o! »Pasja« sztosik. znam na pamięć". „też! każdy fragment pod rząd. powiem ci, że bym to zamiast rekolekcji dzieciakom puszczał". „nieee wiem, rekolekcje to jednak bezpośrednie uczestnictwo. szkoda tracić". „ale to biczowanie sztos". „złoto! moja córa nie chciała tego oglądać". „i co?". „powiedziałem, że nikt nie chce, ale grzech odwracać oczy od Pana Jezusa". „dobrze powiedziałeś. ej, ale jak on to Zmartwychwstanie zrobi?!". „no tak, jak było". „czyli? z objawień jakichś?". „słuchaj, ja wierzę w Gibsona. on by się nie podjął, gdyby tego nie widział".

autobus, godziny szczytu, jazda w dół Goworka. w łączniku głośna wymiana w sprawie strategii świątecznych. w końcu dobiega poirytowane: „nie będę jadł mięsa twojej matki!".

Podstawówka dziecka koleżanki, ogłoszenie: „Drodzy Uczniowie, wielkimi krokami zbliżają się Święta Wielkanocy. To czas zadumy. Jej symbolem jest Jajko, znane każdemu. Na pewno z Rodzicami sporządzicie pisanki, zaniesiecie do Kościoła święconki oraz odpoczniecie od zgiełku codzienności. Chcemy Was jednak zachęcić do popuszczenia fantazji. Mamy dla Was konkurs, który pogłębi Waszą refleksję o ważne tematy dla Polaka. Każde Zmartwychwstanie poprzedza śmierć i męczeństwo. Każdy z nas przeżywa trudne momenty w życiu, ale byli Rodacy, którzy szczególnie dużo cierpieli, zanim mogli występować w chwale. Musimy pamiętać o ich ofiarze, choćby, nie było to przyjemne. Zapraszamy Was do udziału w plastycznym oraz literackim konkursie z nagrodami. Nosi on godło »Pisanka prawdy«. Prosimy Was o pobranie szablonu jajka ze strony internetowej Szkoły. Następnie w granice jajka wpiszcie tekst, wiersz lub rysunek osoby z historii Polski, która wsławiła się męczeństwem. Nie musi być to wizerunek Papieża lub wybranego Duchowieństwa, możecie przywołać osoby świeckie albowiem one też dużo wycierpiały. Komisja naszego Konkursu przyjęła, że nie można oddawać jajka z postacią fantastyczną. Celem albowiem jest skłonienie Ucznia do namysłu nad cierpieniem w naszej historii. Każdy uczeń przystępujący do oddania nam pracy dostanie plus z polskiego, historii i religii. Miejsca od pierwszego do trzeciego otrzymają gratulacje Dyrektora oraz szóstki z przedmiotów. Planujemy ponadto publikację jajek w postaci gazetki szkolnej o polskich Zmartwychwstałych. Laureat pierwszego miejsca otrzyma po Świętach skromną słodycz czekoladową i gratulacje na oczach Szkoły. Bądźcie czujni, szablon jajka pojawi się już dziś!".

dwie trzydziestoletnie w 116. „moi starzy mają kryzys". „co?!". „no co?". „sorry, nie wiedziałam, że w ogóle mogą coś takiego...". „mogą". „ale oni od lat zachowują się tak samo. nuda?". „nuda to nie w tych rocznikach". „to co?". „ojciec się zmienił". „rzucił palenie?!". „nie. zaczął się dziwnie odzywać". „?". „no, że można żyć świadomie, że w każdym momencie można się rozwijać". „może ma kogoś?!". „to by nic nie gadał. matka jest przekonana, że to sekta". „kto by łowił twojego ojca...". „nie wiem, może im pandemia zaszkodziła".

dwie po sześćdziesiątce z siatkami zakupowymi w autobusie 141: „ja uważam, że oni nie powinni jeść jajek tego dnia. chociaż tyle". „racja, racja". „jaja w Święta to dla katolika święcone. mają sałatkę warzywną". „ototo". „nie może tak być, że wszystko się rozmywa. jajka też". „ja pani powiem, ktoś powinien ogłosić, że w Wielką Niedzielę jajka są katolickie. i już. ja się do ateistycznych dań nie mieszam". „tak, księża powinni o tym mówić i już. żeby nie było, że ludzie żrą, a nie święcą". „tak". „niech nam nie kalają jaj, tyle powiem".

przychodnia, kolejka do dermatolożki. przede mną dwie starsze, jeden podeszły, jeden młody i nastolatka. staruszek patrzy na mnie: „pani coś w ogóle ma? nie widzę". ja, że owszem. pierwsza starsza na lekceważeniu: „pewnie nic złośliwego". ja, że przeciwnie. ożywili się. druga starsza: „czerniak? ja tu robiłam czerniaka. beznadziejnego. ale żyję". patrzą na nią z respektem. pierwsza starsza: „niżej czerniaka to są dywagacje". staruszek podniecony: „a pani ma czerniaka?". „miałam". „no to brawo, brawo, żyje pani". „panie drogi, komunę przeżyłam, to co mam nie żyć. te młode teraz zhisteryzowane". nastolatka wkłada słuchawki do uszu. staruszek do nas w trybie konspiracyjnym: „wstydzi się nas słuchać, bo tylko trądzik ma, hihi". młody do mnie: „ja mam tylko czyraka, mogę panią puścić, jeśli pani jest pilna". ja: „u mnie sekcja rak, ale nie czerniak, więc umiarkowany stopień pilności". cichną na chwilę. pierwsza starsza: „co ja się tu nasiedziałam z tymi rzekomymi rakami. już niby umierają, a potem żyją". staruszek: „skurwysyny". pierwsza starsza: „ja już dawno mam zabliźnione, co mi wycięli, ale czasem muszę tu wpaść". młody: „to pani nie czeka?". pierwsza starsza: „czekam, z wami". ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

KULTURA

CO JEST POD ŚNIEGIEM

MACIEJ ROBERT, POETA:

Słowa skierowane do dziecka mają ogromną moc. Ciążą na całym moim życiu. Sama potencjalność tego, że mogło się wydarzyć najgorsze, nie daje spokoju.

URSZULA HONEK: W poezji ciągle wracasz do przeszłości, a szczególnie dzieciństwa. Czego tam szukasz?

MACIEJ ROBERT: Nie umiem pisać o czymś, co mnie osobiście nie dotknęło, czego nie przeżyłem, co nie jest zakorzenione w moim doświadczeniu. Moje obecne życie jest dość monotonne, urzędnicze, w jakiś sposób mieszczańskie. Przestrzenią, która wymyka się schematom i pozwala na jakiekolwiek szaleństwo, pozostaje twórczość. W niej mogę wracać do dzieciństwa jako okresu formacyjnego, kiedy każdy dzień był wydarzeniem. Wszystko, co w miarę interesujące, wydarzyło się w przeszłości, a co jest dość paradoksalne, bo wówczas wydawało się nam, że każdy dzień jest nudą. Myślę, że spojrzenie na dzieciństwo polega na tym, że musimy się uporać z ogromem czasu, który minął, i poukładać sobie z tym czasem i dzieciństwem relacje.

Tobie się udało?

Cały czas próbuję. Z ojcem nie miałem i nie mam do tej pory najlepszych kontaktów, bo był nieobecny albo źle obecny. Nie wiem, czy w całym życiu rozmawiałem z nim dłużej niż godzinę. Byłem jedynakiem i nie garnąłem się do rówieśników, bo wstydziłem się ich zaprosić do domu. W tej samotności lgnąłem do świata przyrody. Mieszkałem na blokowisku na przedmieściach Łodzi i chodziłem na pola, łąki, nad stawy, nad jedyną w okolicy rzekę, czyli Łódkę, która rzeką jest tylko z nazwy, to malutki strumień prowadzący ścieki. To były moje wczesne uniwersytety: gapienie się w niebo, łapanie traszek, łażenie po poligonach. Zawsze w pojedynkę.

A kiedy widzisz śnieg, to o czym myślisz? Taki tytuł nadałeś ostatniej książce poetyckiej.

W wyobraźni widzę pierwszy śnieg: świeży, idealnie biały, niemal dziewiczy. Odświętna biel. Takiego śniegu w mieście jest niewiele, może tylko przez kilka pierwszych godzin. Potem ten miejski śnieg zamienia się w szarą breję pokrytą sadzą ze spalin, a na koniec wszystko rozmaka i staje się błotem. W „Księdze meldunkowej" jest krótki wiersz, w którym pojawia się sformułowanie „miłosierdzie zimy" (*Myxomatosis Cuniculi* – przyp. UH). Chciałem, żeby w mojej najnowszej książce tytułowy śnieg był w jakiś sposób właśnie miłosierny i białym całunem przykrył wszystko, co brzydkie, niechciane i wypierane. To się udaje tylko na chwilę, bo finalnie to, co brudne, plugawe i złe wyjrzy spod tej wierzchniej warstwy.

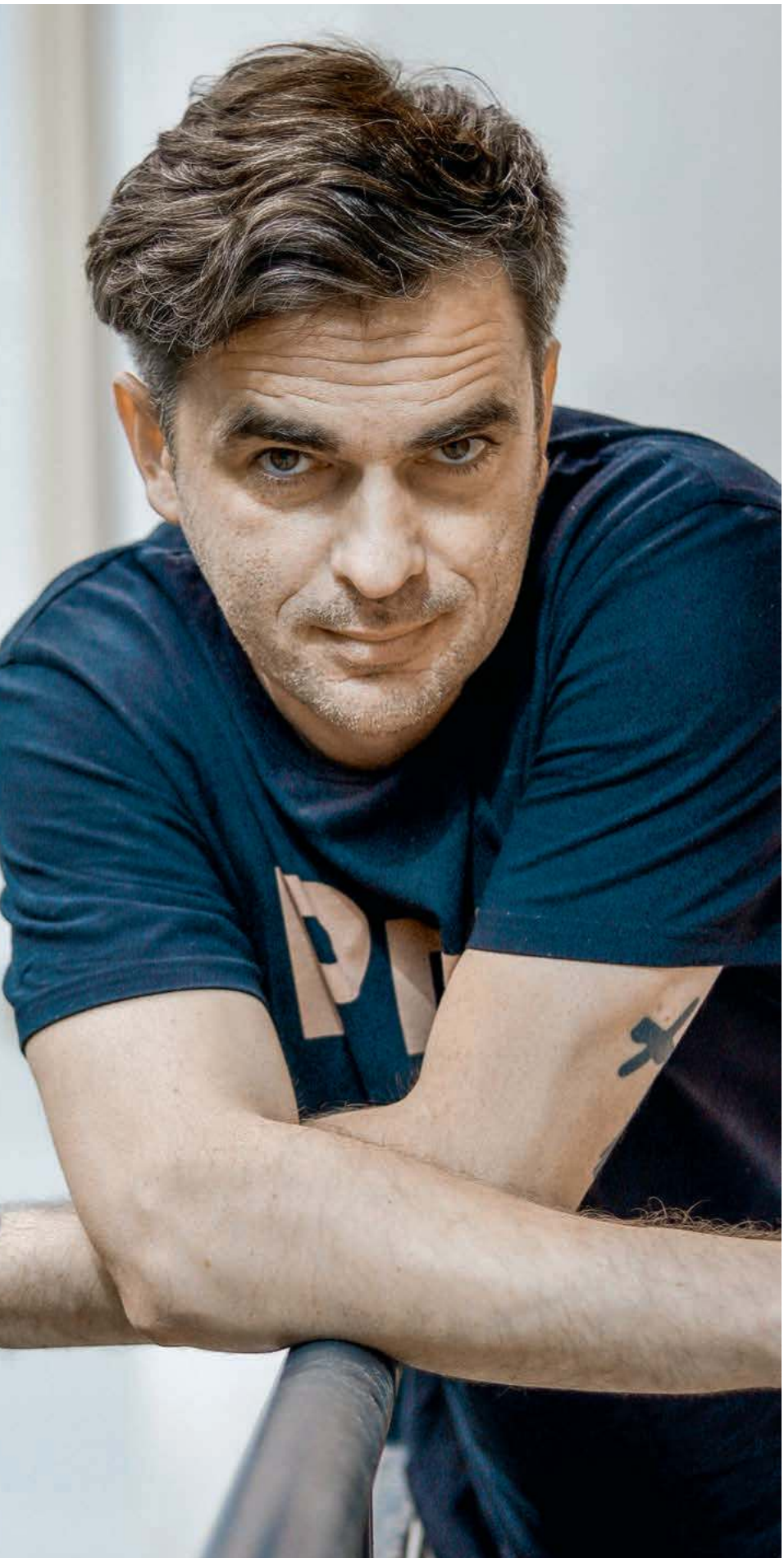

JOANNA GŁODEK / MATERIAŁY PRASOWE

W tytułowym poemacie zapisujesz: „To moja okrutna baśń". O czym jest ta baśń?

Jest to opowieść o tym, że nie można ukryć winy, ponieważ ona zawsze wypłynie. „śnieg" pisałem dwa lata temu, w lutym, a tytułowy poemat napisałem w dwa śnieżne wieczory. Mieszkałem wtedy z żoną i synem w miejscu, z którego już się wyprowadziliśmy. To miało być miejsce przejściowe na rok lub dwa, a spędziliśmy tam trzynaście lat. Życie polega chyba na tym, że większość rzeczy się nie udaje. Podczas pisania już wiedziałem, że będziemy się latem przeprowadzać.

Ładnie tam było?

Miejsce było obskurne, ale wydarzyło się w nim wiele dobrych rzeczy. Urodził się syn i spędzał tam pierwsze lata, stawiał pierwsze kroki, szedł do przedszkola. Chciałem się jakoś z tym miejscem godnie pożegnać. Więc kiedy w końcu zaczął padać spóźniony śnieg, zrobiło się ładnie i zacząłem chodzić nad tory, bo bardzo je lubię. Śnieg przy torach był doskonale biały. Nikt tam nie chodził, więc czułem się jak pierwszy człowiek na Księżycu. Nasze mieszkanie było osobliwie położone między dwoma cmentarzami. Gdy zataczałem koło podczas spaceru, to musiałem przejść właśnie obok jednego z nich i zobaczyłem, że na cmentarnej bramie wisi klepsydra. Było na niej nazwisko, które uruchomiło w pamięci złe wspomnienia. Okazało się potem, że to inne nazwisko, ponieważ jedna litera się nie zgadzała.

Co to za wspomnienia?

W podstawówce, kiedy miałem chyba dziesięć lat, chodziłem na religię. Zajęcia odbywały się raz w szkole, a raz w kościele. Religii uczył nas katecheta o bardzo biblijnym imieniu i nazwisku, wręcz królewskim. Był dziwny, ale jako dziecko nie zauważałem tego. Trochę nas śmieszył i wydawał się raczej niegroźny. Po latach jednak ↦

MACIEJ ROBERT jest autorem dziewięciu książek poetyckich oraz jednej eseistycznej, poświęconej filmowym adaptacjom prozy Bohumila Hrabala. W lipcu w Czarnym ukażą się jego „Rzeki, których nie ma". Mieszka pod Łodzią.

↦ zdałem sobie sprawę, że jego dziwne zachowanie miało podteksty pedofilskie. W naszej klasie nie dochodziło do nadużyć seksualnych, ale na pewno była przemoc werbalna na poziomie niestosownych aluzji i sugestii. Pewnego dnia okazało się, że już nie ma go w naszej szkole. Został odsunięty, bo prawdopodobnie do czegoś doszło w innej klasie. Na tej klepsydrze, jak mi się wtedy wydawało, widniało nazwisko tamtego katechety.

W książce pojawia się przejmujący obraz dziecka, które jest zmarznięte i szuka schronienia w kościele.

Kiedy zobaczyłem tę klepsydrę, przypomniała mi się jeszcze jedna opowieść mojego kolegi starszego o całe pokolenie. Mieszkał w centrum przy kościele i przy dwupasmowej ulicy. Tylko że w czasach jego dzieciństwa, a były to późne lata 50., ulice były jeszcze dosyć puste. I właśnie była zima, spadł śnieg, chwycił mróz i jezdnia zamieniła się w lodowisko. Dzieci wyszły pojeździć na łyżwach, na sankach albo po prostu na butach po lodzie i śniegu. On też wieczorem wyszedł, żeby się pobawić z innymi. W trakcie zabawy, jak to dziecko, przemoczył od śniegu ubrania i bał się w takim stanie wrócić do domu, a że miał ten kościół po drodze, to pomyślał, że się w nim trochę zagrzeje. Opowieści mojego kolegi były meandryczne i porzucił ten wątek, choć czułem, że to nie koniec historii. Wystarczył mi jednak obraz małego chłopca, który wchodzi do kościoła, żeby się ogrzać, nie mogłem o nim zapomnieć. Moje wspomnienie i ten jeden obraz z opowieści mojego kolegi nałożyły się na siebie i z nich stworzyłem okrutną baśń. Może to symboliczne, że postrzegałem, a może wciąż postrzegam, kościół jako miejsce schronienia.

Przyjazne miejsce?

Większość ludzi pragnie znaleźć jakieś pocieszenie, jakieś wskazówki w całym swoim życiowym zagubieniu, samotności, próbie poradzenia sobie ze światem albo szuka odpowiedzi na pytania, na które sami nie potrafią znaleźć odpowiedzi. To zrozumiałe, że każdy chce pomocy, opieki, ulgi, dobrego słowa. Potrzeba wiary czy może raczej potrzeba obcowania z czymś większym od nas jest naturalna, wręcz prymarna. Dziecko wychowane w katolickiej rodzinie i katolickim kraju przesiąkło przekazywanymi przez rodziców, babcie, dziadków i ciotki opowieściami, w których kościół był miejscem przyjaznym.

W tamtych czasach naturalną rzeczą było chodzenie samemu, wracanie ze szkoły z kluczem na szyi. Nikt nas nie odprowadzał, nikt na nas nie czekał. **Dzieci miały więcej wolności, a tym samym więcej tajemnic.**

Jak było u Ciebie?

Moja babcia zawsze mówiła, że idzie do kościółka. To zdrabnianie uważałem za urocze. Ona traktowała kościół nawet nie jako miejsce, ale coś osobowego. W księdzu, a może nawet w Bogu, mogła widzieć kogoś bliskiego, przyjaciela. Nie chciałbym, żeby moja książka popadała w oskarżycielskie i dydaktyczne tony. Najważniejsze były dla mnie emocje bohatera wierszy, ponieważ, jak mi się wydaje, poezja jest zbudowana właśnie z emocji.

Twoja książka nie jest interwencyjna ani zaangażowana. Czy jednak nikt nie przestrzegał Cię w dzieciństwie przed zagrożeniem?

Jako dziecko wychodziłem z domu i właściwie nikt się tym nie przejmował. Miałem wytyczone granice, w których mogłem się poruszać, ale oczywiście znacznie je poszerzałem. Kilka razy mogło się to źle skończyć, ale tylko z powodu mojej dziecięcej lekkomyślności. Na przykład kompletnie nie umiejąc pływać, wypłynąłem na jeziorko na materacu i powietrze z niego uleciało. Innym razem jechałem na rowerze i zderzyłem się z autem, o czym nie powiedziałem rodzicom. Jeszcze kiedy indziej pogryzły mnie dzikie psy. Nie wiem, jak udało mi się to wszystko ukryć. W tamtych czasach naturalną rzeczą było chodzenie samemu, wracanie ze szkoły z kluczem na szyi. Nikt nas nie odprowadzał, nikt na nas nie czekał. Dzieci miały więcej wolności, a tym samym więcej tajemnic. Nie wiem, czy moi rodzice wiedzieli o sytuacji z katechetą. Jeżeli nawet wiedzieli, to w naszej społeczności mogło to funkcjonować na zasadzie anegdoty, pewnie nikt nie chciał uwierzyć, że takie rzeczy mogą mieć miejsce. Łatwiej było obśmiać.

Brak świadomości?

„śnieg" jest również opowieścią o pokoleniu moich rodziców, czy może wręcz o moich rodzicach, którzy przyjechali do dużego miasta z podmiejskich wsi. Oni musieli się z tym miastem zderzyć, jeszcze nie wiedzieli, jak sobie tutaj poukładać życie. Miasto ich jednocześnie przyciągało i odpychało, zasysało i wypluwało. Mama przyjechała do Łodzi, gdy miała szesnaście lat; uczyła się w zawodówce. Ojciec miał więcej szczęścia, bo już się urodził w mieście, ale wiejskiego pochodzenia tak po prostu nie da się pozbyć; głęboko się w człowieku osadza. Chłopiec ze „śniegu" dziedziczy ich emocje, tę nieprzystawalność i niepewność. Pojawia się, choć nigdy wprost, pytanie o dziedziczenie traum.

A teraz?

Z ojcem nie mam najlepszych relacji, ale bardzo często próbuję wyobrazić sobie jego punkt widzenia, bo myślę, że jego życie jest jednym wielkim niespełnieniem. I w dużej mierze jest to książka o nim. Zastanawiam się, jakie miał doświadczenia, na przykład z Kościołem, i czy nie przeżył tego samego, co bohater „śniegu". To oczywiście tylko moja wyobraźnia, ale w ten sposób czasami tłumaczę sobie jego wycofanie, pogubienie i nieszczęście. Chodziło o to, żeby bohaterem uczynić zwykłego chłopca, i pokazać czytelnikowi, że to może być właściwie każdy z nas.

A syna przestrzegasz przed zagrożeniem?

Kiedy porównuję moje dzieciństwo z dzieciństwem syna, widzę spore zmiany. Może trudno porównywać, bo mieszkałem dość blisko szkoły, a syn ma do niej dziesięć kilometrów i musi być przez nas dowożony, bo mieszkamy na odludziu. Każdy się boi o swoje dziecko i bliskich. Czasami łapię się na tym, że raz mówię mu o ludziach dobrze, a innym

razem go przed nimi przestrzegam. Jakbym sam nie wiedział.

Pochodzisz z religijnej rodziny?

Katolickiej, ale nie religijnej – fasadowość i hipokryzja. Zostałem ochrzczony, poszedłem do komunii – bezwolnie, ale bez większego sprzeciwu. Przy bierzmowaniu miałem już opory, ale byłem zbyt dobrze wychowany i zbyt zahukany na bunt wobec rodziców. To przyszło kilka lat później, w liceum. Mojemu ojcu przez całe życie było wszystko jedno, więc pewnie nie brał udziału w tych decyzjach. Natomiast matka pochodzi ze wsi, ochrzciła mnie, bo tak wypadało. Kiedy miałem trzynaście lub czternaście lat, mama próbowała egzekwować, żebym chodził każdej niedzieli na mszę, ale spotykałem się z chłopakami i szliśmy gdzie indziej.

A teraz?

Przez długi czas w ogóle mnie to nie obchodziło, był to dla mnie obcy świat. Obecnie jestem maksymalnie krytyczny wobec instytucji, a wręcz jest mi jej żal. To jest kompromitacja na całego. Nie ma tygodnia bez jakiegoś skandalu. Tym bardziej dziwię się ludziom, zwłaszcza młodym, że biorą w tym wszystkim udział. Ulegają presji społecznej, rodzinie, absurdalnie pojmowanej tradycji? Przykład: syn jest w wieku komunijnym, ale jako nieochrzczony i niewierzący nie chodzi na religię. W pierwszej klasie był jedyny. W kolejnych zaczęły do niego dołączać inne dzieci, jedno, dwoje, jakby rodzice zostali ośmieleni.

Z czego może to wynikać?

Ze wstydu. Z obawy „co ludzie powiedzą". Myślę, że to, że ktoś zrezygnował jako pierwszy, daje innym podobny impuls, nie wstydzą się, nie boją ostracyzmu. A po komuniach, już w czwartej klasie, spodziewam się większego odpływu – obowiązek spełniony, prezenty otrzymane, można rozluźnić szyki. W Łodzi jest największy odsetek młodzieży, która nie chodzi na katechezę. Być może jest to dziedzictwo czerwonej, robotniczej Łodzi. Może jesteśmy również skażeni tym, że przez jakiś czas urzędował tu biskup Jędraszewski, zanim nie uciekł do Krakowa? W inny sposób nie umiem sobie tego wytłumaczyć. Kościół, jak mi się wydaje, przegrał swoją szansę, bo nie odpowiada na potrzeby młodych ludzi. To instytucja staroświecka, bojąca się wszystkiego, co obce, i piętnująca wszystko, co odmienne. Pamiętam, że kiedyś, tuż po tym, jak poszedłem na swoje, wpadłem do mamy i trafiłem akurat na wizytę księdza po kolędzie. Skorzystał z okazji, że jestem, i zaczął mnie o różne rzeczy wypytywać. Oczywiście mama się pochwaliła, że dużo czytam, coś tam piszę. No i ksiądz jakoś podchwycił ten wątek i zapytał, jaką prasę czytam, czy może katolicką. Powiedziałem więc, żeby mu – jak mi się wtedy wydawało – zaimponować, że czytam „Tygodnik Powszechny" (choć zmilczałem, że czytam strony poświęcone kulturze i felietony Jacka Podsiadły). Księdzu się jednak ta odpowiedź nie spodobała. Powiedział, że trzeba czytać „Gościa Niedzielnego" i „Niedzielę", bo „Tygodnik" to jest antypolskie i żydowskie środowisko.

Myślisz o Kościele tylko negatywnie?

Wolałbym, żeby księża ograniczyli się do czytania Pisma Świętego czy do tych wszystkich formułek, które muszą wygłosić, a nie uciekali w kazaniach do politycznej bieżączki. Ale kiedy byłem na mszy prawosławnej, to byłem urzeczony, zafascynowany śpiewami. Dwie godziny stałem tam w najwyższym estetycznym uniesieniu. Poza tym bardzo doceniam malarstwo i architekturę sakralną. Nie mówiąc już o tekstach biblijnych, które są absolutnym fundamentem nie tylko literatury, ale kultury w ogóle. Nie chcę w żaden sposób piętnować i skreślać dziedzictwa Kościoła, do wiary, pojmowanej jako pewien sposób myślenia magicznego, mam wręcz stosunek adoracyjny. I tu mam właśnie największy dyskomfort, ponieważ widzę, jak to dziedzictwo jest przez obecny Kościół zaprzepaszczane.

Nie mogłeś wiedzieć, że Twoja książka stanie się bardzo aktualna.

W tych wierszach nie ma niczego wypowiedzianego wprost, na okładce nie ma krzykliwego napisu, że książka porusza temat pedofilii w Kościele. To nie jest książka publicystyczna, tylko poetycka.

Trudno było Ci o tym wszystkim pisać?

Prawdę mówiąc, myślałem, że ta opowieść zostanie ze mną na zawsze, bo jest bardzo osobista. To była tajemnica, do ↦

I

Przy pierwszych tego roku
niewielkich opadach śniegu
dźwignęli wreszcie ten złom,
o którym właściciel-jąkała
musiał chyba zapomnieć
albo go spisał na straty,
albo się przeprowadził,
albo po prostu umarł.

A wywalczone w spółdzielni
stanowisko z mikroszlabanem
(znieruchomiał na amen)
i z krzywo wypisanym
numerem rejestracyjnym
sprzed prawie ćwierć wieku
jest obwiedzionym kredą
terenem wizji lokalnej.

II

Resztki słońca. Kowadło
burzowe nad Ślężą. Kołowrót

na witaczu. Wrak spalonego
auta pośród wysokich traw.

Kręgi popiołu, śnieg. Śluz
salamandry działa na rany
jak klej.

Pobielona wapnem tablica
reklamowa, chwiejny napis

GDZIE SĄ MOJE DZIECI
JULIA I STEFAN

Ale że burza? Zimą?
Kowalstwo artystyczne?

▪ WIERSZE Z TOMU „ŚNIEG. ELEGIE PODMIEJSKIE" (WARSTWY 2022)

↦ której nikt nie ma dostępu. Można by uznać, że akurat mnie nie przytrafiła się jeszcze rzecz najgorsza, ale słowa skierowane do dziecka też mają ogromną moc. Zdarzenie to ciąży właściwie na całym moim życiu i pokazuje, jak destrukcyjną może mieć siłę. Sama potencjalność tego, że mogło się wydarzyć najgorsze, nie daje spokoju.

Myślę, że wielu i wiele z nas spotkało się z różnymi formami przemocy seksualnej. Sporo młodych i dojrzałych kobiet opowiadało mi w prywatnych rozmowach, że doświadczyły niestosownych zachowań na wielu poziomach i w różnych formach. To wstrząsające, jak bardzo bagatelizowane są różnego rodzaju zaczepki, jak bawią rodzinę docinki wąsatego wujka pod adresem dorastającej dziewczyny. Obrzydliwość. A w młodym, wrażliwym człowieku takie wydarzenia, takie słowa zostają na długo, na zawsze.

Na końcu książki umieszczasz zapis Kongregacji Nauki Wiary o zasadach postępowania w przypadkach nadużyć seksualnych popełnianych przez duchownych wobec małoletnich (Wer. 1.0, 16.07.2020, pkt. 45).

Pierwotny pomysł był taki, żeby umieścić ten zapis na początku książki, ale ostatecznie, za czujną namową wydawcy i redaktorów, zrezygnowałem. W efekcie funkcjonuje on na zasadzie przypisu czy swoistego motta na wyjście. Wielu czytelników i czytelniczek nie zwróciło nawet na niego uwagi. „śnieg" można równie dobrze przeczytać, nie zaglądając na ostatnią stronę, ale ci, którzy zajrzeli, mówili mi potem, że przeczytali całość raz jeszcze, już z tą świadomością, i wiele rzeczy wskoczyło na swoje miejsce. Jeśli chodzi o samą formułkę, jest to zapis utrzymany w bardzo oficjalnym tonie. Chodzi w nim o to, żeby jak najmniej powiedzieć i jednocześnie użyć jak największej liczby mądrych i dętych słów. Wydaje mi się, że w pewnej mierze wyczerpuje definicję poezji.

Czemu?

Należy pisać umownie, używać ciekawych, mądrych, niepospolitych wyrażeń, ale tylko po to, żeby nie dotknąć sedna, obejść temat dookoła, żeby się do niego nadto nie zbliżyć i przypadkiem całkiem nie odsłonić. Czysta metaforyka, w momencie gdy zachodzi potrzeba podania informacji! Przecież tam są okropne sformułowania, na przykład „Unikając szumnych obwieszczeń" albo „Należy zachować wszelką ostrożność w udzielaniu informacji na temat faktów". Właściwie te dwa zdania mogłyby posłużyć za motto mojej książki. Tylko że ja napisałem książkę poetycką opartą na wyobraźni i niedopowiedzeniach, a nie kodeks postępowania w wypadku przestępstw seksualnych.

> Często śpię niespokojnie, miewam koszmary, krzyczę przez sen. Żona powiedziała mi ostatnio, **że dawniej spałem spokojnie, jakbym nie żył.** Bardzo mi się to sformułowanie spodobało.

Rzeczywiście wybrałeś poetykę snu. O niczym nie mówisz wprost, zamazujesz i rozrzucasz elementy.

Mój bohater przypomina sobie wydarzenie z przeszłości, ale jednocześnie, jak to dziecko, używa wyobraźni. Widzi na przykład rzekę w środku miasta, po której płyną statki, kołyszącą się na wietrze pętlę albo martwego człowieka pod lodem. Jego podmiotowość jest podzielona na dwie części. Jest dzieckiem i jednocześnie narratorem (przepraszam wszystkich purystów teorii, ale w wypadku moich wierszy, często fabularnych, narracyjnych, nie używam pojęcia „podmiot liryczny"), który potrafi na tego chłopca spojrzeć z czasowego dystansu. Sny są dla mnie ważne, choć ich nie zapisuję, żeby potem stwarzać z nich literaturę. Często śpię niespokojnie, miewam koszmary, krzyczę przez sen. Żona powiedziała mi ostatnio, że dawniej to spałem spokojnie, jakbym nie żył. Bardzo mi się to sformułowanie spodobało. A teraz coś się zmieniło. I żyję w snach. Coś złego w nich do mnie powraca.

Pojawiają się w „śniegu" przecież niepokojące obrazy: wrak samochodu, miejsca otoczone policyjną taśmą, ciało dryfujące pod wodą i fraza „GDZIE SĄ MOJE DZIECI/ JULIA I STEFAN".

Widziałem ten napis na billboardzie, gdy przejeżdżałem niedaleko Ślęży jakieś trzy lata temu. To są wielkie, koślawe litery napisane czarnym sprayem, gdzieniegdzie łuszczy się powierzchnia. I wyobraź sobie, że tam naprawdę w rowie było spalone do połowy auto, które nadawało tej scenerii diaboliczny wymiar. Nie wiem, o co chodziło w historii z Julią i Stefanem, nie wiem, czy ona jest prawdziwa. Boję się tylko, że spotkało te dzieci coś strasznego. Może zaginęły, zagubiły się lub uciekły. Chłopiec z mojej książki tak naprawdę też jest z tego billboardu. Boi się i jest bardzo samotny. We śnię krzyczę zawsze sam.

A Ty się bałeś jako dziecko?

Tak, ale bałem się tego, co niepojęte, niewytłumaczalne, tajemnicze. Przed konkretnym zagrożeniem, na przykład ze strony ludzi, nie czułem strachu. Nie umiem wytłumaczyć, dlaczego nasz katecheta bardziej nas śmieszył, niż przerażał, a później przerodziło się to w niewygodną pamięć, wspomnienie, do którego nie chce się wracać. Mam dużo bardziej przerażające wspomnienia. Kiedy byłem w wieku mojego dziecięcego bohatera (i jednocześnie w wieku mojego syna), regularnie przeżywałem pewien pierwotny lęk. Jeździliśmy z rodzicami maluchem do moich dziadków na wieś pod Łodzią. Zawsze siedziałem na tylnym siedzeniu. Wracaliśmy przeważnie wieczorami, zimą było już kompletnie ciemno, zwłaszcza gdy droga prowadziła przez las. Za każdym razem, kiedy tylko wjeżdżaliśmy do lasu, na tylnym siedzeniu malucha przeżywałem paniczny lęk przed śmiercią.

Przed śmiercią? Wtedy?

Może nie tyle przed śmiercią, co przed śmiertelnością. Nikt w domu ze mną nie rozmawiał o śmierci, nigdzie o tym nie czytałem, z nikim się nie konsultowałem. Po prostu wiedziałem, że człowiek jest śmiertelny. Kładłem się wtedy na tylnym siedzeniu i cicho płakałem. Nawet rodzice chyba o tym nie wiedzą do tej pory. Do dziś, kiedy tam przyjeżdżam, ciągle czuję ten dreszcz. Każdy ma takie tajemnice, każdy ma swoje lęki z dzieciństwa. Każdy ma swoje tylne siedzenie malucha.

© Rozmawiała URSZULA HONEK

Na szaro

PIOTR KOSIEWSKI

Podobno nawet kolorystyka jego obrazów jest „wybitnie polska, rodzima, tutejsza". Sugerowałoby to, że nasz kraj jest pogrążony w ziemistej mazi, czego dotąd nie zauważyły pokolenia artystów malujących Polskę.

ZACHĘTA NARODOWA GALERIA SZTUKI / MATERIAŁY PRASOWE X3

Ignacy Czwartos, Taka robota na wiosce

No to mamy artystyczne dwa w jednym. Janusz Janowski, powołany w ubiegłym roku przez ministra Piotra Glińskiego na nowego dyrektora Zachęty, zapowiadał, że w prestiżowej galerii będzie teraz prezentował „artystów nieznanych szerszej publiczności, pomimo doniosłości ich dorobku". Przy czym skupia się na estetycznym wymiarze twórczości i celebracji „lapidarnego piękna" – powrocie do dawnych, dobrych wzorów. Tymczasem obejmując – z tego samego politycznego klucza – kierownictwo Zamku Ujazdowskiego Piotr Bernatowicz nie ukrywał, że pragnie przeprowadzić kontrkulturową rewolucję, nie stroniąc od sztuki społecznie i politycznie zaangażowanej.

Okazuje się, że malarska twórczość Ignacego Czwartosa połączyła oba te oczekiwania wobec sztuki. Janowski i Bernatowicz są kuratorami wystawy „Malarz klęczał, jak malował" Czwartosa w Zachęcie.

Tańczący z trumnami

Czwartos urodził się w 1966 r. Reprezentuje więc to samo pokolenie, co czołowi przedstawiciele sztuki krytycznej lat 90. Studiował na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu – w Zakładzie Wychowania Plastycznego w Kaliszu. Związany jest przede wszystkim z założoną w 1995 r. Otwartą Pracownią. O obrazach związanych z nią artystów pisał w 1996 r. Jerzy Nowosielski: „w naszym współczesnym krajobrazie artystycznym stanowią jakby jakąś egzotykę. Dlaczego? Dlatego, że są to obrazy szalenie tradycyjne. (...) Dla mnie osobiście ta Otwarta Pracownia jest wielką niespodzianką. Bo ja myślałem już, że malarstwo tradycyjne się kończy. (...) Tymczasem – nie. Znaleźli się młodzi malarze, którzy podejmują tę tradycję z jakąś przedziwną nadzieją".

Nie dziwi, że artyści związani z Otwartą Pracownią za swojego patrona uznali właśnie Nowosielskiego. Dla Czwartosa stał się on wręcz mistrzem i nauczycielem. To za pośrednictwem Nowosielskiego przyswoił sobie tradycję ikony, jak i abstrakcję geometryczną. Połączył je z odwołaniami do sarmackiego malarstwa, ale też do Kazimierza Malewicza czy Andrzeja Wróblewskiego. Stąd wziął się jego rozpoznawalny styl, ale i wrażenie monotonnej powtarzalności, jakby w tej twórczości nie było miejsca na wahania, poszukiwania, niespodzianki, na ryzyko porażki wreszcie.

Wypracowana przez Czwartosa stylistyka okazuje się też łatwa do powielania, co było dobrze widoczne na wystawie „Ojcowizna" w warszawskiej Galerii Prześwit zorganizowanej równolegle z ekspozycją w Zachęcie. Znalazły się na niej prace artysty i jego rodziny: syna Wincentego i jego żony Ewy Czwartos oraz syna Stanisława i jego narzeczonej Karoliny Żądło. Trudno wyłapać cechy indywidualne twórczości tej piątki. I – co najgorsze – niewiele by wynikało z trudu zidentyfikowania poszczególnych autorów.

W obrazach Ignacego Czwartosa łatwo dostrzec rozliczne przywołania, oprócz wspomnianego Malewicza, Wróblewskiego i portretów trumiennych jest nawet Władysław Strzemiński. Wszystkie te źródła są łatwe do identyfikacji, bo przywołują przeszłość dobrze przyswojoną, dlatego wręcz banalną. Ale sam artysta ustawia się tu w roli już nie opiekuna, tylko opłakującego minione.

Żyjący artyści stoją nad otwartymi trumnami, w których spoczywają Wróblewski czy Nowosielski. Artysta, jak sam tłumaczy, chce pokazać wyjątkowe relacje intelektualne i duchowe, które „łączą przeszłych mistrzów z ich uczniami i naśladowcami, którzy także zbliżają się do kresu". I to sam Czwartos kroczy w tym pochodzie wielkości. Z nielicznymi jemu współczesnymi, jak Jarosław Modzelewski.

↦

Wyklęty

↦ To jednak nie obrazy, w których celebruje się przeszłość sztuki, ani abstrakcyjne płótna utrzymane w takiej samej przytłumionej kolorystyce sprawiły, że twórczość Ignacego Czwartosa stała się tak atrakcyjna dla środowisk związanych z obecną władzą.

„Tak, oczywiście. Jestem »typowo polski«. Tak ma być. Cieszę się z tego" – mówił przed laty w rozmowie z Martą Karpińską opublikowanej na stronie internetowej Otwartej Pracowni. Ową „swojskość" malarz wciąż podkreśla, wręcz sławi. Przywiązanie do niej ma wyjaśniać, dlaczego prace Czwartosa nie zostały szerzej zauważone w Polsce, a tym bardziej – poza jej granicami. Tyle że czerpanie z polskiej tradycji oraz lokalnych wzorów nie przeszkadzało wielu jego poprzednikom i współczesnym tworzyć dzieła na tyle ważne, by zdobyły szerokie uznanie.

Wykorzystując tradycyjne wzorce, Ignacy Czwartos opowiada o sprawach współcześnie dyskutowanych. Rzeczami ważnymi, o których chce mówić, jest tragiczna polska przeszłość czasów II wojny i początków Polski Ludowej. W Zachęcie znalazły się obrazy przypominające o niemieckich zbrodniach, ale też poświęcone żołnierzom powojennego podziemia niepodległościowego. Jest tu „Epitafium dla Józefa Franczaka »Lalka«", „Epitafium dla żołnierzy wyklętych" czy „Żołnierze Żelaznego". To te właśnie obrazy, wypełniające oddzielną salę, dominują na wystawie. Są pełne odniesień do malarstwa religijnego. Na jednym z nich Józef Franczak oburącz trzyma własną głowę, niczym na przedstawieniach chrześcijańskich męczenników. Na innym partyzant i kapłan stoją pod krzyżem, w pozach zaczerpniętych z dawnych przedstawień Ukrzyżowania ze świętymi. Jest tu wreszcie współczesna wersja słynnego „Orła" Tomasza Tretera, w którym sylwetki z pocztu władców Polski malarz zastąpił bohaterami podziemia antykomunistycznego.

W tekście towarzyszącym wystawie podkreślono, że Czwartos „nie wstydzi się swoich mistrzów, nie wstydzi się także swoich bohaterów". Można powiedzieć więcej: tworzy ich apoteozę. Jego obrazy mają być – jak dalej można przeczytać – odpowiedzią na współczesne antybohaterskie czasy, w „których malowany lub deklamowany heroizm często wzbudza drwiący uśmiech". Problemem nie są jednak nieheroiczne czasy – w dzisiejszej kulturze takich postaw nie brakuje – lecz to, co za bohaterskość się uznaje, oraz w jaki sposób mówi się o tych, których czyny się upamiętnia.

Od góry:
Ignacy Czwartos, Modzelewski
Ignacy Czwartos, Epitafium dla Józefa Franczaka „Lalka"

PAWEŁ STELMACH / ZACHĘTA NARODOWA GALERIA SZTUKI / MATERIAŁY PRASOWE

Wernisaż wystawy „Malarz klęczał, jak malował" Ignacego Czwartosa, 24 lutego 2023 r.

W tytule wystawy „Malarz klęczał, jak malował" przywołano komentarz z internetowej dyskusji o cyklu Czwartosa poświęconego żołnierzom wyklętym. „Rzeczywiście, klęczałem – zdaje się odpowiadać autor" – podkreślają kuratorzy wystawy. I z tej pozycji spogląda na ważnych artystów, ale też na ofiary komunistycznych prześladowań. „Wszak każdy przed czymś/kimś klęka, każdy ma swoich bohaterów" – dodają. I stawiają pytanie: „A my, przed czym klękamy?".

Styki

Przed jakimi postawami, ale też konkretnymi osobami klęka Ignacy Czwartos, a za nim twórcy wystawy? Czy, jak twierdzi jeden z autorów tekstu o wystawie w Zachęcie – ważne jest tylko to, że „w sytuacji granicznej potrafili dokonać wyboru, jaki uznali za słuszny i starali się w nim wytrwać"? Przecież, jak podkreśla badacz podziemia antykomunistycznego prof. Rafał Wnuk, w partyzantce antykomunistycznej byli bohaterowie, ale także antybohaterowie, którzy mordowali Polaków, „mniejszości narodowe, cywilów, zupełnie bezbronnych". Czym innym jest szacunek dla ich tragicznych losów, a czym innym – tworzenie dla nich pomników. O tych skomplikowanych biografiach trzeba rozmawiać, dyskutować, spierać się, tymczasem za sprawą malarza zostali oni wyniesieni do rangi narodowego *sacrum*.

Wizja Ignacego Czwartosa dobrze wpisuje się za to w narrację rządzących oraz ich zwolenników, dla których przeszłość rysuje się jedynie w białych i czarnych barwach. Jego twórczość koresponduje też z przemianami polskiej prawicowej tożsamości oraz ewolucją jej kanonu pamięci. Fundamentalne stały się dla niej odwołania do sarmackości, niemieckie i sowieckie zbrodnie na Polakach oraz żołnierze wyklęci. Dodatkowo Czwartos – w przeciwieństwie do innych promowanych obecnie przez władzę artystów, jak Jacek Adamas, Jerzy Kalina czy Wojciech Korkuć – opowiada o tym wszystkim za pomocą malarstwa, czyli medium tradycyjne kojarzonego z wysoką sztuką. A z jego twórczością do tego stopnia się utożsamiono, że publicysta wpolityce.pl ogłosił nawet, że kolorystyka obrazów Czwartosa jest „wybitnie polska, rodzima, tutejsza". Sugerowałoby to, że nasz kraj jest pogrążony w ziemistej mazi, czego dotąd nie zauważyły pokolenia artystów malujących Polskę.

To jednak, co w oczach jednych jest zaletą Czwartosa, dla drugich stanowi fundamentalną wadę. Bohaterów swoich obrazów przekształca w pomnikowe postacie, którym tylko można oddawać hołdy. Robi to na pewno z przekonania, a nie z koniunkturalnych odruchów. Lecz teraz stają się oni częścią oficjalnego *imaginarium*. Jednym z elementów polityki historycznej obecnego rządu, coraz bardziej pełnej pustych rytuałów i – po prostu – jałowej nudy.

Tytuł wystawy nawiązuje nie tylko do wpisu na internetowym forum, ale także do znanej anegdoty o Janie Styce i Panu Bogu. „Ty mnie nie maluj na kolanach, ty mnie maluj dobrze!" – miał usłyszeć malarz. Styka bardzo starał się odpowiadać na oczekiwania współczesnych mu tradycjonalistycznych odbiorców, nie zmuszając ich do refleksji nad własną przeszłością, ale też nad przeżyciem religijnym. Do dziś jest pamiętany jako współtwórca panoram, z Racławicką na czele, i drobny przypis do historii polskiej sztuki.

© PIOTR KOSIEWSKI

Ignacy Czwartos
MALARZ KLĘCZAŁ, JAK MALOWAŁ
Warszawa, Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki, wystawa czynna do 28 maja br., kuratorzy: Janusz Janowski, Piotr Bernatowicz

Coś dla ludzkiej ciekawości

DOROTA KOZIŃSKA Z BERLINA

Kamila Metwaly przyszła na świat w Warszawie, w rodzinie egipskiego aktora i reżysera Hanaa Abdela Fattaha Metwalego oraz jego żony Doroty. Ojciec tłumaczył też na arabski Miłosza i Szymborską. Kamila jest szefową festiwalu w Berlinie.

Już nie pamiętam, kiedy to było dokładnie: może dwa, może trzy dni po zamachu na World Trade Center. Wybierałam się na swój pierwszy jesienny festiwal Berliner Festspiele, ale zamiast szykować się do wyjazdu, godzinami śledziłam doniesienia z Nowego Jorku, podobnie jak większość znajomych spodziewając się końca świata albo przynajmniej wybuchu globalnej wojny. Mimo to wsiadłam w pociąg, którym oprócz mnie odważyły się podróżować do Niemiec tylko dwie osoby.

O tych przedziwnych doświadczeniach pisałam później w „Ruchu Muzycznym", dzieląc się wrażeniami z koncertów i spektakli, po których nie biło się braw. Artyści składali na deskach proscenium bukiety śnieżnobiałych kwiatów. Świat się nie skończył. Wojna wybuchła gdzie indziej. Moja relacja spodobała się w Berlinie i zaowocowała zaproszeniem na nowy festiwal MaerzMusik – jak się z czasem okazało, jeden z ostatnich prawdziwie autorskich festiwali muzyki współczesnej w Europie.

Raz

Jego pomysłodawca i dyrektor artystyczny, Matthias Osterwold, nie był ani kompozytorem, ani wykonawcą, ani teoretykiem, tylko socjologiem, ekonomistą i urbanistą, przede wszystkim zaś wielbicielem muzyki eksperymentalnej, niekoniecznie spod znaku twórczości kojarzonej dotąd z prawdziwie „wysoką" muzyką nową. Osterwold opatrzył imprezę przekornym podtytułem „Festival für aktuelle Musik" – „festiwal muzyki aktualnej". W roku 2002 w marcowym Berlinie zaczęły rozbrzmiewać dźwięki ściśle osadzone w kontekście – geograficznym, pokoleniowym, przestrzennym – nie zawsze jednak będące muzyką samą w sobie.

Po kilku sezonach MaerzMusik okrzepł i zyskał wierną, ogromną publiczność. Z roku na rok okazywał się coraz ciekawszy. W pewnym momencie zaczęło mi nawet brakować spektakularnych katastrof z czasów, gdy Osterwold swobodniej folgował własnym gustom i sentymentom. Dyrektor spoważniał, szyderstwa przycichły. Jedno się tylko nie zmieniało: zwyczaj konstruowania programów wokół haseł, które celnie odzwierciedlały strachy, bolączki i dylematy społeczeństw ponowoczesnych.

Organizatorzy MaerzMusik pod wodzą Osterwolda przewidzieli też niszę dla zabaw okołomuzycznych, skądinąd bardzo potrzebnych – eksperymenty dźwiękowo-przestrzenne przydawały się również twórcom i wzbogacały ich warsztat kompozytorski. Od początku starano się włączyć imprezę w szerszy kontekst miejski, uczynić ją atrakcyjną dla przeciętnego turysty, gotowego wybrać się nawet na koncert tak dziwnej muzyki – pod warunkiem, że jego poświęcenie doczeka się nagrody w postaci wycieczki po Szprewie, kolacji w fajnej knajpie albo wizyty w ciekawym przybytku kultury i nauki.

W 2008 r., jako „przygrywkę" do festiwalu, urządzono performans w Muzeum Historii Naturalnej. Publiczność podczepiała się do przewodników, za którymi można było trafić na pogadankę do kustosza zbioru wypchanych ryjówek, do aktorów odgrywających historię życia i śmierci pewnego słonia w Poczdamie albo na niecodzienną przekąskę u specjalisty od bezkręgowców. Wszystko to uzupełnione wstawkami muzycznymi: od niezobowiązującego popukiwania w zanurzone w misce z wodą instrumenty perkusyjne po regularny koncert kameralny wśród zakonserwowanych w formalinie zwierzęcych okazów i preparatów anatomicznych.

Po dziesięciu latach Osterwoldowi zaczęło jednak brakować pomysłów. Festiwal zrobił się dziwnie mieszczański, programy – zamiast krążyć wokół palących problemów współczesności – skupiały się na okrągłych rocznicach. Odbiorcy poczuli się wykluczeni: coraz rzadziej mieli okazję spierać się z prezentowaną muzyką, kontestować ją choćby przez przejście do innej sali na równoległy koncert, bawić się nią w przyjaznych wnętrzach, niestwarzających barier między słuchaczem a wykonawcą.

Osterwold na odchodnym uczynił bohaterem MaerzMusik sam Berlin – swoje ukochane miasto, mimo że z urodzenia jest hamburczykiem. Metropolia po upadku muru stała się głównym celem pielgrzymek i imigracji artystów z całego świata, mekką dla stypendystów, rajem dla muzyków niezależnych, którzy z dzielnic Neukölln, Friedrichshain, Prenzlauer Berg i Kreuzberg uczynili w swoim czasie wielką, tętniącą życiem scenę koncertową. Z tego pomysłu nie wysnuła się jednak żadna nić przewodnia.

Dwa

Przełomowa decyzja zapadła w 2014 r. Thomas Oberender, nowy dyrektor generalny Berliner Festspiele, nie przedłużył umowy z Osterwoldem. Jesienią pracę nad nową odsłoną festiwalu rozpoczął Berno Odo Polzer, młody austriacki archeolog, filozof, muzykolog i germanista. Zapoznawszy się jednak z programem kolejnej MaerzMusik, odniosłam wrażenie, że nowy dyrektor ma jeszcze mniej do zaproponowania. Polzer okazał się modelowym przykładem nowoczesnego kuratora – człowieka, który najwyraźniej nie wierzy w potęgę samej muzyki, choćby nieoczywistej, próbuje więc ją osadzić w najrozmaitszych kontekstach interdyscyplinarnych, od teorii polityki, poprzez architekturę, historię mediów, neurobiologię, taniec i performatykę, aż po sztuki plastyczne.

Impreza została przemianowana na „Festival für Zeitfragen" (w luźnym tłumaczeniu „festiwal zagadnień związanych z czasem"), hasło wieloznaczne, przez Polzera wykorzystywane do granic pojemności. W 2017 r., ostatnim, zanim straciłam cierpliwość do jego koncepcji, upchnął w ramach MaerzMusik walkę z marginalizacją społeczną, rasizmem

BERLINER FESTSPIELE / MATERIAŁY PRASOWE

Kamila Metwaly, 2019 r.

i homofobią, rozważania nad kolonizacją, płcią kulturową i kryzysem finansowym, feminizm, mistycyzm, duchowość i jeszcze parę innych nośnych medialnie tematów. Coraz mniej było muzyki, coraz więcej jałowych rozmów, paneli i debat. Nie wszystkim się podobało, zwłaszcza że i gust muzyczny Polzera pozostawiał sporo do życzenia.

W końcu nadeszła pandemia i festiwal na dwa lata znikł z żywego obiegu kultury. Przywrócony w przestrzeń miejską w ubiegłym roku, rozpoczął się trzygodzinnym koncertem w Martin-Gropius-Bau, pod Borgesowskim tytułem „Ogród o rozwidlających się ścieżkach". Publiczność zaproszono do swobodnej wędrówki po gmachu wystawowym, przy dźwiękach muzyki Aperghisa, Hosokawy, Saunders i – jak to u Polzera – „wielu, wielu innych". Wkrótce miało się okazać, że jedną z tych rozwidlających się ścieżek, w nie do końca jeszcze sprecyzowanym kierunku, uda się sam Polzer.

Trzy

Polzerowi przy układaniu programu ostatniej firmowanej jego nazwiskiem odsłony MaerzMusik towarzyszyła nowa główna kuratorka, w osobie Kamili Metwaly, krążącej między Berlinem a Kairem badaczki i dziennikarki muzycznej, artystki związanej ze sceną muzyki elektronicznej, współorganizatorki wielu niezależnych przedsięwzięć kulturalnych, między innymi w ramach działalności SAVVY Contemporary, berlińskiej przestrzeni sztuk wizualnych i performatywnych. We wrześniu 2022 r. Metwaly objęła kierownictwo artystyczne festiwalu i rozpoczęła przygotowania do tegorocznej edycji wraz z dyrygentem i kompozytorem Enno Poppem, występującym w roli kuratora gościnnego.

I tak w historii MaerzMusik otworzył się całkiem nowy rozdział – dla nas tym bardziej interesujący, że Metwaly przyszła na świat w Warszawie, w rodzinie egipskiego aktora, reżysera i tłumacza bHanaa Abdela Fattaha Metwalego oraz jego polskiej żony Doroty. Trudno się oprzeć wrażeniu, że w swej drodze życiowej poszła w ślady niezwykłego ojca, który rozpoczął karierę w wieku lat ośmiu, jako jeden z najpopularniejszych w Egipcie aktorów dziecięcych. W przeciwieństwie do większości wunderkindów wytrwał w swym powołaniu: skończywszy z wyróżnieniem studia teatralne i filmowe w Kairze, otrzymał stypendium na dalszą edukację w Wielkiej Brytanii lub w dowolnym państwie bloku wschodniego. Wybrał Polskę. Za Gierka, na początku lat 70.

Zanim trafił do warszawskiej PWST, mówił już biegle językiem swej „drugiej ojczyzny". Po studiach reżyserował w wielu polskich teatrach: jego „Sługę dwóch panów" Goldoniego uznano w 1986 r. za najlepsze przedstawienie sezonu w białostockim Teatrze Węgierki. Tłumaczył na arabski polskie dramaty, teksty Hübnera i Grotowskiego, poezje Miłosza i Szymborskiej. Wrócił do Kairu w roku 1992, wraz z żoną i trzema córkami, nigdy jednak nie zerwał kontaktów z Polską. Na kilka miesięcy przed przedwczesną śmiercią w 2012 r. został laureatem Srebrnego Medalu Gloria Artis.

Kamila Metwaly wyrosła na równie zaangażowaną rzeczniczkę dialogu międzykulturowego. W programie tegorocznej MaerzMusik uwzględniła twórczość i praktyki artystów wychodzących poza sztywne ramy dyscyplin muzycznych, eksperymentujących z nowymi technologiami, pracujących z głosem i z ciałem, żywo zainteresowanych polityczną funkcją twórczości. Mniej tu jednak ględzenia, za to więcej emocji, czystego rzemiosła i zwykłej ludzkiej ciekawości, skierowanej także w głąb historii muzyki.

No i wreszcie, po tylu latach, zaistnieli na festiwalu Polacy. Młodzi i bardzo młodzi, w osobach członków znakomitego krakowskiego zespołu Spółdzielnia Muzyczna, którzy w pierwszej części koncertu 20 marca przedstawili interpretacje utworów ruszającego dopiero na podbój świata pokolenia polskich kompozytorów (m.in. subtelne, zaskakujące nieoczywistą wirtuozerią „No-body" Moniki Szpyrki); w drugiej współtworzyli „Field 7. Delta" Wojciecha Blecharza, z cyklu jego zmysłowych medytacji „na przestrzenie dźwiękowe", z wykonawcami rozmieszczonymi wśród publiczności, podobnie jak w swobodnych performansach, kierującymi się jednak ściśle zapisem i dramaturgią partytury.

Wpadłam na MaerzMusik i odnalazłam dawną siebie, sprzed dwudziestu lat z górą. Niezmiennie zaciekawioną, czasem troszkę znudzoną, częściej uważnie zasłuchaną, kilka razy przepełnioną prawdziwym zachwytem. Znów było o czym pogadać z grupą obserwatorów berlińskich festiwali. Przybyłam obca do tego miasta, jak w Schubertowskiej „Podróży zimowej", ale teraz czuję się tu mniej obco niż w domu. ©

W otchłani i w gorączce

ANITA PIOTROWSKA

Kino „nowohoryzontowe" często łamie schematy i miesza porządki, by zbudować zupełnie nową jakość.

Słowo „nowohoryzontowy" nie figuruje w Słowniku Języka Polskiego, nie jest też (jeszcze) dopuszczalne w grach typu Scrabble. Jednak weszło już do języka wewnętrznego bywalców wrocławskiego festiwalu Nowe Horyzonty – jako określenie kina spoza głównego nurtu, ekscentrycznego w treści i formie.

Nie każdemu musi kojarzyć się pozytywnie, może być synonimem pretensjonalności, snobizmu czy „snujstwa". Ci jednak, którzy zainwestują w takie kino swój czas, a w trakcie seansu będą mieć szeroko otwarte oczy i głowę, mogą zostać szczodrze wynagrodzeni. Przed nami jego reprezentacyjna próbka, czyli trzy tytuły z ubiegłorocznej edycji, dostępne w ramach ogólnopolskiego przeglądu.

W tych filmach rzeczywiście czas płynie wolniej (lub po prostu inaczej), stąd ich często ponadprzeciętny metraż. W alpejskiej wiosce z „Kawałka nieba" Michael Koch wciąga nas w jednostajny rytm kolejnych dni, tygodni, pór roku. W najpiękniejszych okolicznościach przyrody łudzi „żywotem człowieka poczciwego", bowiem miłość łącząca bohaterów – młodą listonoszkę i jej świeżo upieczonego męża „z nizin" – właśnie na skutek działania natury musi przejść heroiczną próbę.

Kiedy u Marca zostaje zdiagnozowany guz mózgu i mężczyzna traci kontrolę nad impulsami, Anna musi wybrać między bezpieczeństwem swoim i dziecka a dobrostanem chorego. Idąc za głosem serca, wbrew naciskom z zewnątrz, próbuje to rozdarcie po swojemu zszywać. Podobnie robi szwajcarski reżyser, który w ciasnym, kwadratowym niemal kadrze zderza ze sobą naturalizm życia wiejskiego i powściągliwą grę naturszczyków z obezwładniającą urodą górskich pejzaży. A przypowieść o sile uczucia z... musicalem.

Umieszcza bowiem w scenerii Alp profesjonalny chór, komentujący na wzór greckiej tragedii zdarzenia i nastroje. Chorałom towarzyszą bollywoodzcy tancerze (w okolicy właśnie powstaje kolejny indyjski przebój) oraz potraktowany z ironią najntisowy hit „What Is Love". Co bynajmniej nie umniejsza surowej powagi filmu – kino „nowohoryzontowe" często łamie schematy i miesza porządki, by zbudować zupełnie nową jakość.

Tego rodzaju przekroczeń chętnie dokonuje Michelangelo Frammartino, którego „Le quattro volte" wygrało trzynaście lat temu festiwal we Wrocławiu. Włoski reżyser również wyspecjalizował się w filmach „górskich", wyrosłych z dziewiczych niemal krajobrazów rodzinnej Kalabrii, z historii poddanych rytmowi natury czy wręcz panteistycznych w swej wymowie. Najnowszy jego tytuł, „Pod ziemią", ma formę jeszcze bardziej hybrydową, łącząc dokumentalne obserwacje z inscenizacjami i filozoficznym namysłem.

Głównym bohaterem ponownie jest sędziwy pasterz, ale historia jego odchodzenia wpisana została w nowy kontekst: wyprawy speleologicznej z 1961 roku, czego efektem było odkrycie podziemnej groty Bifurto, trzeciej co do głębokości na świecie. Podczas gdy północ kraju ulega przyspieszonej modernizacji, mieszkańcy Południa znają nowoczesność wyłącznie z jedynego we wsi telewizyjnego ekranu. Kiedy w Mediolanie strzelają w górę wieżowce, jesteśmy świadkami powolnego schodzenia do wnętrza Ziemi.

Z takiej otchłannej perspektywy patrzy reżyser na skończoność człowieczego życia, na cykliczność natury i wiecznotrwałość podziemnych jaskiń, ukrytych dotąd przed ludzkim okiem. Dla widza przeglądu ten film może być wyzwaniem największym, ponieważ trudno go zaklasyfikować lub oswoić. Zanurzony w ciemnościach, chwilami na granicy widzialności, za to czujnie wsłuchany w podziemne odgłosy, skłania przede wszystkim do kontemplacji. Oglądamy kino „chtoniczne", pozbawione łatwej fotogeniczności i będące zaprzeczeniem Herzogowego gawędziarstwa; rozpięte między pokorą twórcy a jego brawurą.

Jeńców nie bierze także Albert Serra, autor filmu „Pacifiction", bez wątpienia najciekawszego w tym zestawie. Wcześniej, poprzez „Śmierć Ludwika XIV" (2016) i „Liberté" (2019), opowiadał o uwięzieniu w ciele – powoli umierającym albo kompulsywnie spółkującym, a równocześnie dyskutował z szeroko rozumianą pornografią. Przesiąknięta fizjologią królewska sypialnia i nocny las, gdzie XVIII-wieczni libertyni próbują testować ostatnie granice (nie tylko ciała), stawały się sceną zakazanego spektaklu, czyniąc z widzów niezręcznych podglądaczy.

RADIO KRAKÓW

Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Andrychów – 98,8 FM | **www.radiokrakow.pl**

MATERIAŁY PRASOWE

NOWE HORYZONTY TOURNÉE:

KAWAŁEK NIEBA
(A Piece of Sky/Drii Winter) – reż. Michael Koch. Prod. Szwajcaria/ /Niemcy 2022,

POD ZIEMIĄ
(Il buco) – reż. Michelangelo Frammartino. Prod. Włochy/Francja/ /Niemcy 2021,

PACIFICTION
– reż. Albert Serra. Prod. Francja/Hiszpania/ /Niemcy/Portugalia 2022.

Na zdjęciu: Benoît Magimel jako De Roller i Pahoa Mahagafanau jako Shannah

Harmonogram pokazów na stronie www.nowehoryzonty.pl

Dla odmiany, najnowszy film katalońskiego reżysera zaprasza do całkowitej immersji. Jesteśmy wszak na rajskiej Tahiti, czyli francuskim terytorium zamorskim, w towarzystwie wysokiego komisarza granego przez Benoîta Magimela. Ubrany z kolonialną elegancją urzędnik zdaje się królem życia: sprzyjają mu paryskie władze, zdążył obłaskawić lokalsów, a wolne chwile spędza w nocnym klubie, gdzie przewala się istna menażeria miejscowych i przyjezdnych. Dotychczas De Roller potrafił świetnie lawirować w gąszczu politycznych, biznesowych i obyczajowych niuansów, przychodzi jednak moment, gdy rzeczywistość przestaje być dlań przezroczysta. Pogłoski, że na wyspie francuski rząd ma wznowić eksperymenty z bronią jądrową, co oznaczałoby koniec raju, niszczą spokój bohatera. Po długiej, wprowadzającej w klimat „rozbiegówce" zamienia się „Pacifiction" w hipnotyczny thriller.

Ma w sobie coś z Conradowskiego „Nostromo" i poniekąd „Jądra ciemności", a trochę z fantasmagorii „Miasteczka Twin Peaks". I tak, jak w pierwszej części filmu Serry półsłówka i mikroobserwacje odsłaniały w dyskretny sposób postkolonialny charakter relacji panujących w dzisiejszej Polinezji Francuskiej, tak druga część to już powolny zjazd w dół czy osuwanie się w mrok. Komisarz wypatrujący nerwowo okrętu podwodnego coraz mniej ufa temu, co widzi, i tym, z którymi rozmawia. Wobec rządowego i, być może, globalnego spisku, czuje się marnym pionkiem. A reżyser, jego operator Artur Tort oraz Marc Verdaguer i Joe Robinson jako autorzy transowej muzyki elektronicznej tworzą aurę, którą za innym mistrzem chciałoby się nazwać „tropikalną gorączką". Nie chodzi wyłącznie o jej intensywnie zmysłowy charakter, lecz również o cyniczną politykę, ukazaną tu niczym narastający, nieuleczalny stan zapalny. Transseksualna aktorka Pahoa Mahagafanau w roli zaprzyjaźnionej z komisarzem Shannah doskonale uosabia wszechobecną na ekranie dwuznaczność i tajemnicę. I jeśli szukać słowa, które połączyłoby ze sobą te trzy kompletnie różne tytuły z Nowych Horyzontów, byłoby nim właśnie to ostatnie. ©

Lektor:
Książę Jusuf

▪ *Else Lasker-Schüler*
MALIK. HISTORIA CESARZA
ARTUR ARONIMUS. HISTORIA MOJEGO OJCA
Przekład i posłowie Andrzej Kopacki. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023, ss. 240.

„Była zjawiskiem" – rozpoczyna swoje posłowie Andrzej Kopacki, najkrócej jak można ujmując osobowość i dzieło tej niezwykłej pisarki. Pochodząca z rodziny żydowskiej, po ojcu aszkenazyjskiej, po matce sefardyjskiej, znalazła się w kręgu niemieckiej bohemy przełomu XIX i XX wieku. Nazwana przez Petera Hille „czarnym łabędziem Izraela", wysoko ceniona przez Gottfrieda Benna, w którym nieszczęśliwie się kochała, była przez dziesięć lat żoną lewicowego krytyka Herwartha Waldena, zamordowanego potem w ZSRR. Po dojściu Hitlera do władzy wyemigrowała do Szwajcarii, skąd jeździła do Palestyny – zmarła tuż przed końcem II wojny w Jerozolimie. Poetka miłości zmysłowej, budowała na poły fantastyczny świat, w którym bliscy jej ludzie i ona sama pojawiali się w orientalnych maskach i przebraniach; coraz ważniejszy stawał się też dla niej temat żydowski. Spory wybór jej wierszy wydała u nas Wanda Markowska („Gwiazdy Tartaru", PIW 1988).

Fantastyczna sceneria tworzy tło powieści „Malik" (1919). Pierwszą jej część wypełniają listy, których adresatem (i adresatem dedykacji całości) jest Franz Marc – wybitny malarz-ekspresjonista z monachijskiej grupy „Der Blaue Reiter" (Błękitny Jeździec), podejmujący motywy animalistyczne w formie bliskiej abstrakcji, poległy podczas Wielkiej Wojny pod Verdun i występujący tu jako Ruben. Listy pisze hermafrodyczny książę Jusuf Abigail, jego rzekomy brat przyrodni. Jusuf z Teb, pojawiający się też w pracach graficznych Lasker-Schüler, to – jak pisze Kopacki – „bodaj najwyrazistsza z jej przybranych tożsamości, w której kondycja artystyczna poetki wchodzi w mariaż z majestatem władzy monarszej". Można też przyjąć – dodaje – że w tożsamości tej „znajduje wyraz jej aspiracja artystyczna: radykalny sprzeciw wobec kulturalnych i ekonomicznych konwencji świata mieszczańskiego w imię racji sztuki". Utwór drugi, „Artur Aronimus" (1932, istniejący także jako dramat), to wysnuta z narracji rodzinnej historia żydowska, w której jest i mrok pogromowej grozy, i utopia żydowsko-chrześcijańskiego pojednania. Odwiedziny ziemi Izraela zaowocują później „Krainą Hebrajczyków" (1937), konfrontującą mityczną wizję z rzeczywistością – tej książki jeszcze po polsku nie mamy. ©℗

OLGA

Drenda: *Obabulenie*

Tej długiej zimy wyjątkowo często marzły mi uszy. Odkrywszy sposób na to, jak je skutecznie ogrzewać, jednocześnie poczułam, że uczestniczę w duchu czasów. Jest to wrażenie ciekawe i rzadkie, zazwyczaj dochodzimy do tego odkrycia w retrospektywie, kiedy potrafimy zdefiniować, co kojarzy nam się z jakąś dekadą albo rokiem: ważne wydarzenia, ikoniczne zdjęcia chwytające nastrój chwili, piosenki, powiedzonka (słyszymy „w dechę" i oczami wyobraźni widzimy bikiniarzy, na hasło „żal.pl" przypominają się wczesne lata polskiego internetu), wreszcie moda, rzecz niby błaha, a jednak ważna, o czym wie każdy, kto para się np. kostiumami. Moje uczestnictwo w doniosłym momencie dokonało się przez obabulenie. Żyjąca przez chwilę w mediach społecznościowych filmowa rolka (życiem jętki, jak to rolki) nauczyła mnie, jak wykonać tzw. *balaclava scarf hack*, czyli zrobić z długiego, ciepłego szalika sprytny kominiarko-kaptur. Uszom faktycznie pomogło. Nauczywszy się tego, zaczęłam zauważać inne formy modnego obabulenia, np. ciepłe chustki, pikowane jak kurtka na wacie i przypominające kosmiczny skafander. Albo po prostu zawiązane wokół głowy szale i chustki, przez co niejedna ulica zaczęła przypominać polskie dróżki, którymi wędrowała Pyza.

Paryż i Londyn nazwały sobie ten egzotyczny dlań styl „*babushka look*"; upodobał go sobie projektant Marc Jacobs. Wydało mi się to na tyle znaczące i tak niepodobne do czegokolwiek, co ostatnio widziałam w modzie, że pomyślałam sobie: tak zapamiętamy rok 2023.

Najciekawszym doświadczeniem było jednak poczucie osobliwości, umiarkowanej transgresji: oto robię coś nie tylko nie ze swojej epoki, ale też trochę igram z ogniem, bo przywołuję rekwizyt z czasów zostawionych za bardzo grubymi drzwiami. Obcowanie z mnóstwem archiwalnych fotografii przez lata wywołało we mnie przekonanie, że obabulanie się to czynność przynależna światu biedy, głodu i zimna, że chodzi w parze z trudnym, pełnym niedostatków życiem, które łatwo stracić. I że obabulając się tak beztrosko, najedzona i z bieżącą wodą w domu, robię coś lekkomyślnego, czego może nie wypada robić – jakkolwiek nie byłoby mi ciepło w uszy. To rodzaj myślenia magicznego: unikaj tych skojarzeń, nie kuś, bo w złą godzinę możesz wywołać zapomniane nieszczęście; ludzie zrobili wiele, żeby nie musieć się tak zawijać w warstwy.

Oczywiście wiem, że moje skojarzenia są upraszczające. Bywały szale i chustki szykowne, ozdobne, które zakładano na specjalne okazje (jako element właśnie „stroju", w odróżnieniu od codziennego „ubioru"). Kojarzące się dzisiaj z zestandaryzowanym strojem „ogólnoludowym" chustki z frędzlami i zadrukowane w kwiatowy wzór były znane jako szalinówki. Bywały chusty wielofunkcyjne; w Centralnym Muzeum Włókiennictwa można zobaczyć chusty-płaszcze, które na początku XX w. nosiły pracujące w fabrykach łodzianki. Przede wszystkim jednak była to praktyczna część stroju dla wszystkich pracujących na zewnątrz, gdy trzeba się było zawsze przed czymś chronić – słońcem albo chłodem. Noszono je również w czasach powojennych, gdy ubrania i buty kupowano najczęściej w sklepach MHD, a świat dookoła stopniowo się unowocześniał. Bardziej niż do świata zimna i ubóstwa z moich osobistych strachów chustki i szale należały do świata, w którym strój nie był dowolnością. Inaczej ubierały się dzieci, młodzież i dorośli, istniały stroje „na co dzień" (do pracy i po domu), „od święta" i „do ludzi", a moda krzyżowała się z obyczajem, który podpowiadał, co wypada, a czego nie wypada. A wypadało, by strój uzupełniało nakrycie głowy: kapelusz, czapka lub właśnie chustka. To tworzyło strój kompletny, i męski, i damski. W USA podobno zrezygnowano z kapeluszy z powodu niskich sufitów w samochodach; to sprawiło, że noszenie ich stało się niepraktyczne. A co wyeliminowało chustki? Może popularność zabiegów fryzjerskich, co zachęcało do pochwalenia się włosami? A może chęć wyglądania nowocześniej, „po miejsku"?

Kultura popularna ostatnich lat pozytywnie dowartościowuje szeroko pojętą słowiańskość – od Słowiańszczyzny baśniowo-fantastycznej, wiedźmińskiej, po wiejską i blokowiskową. Ma to swoje plusy i minusy, niesie korzyści i niebezpieczeństwa; może pomóc w konsolidacji ludzi wokół własnych symboli, wzmacniać poczucie własnej wartości, budować solidarność, ale też grozić pomyleniem mitu z prawdą, odlotem w pseudonaukę. To rozmowa na inną okazję – w tym przypadku wystarczy wspomnieć, że pozytywnym symbolem słowiańskości bywa babuleńka, serdeczna, gościnna, ale też nie do zdarcia, długowieczna i dziarska. Jest uśmiechnięta, może przytulać kota albo dzierżyć siekierę, ale jej nieodłącznym atrybutem jest zawiązana na głowie chustka. Obecna moda zapewne ma sporo wspólnego z pozytywnym wizerunkiem słowiańskości; obabulajmy się zatem na zdrowie. Najważniejsze, że w uszy jest ciepło. ©

Zając słowiański okolicznościowy.

OLGA DRENDA

PAWEŁ

Bravo: *Muzyka strawna*

Zdarzyło się wam wyjść z restauracji czy baru, bo grali paskudną, a do tego za głośną muzykę? Zwłaszcza ten drugi problem jest, jak wynika z moich doświadczeń, kwestią pokoleniową. To żadne jojczenie późnego baby-boomera, istnieją dobrze udokumentowane badania wrażliwości, czy raczej niewrażliwości na silne bodźce dźwiękowe skorelowanej z tym, czy ktoś od przedszkola nosił słuchawki na uszach. Ale co, jeśli poziom decybeli nie jest szczególnie bolesny, ale za to muzyka jako taka budzi mdłości? I nie mówimy tu o lokalach z wyrazistym środowiskowym czy sekciarskim wręcz przekazem. Tylko o miejscach niewinnie uniwersalnych, mieszczących się w luźnych ramach gustu i oczekiwań bezpiecznej, szerokiej większości. Jeśli wypełnia je ściszona „ambientowa" sieczka w najpowszechniejszym wydaniu, wzięta wprost z dźwiękowego śmietniska zapełniającego windy, poczekalnie i hale odlotów, to da się ją bez bólu zignorować. Ale jeśli właściciel czy menedżer akurat upodobał sobie wyrazisty w smaku kicz albo dręczy wszystkich na przykład Ralphem Kamińskim?

Ryūichi Sakamoto wiedział, co zrobić w tej sytuacji. Śmierć dopiero co przerwała wielobarwną karierę tego kompozytora. Tworzył on i wykonywał refleksyjne, bardzo „przestrzenne" utwory na fortepian, ale też muzykę do reklam, do filmów – np. jego ścieżka dźwiękowa to jedyne, co zostało wartościowego z „Ostatniego cesarza" – nie gardził też pisaniem do gier wideo i dzwonków na piękny, nieodżałowany model Nokii 8800. Mieszkał przez długą część życia w Nowym Jorku i bardzo cenił jedną z tamtejszych japońskich restauracji, ale bolały go w niej dźwięki – jak wspominał w wywiadach, był to przedziwny miks tandetnego brazylijskiego popu i piosenek country. Nie chcąc rezygnować z posiłków, zaproponował właścicielom, że sam ułoży im stosowne tło muzyczne. Krótką wersję jednego z kilku zestawów, jakie powstały, znajdziecie na wszystkich platformach jako „The Kajitsu Playlist" od nazwy zamkniętej już restauracji, która gotowała w tradycji tzw. kuchni świątynnej i gdzie menu degustacyjne kosztowało 120 dolarów.

Słucham jej w tej chwili, playlista trwa około trzech godzin, czyli tyle, ile zwykle zajmuje mi zapełnienie słowami waszej ulubionej rubryczki. A raczej słyszę niż słucham – wszak to muzyka, którą Sakamoto układał jako składnik szerszego doświadczenia. Składnik jednak wobec jedzenia i zastawy stołowej drugorzędny, choć są lokale, które nie mogąc liczyć na pomoc wyjątkowych klientów, wydają sporo pieniędzy na „marketing sensoryczny". Sakamoto, co nie dziwi, poskładał dużo utworów na fortepian, ale też trochę orkiestralnych, niewiele piosenek, wszystko dość stonowane, przestrzenne, refleksyjne, lecz nie mroczne, dyskretne, lecz jednak na tyle zmienne, że pływa tuż nad powierzchnią świadomości. Ten „ambient" zdecydowanie ma duszę, co z pewnością jest zasługą kompilatora. Jest jakaś drobna, ale uchwytna różnica względem nieskończenie licznych zestawów ze Spotify typu „lounge piano" czy „soft jazz", w których nurzamy się jako goście mniej prestiżowych niż Kajitsu lokali niczym płód w płynie owodniowym.

Już Telemann w XVIII wieku za swoją stołową „Tafelmusik" zgarniał honoraria, o jakich Bach mógł tylko pomarzyć, i dobrze wiem, że jak świat światem, muzyka była podkładem do kotleta i kielicha. A jednak należę do mniejszości, której do biesiadnego zadowolenia jest ona całkiem niepotrzebna. W barze, gdzie pracuję, podobają mi się dwa momenty dźwiękowe: po pierwsze cisza, która panuje przed otwarciem. Kiedy zjawiają się pierwsi goście, zaczyna być jednak krępująca – wtedy trzeba rozmazać nad ich rozmowami muzyczne tło. Aż do momentu, kiedy przy pełnej sali gwar robi się taki, że żadna muzyka nie jest potrzebna, by zapewnić tę paradoksalną prywatność, jaką mamy pośród stu innych ludzi zajętych piciem i gadaniem. I to jest mój drugi ulubiony moment wieczoru: ludzki zgiełk, prawdziwa muzyka dla moich uszu. ©℗

Tydzień temu wspomniałem, że dla Paula Tremo sezonowym produktem kwietnia był dziki chmiel. W chwili, kiedy to piszę, ledwo widać ziemię spod śniegu, ale jest chyba nadzieja, że coś za parę dni zacznie rosnąć – a do jedzenia nadają się właśnie takie najmłodsze, delikatne, parocentymetrowe końcówki młodych pędów, które możecie pozbierać w okolicy.
Jeśli po Wielkanocy zostało wam za dużo jajek, możemy stworzyć atrakcyjny wizualnie włoski pieczony omlet, zwany frittatą. Pędy chmielu myjemy, dusimy kilka minut na oliwie, aż nieco zmiękną. Mocno ubijamy po 2 jajka na osobę, na każde z nich dodajemy też po jednej łyżce śmietanki i jednej łyżce startego parmezanu. Opcjonalnie – płaską łyżeczkę skrobi kukurydzianej, co ułatwi osiągnięcie zwartej konsystencji. Oczywiście sól i pieprz. Smarujemy masłem i oprószamy bułką tartą formę do pieczenia tej wielkości, by masa jajeczna miała niecały centymetr grubości, wylewamy ją, a potem układamy chmiel, tworząc zawiłe wzorki. Pieczemy aż do lekkiego zrumienienia w 150 stopniach.

ADOBE STOCK X2

ZMYSŁY

APETYT NA STRACH

Gdy oglądamy filmy grozy, w naszych umysłach trwa taniec ciekawości i strachu. Zakrywamy oczy, ale pozostawiamy między palcami szparkę, bo interesuje nas, co będzie dalej.

ŁUKASZ JACH

Czy pamiętacie jeszcze poznane na lekcji języka polskiego określenie *katharsis*? Arystoteles opisywał nim emocjonalne odreagowanie i rozładowanie napięcia, jakiego doznaje się śledząc losy bohaterów tragedii w greckim teatrze. Tę koncepcję niekiedy wykorzystujemy również dziś, komentując wrażenia związane z oglądaniem filmów czy seriali. Ale gdy na scenę wkracza gatunek taki jak horror, stare dobre *katharsis* odpada. Po obejrzeniu horroru nasz poziom napięcia często wręcz rośnie. Stajemy się bardziej czujni, trudniej nam zasnąć i zaczynamy zastanawiać się, czy otwieranie drzwi do łazienki albo zejście do piwnicy to rzeczywiście dobry pomysł. Nikt nie chce być tym ostatnim, który gasi światło.

Filmy grozy potrafią na tym całkiem nieźle zarabiać. Jak podaje portal The Numbers, w 2022 r. gatunek „horrory" zajmował czwarte miejsce w rankingu sprzedaży biletów kinowych. Gdyby jednak horrory połączyły siły z podobnymi gatunkowo thrillerami, to wskoczyłyby na trzecią lokatę, wyraźnie wyprzedzając... komedie. Czemu tak ciągnie nas do oglądania tego, co przeraża lub wywołuje obrzydzenie? Przecież wiemy, że wampiry, zombie i potwory z kosmosu lub głębin oceanu nie istnieją. Skąd nasz apetyt na strach?

Kto się boi Virginii Werewolf?

Jeden z tropów w zagadce popularności filmów grozy wiedzie do naukowych badań cech osób lubiących je oglądać. Co zatem trzeba w sobie mieć, żeby lubić strachy z ekranu? Przeglądowy artykuł na ten temat ukazał się w czasopiśmie „Frontiers in Psychology". Wynika z niego, że większą przyjemność z horrorów mają osoby ogólnie mniej strachliwe, o mniejszej empatii i słabszej skłonności do tłumienia w sobie negatywnych emocji. Okazuje się też, że z horrorami za pan brat są ekstrawertycy, ludzie bardziej nastawieni w życiu na poszukiwanie silnych doznań oraz ci z wyraźniejszymi cechami tak zwanej Ciemnej Triady osobowości (zwłaszcza makiawelizmem i psychopatią, bo narcyzm nie gra tu większej roli). Entuzjastów horrorów częściej znajdziemy też wśród mężczyzn niż wśród kobiet.

Co ciekawe, dane zdają się mówić nie o tym, kto bardziej lubi horrory, ale o tym, kto mniej ich nie lubi. Przykładowo, obniżona empatia i rozwinięte cechy Ciemnej Triady mogą sprawiać, że trudniej nam patrzeć na fabułę z perspektywy bohaterów ściganych lub krzywdzonych przez mroczne siły. U kobiet, w porównaniu z mężczyznami, zwykle łatwiej jest wzbudzić odczucie wstrętu, a horrory pełne są przecież wyzwalających

MIGUEL PEREIRA / GETTY IMAGES

Uczestnik „parady trupów" podczas obchodów Dnia Zmarłych. Mexico City, 2017 r.

odrazę bodźców, takich jak strugi krwi, obcięte kończyny czy lepkie wydzieliny. Jeśli natomiast jesteśmy bardziej odporni na strach lub szukamy w życiu silniejszych doznań, to być może po prostu później niż inni ludzie dochodzimy do progu, za którym zaczynamy czuć się nieswojo i nieprzyjemnie. Otoczenie widzi w nas fanów horrorów, ale w naszej głowie pojawia się niedosyt: „To już? Tylko tyle? Eee tam, wiele hałasu o nic".

Zależność pomiędzy reakcjami organizmu a poziomem satysfakcji płynącej z doświadczania grozy zbadał zespół naukowców z Danii, Wielkiej Brytanii i USA. Zaprosili oni uczestników do „Dystopii" – pałacu grozy, składającego się z czterdziestu dwóch pomieszczeń pełnych dekoracji i rekwizytów mających wzbudzać strach. Pracują tam szczerze oddani swemu zajęciu aktorzy, którzy na co dzień wcielają się w postacie rodem z koszmaru. Naukowcy sprawdzali najpierw, dlaczego badani zdecydowali się wziąć udział w doświadczeniu. Potem uczestnikom przypinano przenośne urządzenia do monitorowania akcji serca, a następnie pozwalano wyruszyć na przechadzkę po domu strachów. Kiedy śmiałkom udało się już opuścić przybytek, czekała na nich jeszcze pewna ankieta.

Analiza zebranych danych wykazała, że im szybsze było tętno uczestników, tym wyższy był poziom strachu, jaki deklarowali po wyjściu z domu grozy. Związek pomiędzy odczuwanym strachem a przyjemnością z zabawy przyjmował jednak postać odwróconej litery U. Do pewnego momentu im silniejszy był strach odczuwany przez badane osoby, tym większą odczuwały one przyjemność z budzącej dreszcze przechadzki, ale po przekroczeniu określonego poziomu strachu satysfakcja z zabawy ↦

↦ malała. Co ciekawe, z zebranych danych wynikało, że mniej więcej połowa uczestników brała udział w badaniu z własnej chęci, zaś pozostali zrobili to ze względu na swoich bliskich. Kiedy było już po wszystkim, to poziom zadowolenia z przygody u tych pierwszych okazał się być istotnie wyższy niż u tych drugich

Warto o tym pamiętać, jeśli myślimy, że przeżywanie grozy to świetna zabawa, do której warto namawiać innych. By cieszyć się wkraczaniem w świat horroru, trzeba być do tego przekonanym. Innym możemy zrobić tylko przykrość.

Ciało się nabrało

Zabierając się do oglądania horroru zwykle jednak nie wiemy, jaki wywoła on w nas poziom pobudzenia. Co zatem sprawia, że dobrowolnie oddajemy się w szpony filmowej grozy? Ciekawego wyjaśnienia dostarcza zaproponowana przez Paula Rozina koncepcja „łagodnego masochizmu". Według tego podejścia satysfakcja płynąca z horrorów jest jednym z wielu przejawów aplikowania sobie przez ludzi w bezpiecznych, kontrolowanych warunkach doznań, jakie w innej formie nie byłyby wcale przyjemne.

Zdaniem Rozina, jedną z cech działania umysłu jest to, że do pewnego stopnia pozwala on nam wchodzić w rolę obserwatora reakcji i procesów zachodzących w naszym ciele. Szczególną radość czerpiemy zaś z sytuacji, kiedy przyłapujemy ciało na błędach i nieadekwatnych reakcjach, które na dodatek udaje nam się powstrzymywać lub kontrolować. Podczas oglądania złudzeń optycznych bawi nas to, że mózg nie radzi sobie z przetwarzaniem sygnałów wzrokowych. Podobnie przy doświadczaniu udawanej grozy – horroru lub pałacu strachów – satysfakcja bierze się stąd, że ludzka jaźń tryumfuje nad bijącym na alarm ciałem, dla którego sztuczna krew, wydzieliny, szpony i kły są nieodróżnialne od tych prawdziwych. Ciało się nabrało!

Rozin wraz ze współpracownikami wymienia całą masę innych przykładów łagodnego masochizmu, będącego dla wielu z nas na co dzień źródłem przyjemności. Są na niej między innymi słuchanie smutnych piosenek i tragicznych historii, sięganie po kwaśne, ostre i gorzkie jedzenie, degustowanie mocnych alkoholi, morsowanie oraz korzystanie z sauny, masaże tak bolesne, że aż przyjemne i... przejażdżki kolejką górską. Do listy tej można też dołożyć siadanie w pobliżu sceny podczas występu typu *stand-up*. Zwiększa to naszą szansę bycia wyszydzonym przez artystę, na którego *show* przyszliśmy. W typowych okolicznościach wiązałoby się to z odczuciami poniżenia, wstydu i odrzucenia. Jednak z perspektywy wygodnego fotela na biletowanym przedstawieniu ból społeczny może mieć całkiem przyjemny smak.

Zwolennicy koncepcji łagodnego masochizmu wspominają ponadto, że dla wielu ludzi źródłem największej satysfakcji są wrażenia znajdujące się tuż poniżej poziomu, który byłoby już trudno znieść. Czyżby więc opisana wcześniej zależność pomiędzy natężeniem strachu a radością z horroru przypominająca odwrócone U była przejawem bardziej ogólnego zjawiska?

Nieustraszona

Teoria łagodnego masochizmu wskazuje, że horrory przyciągają nas obietnicą doznań płynących z doświadczeń dostarczanych w nietypowych, ale kontrolowanych sytuacjach. Co stałoby się jednak, gdybyśmy utracili zdolność odczuwania czegoś takiego jak strach? Czy filmy grozy uznano by wtedy za tak nudne, że trzeba by je usunąć z repertuarów kin i platform streamingowych? Przypadek Pani SM sugeruje, że niekoniecznie.

Wskutek rzadkiej choroby genetycznej u Pani SM doszło do rozległych uszkodzeń ciała migdałowatego, czyli struktury mózgu odpowiedzialnej za przetwarzanie emocji. Choć Pani SM potrafiła odczuwać wstręt, gniew, smutek, radość czy zaskoczenie, to na co dzień zachowywała się tak, jakby w jej repertuarze emocji nie było strachu. Gdy bawiące się na podwórku dzieci powiedziały jej, że w pobliżu jest wąż, Pani SM po prostu podeszła do niego, chwyciła w ręce i przeniosła zwierzę w bezpieczne miejsce. Innym razem, gdy została napadnięta w parku przez nożownika, przemówiła do niego chłodnym głosem (mężczyzna zostawił ją w spokoju). Co ciekawe, Pani SM pamięta, że kiedyś bała się węży i wie, że inni ludzie odczuwają strach.

Grupa amerykańskich badaczy zajmujących się przypadkiem Pani SM postanowiła sprawdzić, jak kobieta zachowuje się w sytuacjach, w których inni ludzie zwykle przejawiają oznaki strachu. Kiedy zabrano ją do sklepu zoologicznego, Pani SM wręcz nie mogła się oderwać od sprzedawanych tam węży i pająków. Brała zwierzęta na ręce i dotykała je z takim zaangażowaniem i ciekawością, że do akcji musieli wkroczyć pracownicy sklepu obawiający się, że któreś ze zwierząt w końcu ją ukąsi. Zainteresowanie groźnymi zwierzętami przejawiało się również w pytaniach, jakie kobieta zadawała na ich temat oraz okrzykach zachwytu.

Nie inaczej było, gdy Pani SM pokazywano kilkuminutowe, przerażające sceny z horrorów (między innymi „The Ring", „Blair Witch Project" i „Lśnienie"). Choć kobieta nie odczuwała przy nich strachu, to jednak wcale nie nudziła się podczas seansów. Wręcz przeciwnie – była podekscytowana i zaciekawiona, a nawet poprosiła badaczy o zanotowanie jednego z tytułów, ponieważ chciała samodzielnie obejrzeć cały film.

Kiedy naukowcy zabrali Panią SM do domu strachów, szybko weszła w rolę liderki grupy zwiedzających i dziarskim krokiem przemierzała kolejne pokoje. A gdy na jej drodze stawali kolejni przebrani za potwory pracownicy przybytku, po prostu do nich podchodziła, zaczynała z nimi rozmawiać oraz próbowała ich dotykać. Jej ciekawość była tak silna, że kilka razy nastraszyła wręcz tych, którzy na co dzień zajmują się przerażaniem innych.

Co ten przypadek nieustraszonej kobiety z uszkodzonym ciałem migdałowatym mówi o naszym zamiłowaniu do horrorów? Wygląda na to, że kiedy znika strach, do głosu wyraźniej dochodzi ciekawość. A horrory składają się wszak nie tylko z elementów brutalnych i makabrycznych, ale są też pełne osobliwości, tajemnic i niesamowitych wydarzeń. Gdy oglądamy filmy grozy, w naszych umysłach trwa być może skomplikowany taniec ciekawości i strachu. Z jednej strony zakrywamy oczy, ale z drugiej pozostawiamy między palcami szparkę, bo interesuje nas, co będzie dalej.

Przepisy na horror

Choć nakręcone dotąd filmy grozy liczy się w tysiącach, poruszane w nich wątki można spróbować przypisać do kilku głównych kategorii. Hank Davis i Andrea Javor zauważyli, że tematyka horrorów skupia się wokół trzech podstawowych tematów.

Pierwszym z nich jest wątek bycia ściganym przez koszmarnego drapieżnika. Bez trudu odnajdziemy go w klasycznym „Halloween", serii filmów o Obcym czy opowieściach z motywem podążającej za bohaterami klątwy. Inny motyw to unikanie zagrożenia, które jest podobne do zakaźnej choroby. W taki sposób budowane są historie o wampirach, zombie czy wilkołakach, których ugryzienia mogą przemieniać ofiarę w kolejnego krwiożerczego potwora.

Nasza jaźń tryumfuje nad bijącym na alarm ciałem, dla którego sztuczna krew, wydzieliny, szpony i kły są nieodróżnialne od tych prawdziwych. Ciało się nabrało!

Skuteczność tych schematów budowania grozy można tłumaczyć działaniem mechanizmów, które w naszych umysłach ukształtowały się na drodze ewolucyjnej. Ludzie od niepamiętnych czasów musieli radzić sobie z zagrożeniami ze strony drapieżników czy chorób zakaźnych. Chcąc nas przerazić, wystarczy wyciągnąć z szafy stare, zakurzone kostiumy. Zagrożenia te są jednak dosyć jednoznaczne.

Ale Davis i Javor wymieniają również trzeci wątek. Są nim spotkania z istotami mającymi jedynie część cech, jakich zwykle oczekujemy u innych ludzi. Postacią taką jest na przykład Hannibal Lecter z „Milczenia owiec" – pod względem wyglądu będący zwyczajnym człowiekiem, ale przerażająco nietypowy pod względem działania umysłu. Mechanizmy grozy uruchamiane w takich przypadkach wynikają z niejednoznaczności sytuacji, kiedy dochodzi do przełamywania schematów zwykle ułatwiających szybkie podejmowanie decyzji. Przerażające jest samo dostrzeganie, że potwór taki, jak upodabniający się do ludzi przybysz z kosmosu z „Inwazji porywaczy ciał" czy człekokształtny robot z „Prometeusza", może wkraść się do naszego otoczenia nie uruchamiając umysłowych alarmów, by potem znienacka uderzyć na zupełnie nieprzygotowaną ofiarę.

I w tym przypadku jednak groza zdaje się mieć swoje ewolucyjne uzasadnienie. Jest nim istnienie osób maskujących swoje prawdziwe intencje, których światopogląd i normy moralne nie powstrzymują od wyrządzania krzywdy innym ludziom. Stąd może brać się też popularność filmów i seriali o pozostających przez wiele lat na wolności seryjnych zabójcach, którzy potrafili wtapiać się w lokalne społeczności.

Znaczenie mają też scenerie przerażających wydarzeń. Gdy bawimy się w chowanego, to szukamy zwykle dobrej kryjówki, czyli lokalizacji pozwalającej obserwować otoczenie oraz pozostawać niewidocznym dla szukającego. Atmosferą zagrożenia nasiąknięte są więc te miejsca, w których jest dokładnie na odwrót. Ileż razy po naszych plecach przechodziły dreszcze, gdy szliśmy przez pusty korytarz czy leśną przecinką albo staliśmy przez chwilę na podziemnym parkingu lub na polanie otoczonej drzewami.

Aby czuć się gdzieś dobrze, należy móc widzieć dużo, ale nie za dużo. Cóż z tego, że mamy przed oczami wiele obiektów, jeśli nasza uwaga musi szybko przeskakiwać z jednego na drugi, a i tak nie mamy poczucia, że dobrze orientujemy się w sytuacji. Dlatego właśnie miejsca takie jak zagracone strychy, pełne osobliwych staroci sklepy albo atakujące wzrok feerią kolorów i świateł lunaparki dobrze nadają się na scenerię horroru. Efekt przytłoczenia bodźcami będzie jeszcze większy, gdy z jakiegoś powodu musimy przemierzać nieznajomy obszar, którego układ dobrze znają za to jego stali (przerażający) mieszkańcy. Kiedy bohaterowie filmu zmuszeni są wkroczyć do lasu, jaskini, kanałów, wielokondygnacyjnej posiadłości czy gotyckiego zamku, prawie na pewno spotkają tam coś lub kogoś, kto zna to miejsce jak własną kieszeń.

I wreszcie, strach wywołuje otoczenie, z którego ogólnie trudno się wydostać albo takie, do którego trudno sprowadzić pomoc. Gra pomiędzy bohaterami i przeciwnikami musi wtedy zakończyć się zwycięstwem lub przegraną każdej ze stron. Nieprzypadkowo popularnymi sceneriami niesamowitych opowieści są miejsca odludne, takie jak maleńkie wioski, domy położone pośrodku niczego, ośrodki badawcze czy internaty, ale również pokłady okrętów, łodzi podwodnych czy statków kosmicznych. W dzisiejszym świecie do kontaktu z innymi można wykorzystywać jednak telefony i internet. Wypada zadbać więc o to, aby na wstępnym etapie opowieści bohaterów zawiodła technologia (dawniej: „Ktoś przeciął kable!", dziś: „To zjadło ruter!").

Potworne przemiany

Stwarzanie atmosfery horroru polega w znacznym stopniu na podawaniu w ekstremalnych dawkach porcji tego, czego jako ludzie boimy się z uzasadnionych, biologicznych przyczyn. Z drugiej strony, konieczność odbierania bohaterom horrorów dostępu do nowoczesnych urządzeń pokazuje, że aby groza pozostawała grozą, trzeba dopasowywać ją nieco do aktualnych warunków. Czy możliwe jest więc, że rozwój nauki i technologii odeśle niektóre potwory albo upiorne schematy na emeryturę? Według Mathiasa Clasena, który od dawna zajmuje się psychologią horrorów, wcale nie musi tak być.

Clasen zauważa, że choć w opowieściach z dreszczykiem wciąż pojawiają się wilkołaki, wampiry czy duchy, to w różnych okresach przerażają one w nieco inny sposób. Dobrym przykładem są tu historie o zombie czy też bardziej swojsko: o „żywych trupach". W dawnych opowieściach żywym trupem można było stać się wskutek klątwy, czarów lub niedopełnienia rytuałów pogrzebowych. W dzisiejszych wydaniach ludzie zachowujący się jak zombie powstają w wyniku działania wirusów („World War Z"), chemikaliów („Apokawixa", ale również i komediowe „Zombie bobry") albo pochodzących z kosmosu pasożytów („Oni").

Choć miejsce czarów zajmują czynniki opisywane językiem nauki lub technologii, to w obu wersjach pojawia się ten sam motyw utraty kontroli nad ciałem i stawania się czymś na kształt narzędzia kierowanego przez obcą siłę. Społeczności terroryzowane przez seryjnego zabójcę działającego według określonego klucza przypominają zaś takie, gdzie grasuje wilkołak, którego apetyt związany jest z cyklem faz księżyca.

O horrorach typowo telewizyjnych: inflacji, transakcji odrzuconej i braku środków napiszemy następnym razem.

© ŁUKASZ JACH

STANISŁAW

Mancewicz:
Daleka przyszłość

Znany przede wszystkim z osobliwych manier, tak bardzo charakterystycznych dla swej formacji i dla dzisiejszych ludzi władzy, R. Terlecki wyraził dopiero co, jakby znienacka, opinię, że najlepszym kandydatem na przyszłego prezydenta RP byłby urzędujący prezes Rady Ministrów M. Morawiecki. Ten głos, jakby odosobniony, jakby spoza kadru badań opinii publicznej, jakoś nas zaciekawił, wzruszył i poruszył. Ale i zaniepokoił.

Spróbowaliśmy sobie wyobrazić, w jakich okolicznościach, kiedy i w jakim towarzystwie ta tak piękna wizja przyszłego bytu politycznego M. Morawieckiego się wyklarowała. Najpewniej musiało być to grono najpełniej w kraju, na nasze czasy, decyzyjne i opiniotwórcze. Wąskie, rzecz jasna. Bo iluż w Polsce możemy mieć ludzi decyzyjnych i opiniotwórczych? Ktoś powie: stu. Ktoś inny, że trzech. Ale przecież świetnie wiemy, że żadna liczba mnoga nie wchodzi w grę. Decyzyjna jest tu, w Krainie Uśmiechu, nieodwołalnie jedna osoba. A opiniotwórcza także jedna. I jest to oczywiście osoba ta sama. A więc – inteligentnie podpowiadamy – tylko Gospodarz mógł wymyślić, że najlepszym przyszłym kandydatem na prezydenta będzie M. Morawiecki. No bo któż inny mógłby serio wygłosić taką opinię? Bez narażania się na szwank dyskusji, bez wewnątrzpartyjnej szarpaniny? Nikt.

Co ma do tego R. Terlecki? Tu musimy pójść w pewnik: on tylko wysłuchał i powtórzył, bowiem jest to człowiek bacznie nasłuchujący i bardzo precyzyjnie powtarzający. Cokolwiek. Słowem, to jasne, że tę bez wątpliwości i bez lęku wygłoszoną opinię R. Terleckiego możemy uznać za nie jego, ale za stuprocentowo nas wiążącą. A więc ogłaszamy: dziś, a mamy kwiecień 2023 r. po Wielkanocy, kandydatem PiS-u na prezydenta RP jest M. Morawiecki. Kropka.

Ktoś teraz zapyta i będzie nam w tej kwestii boleśnie wiercił dziurę w brzuchu: co was tu – panie kolego – dziwi? Co w tym jest w ogóle ciekawego? Dlaczego nagle przyczepiliście się – panie kolego – do rzuconej w zasadzie mimochodem wypowiedzi R. Terleckiego, powszechnie znanego z osobliwych manier, niesłusznie i krzywdząco uważanych za typowo krakowskie?

Oto – to naprawdę śmieszne – nie umiemy logicznie odpowiedzieć ani nikomu podpowiedzieć: dlaczego, do stu tysięcy beczek zjełczałego tranu, M. Morawiecki jest tak świetnym kandydatem na prezydenta krajowego, a dziś, tu i teraz, będący złym – w dość powszechnym mniemaniu – premierem. O! Już słyszymy rechot i towarzyszące mu typowe, ohydne odgłosy symbolizujące w naszej kulturze lekceważenie. Nie wie! Nie kuma! Ani nie łapie. Dno! Choć się staramy, choć napinamy, choć wszystko czytamy, wszystkiego słuchamy, wertujemy i szukamy, tu i ówdzie, to nic. Zero. Żadnego znaku czy tropu. Więc – słowo dajemy – nie rozumiemy, dlaczego premier M. Morawiecki jest dziś człowiekiem formatu prezydenckiego, skoro jest ledwo małego formatu premierowskiego, co potwierdzają obserwacje małe i duże oraz oceny ważne i mniej ważne.

Zawiedzeni konwencją myśli i logiki przerzucamy się na metody – właśnie – niekonwencjonalne. Może i tak być, że owa przeciekawa ocena jest obecna i uzasadniona w jakimś innym – za przeproszeniem – biotopie, w innym klimacie, układzie czy tej, czy innej galaktyce. A więc podnosimy wzrok ku niebu, przykładamy ucho do pnia wierzby płaczącej, liczymy kuknięcia kukułki, pijemy dużymi haustami zimną wodę, rozsypujemy fusy, zjadamy kremówkę, włączamy nasłuch radiowy z Merkurego. Przełączamy się na stacje nadające z Uranu, z Wenus. I? Nic. Cisza, jakby makiem zasiał. Żadnego śladu.

Gdy tak tu sobie sympatycznie żartujemy z własnego zaskoczenia, zaciekawienia i zaniepokojenia, a nic tak dobrze człowiekowi nie robi, jak bycie sympatycznym wobec siebie, pomyśleliśmy, że jednak mamy niedosyt opinii i wieszczb R. Terleckiego, że chcielibyśmy ich i więcej, i o innych ludziach. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

Prawda nie obroni się sama. Przekaż wsparcie naprawdę

1,5%

Inne sposoby na wsparcie:
powszech.net/dar

TYGODNIK POWSZECHNY

Przekaż 1,5% podatku Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o suwerenność i rozwój „Tygodnika Powszechnego".

» KRS 0000 125 605

OGŁOSZENIE OPP

REKLAMA

80. Rocznica Powstania w Getcie Warszawskim

WARSZAWA 43.

Muzeum Getta Warszawskiego – miejsce, gdzie pamięć jest żywa

WWW.1943.PL

80. Rocznica Powstania w Getcie Warszawskim. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Muzeum Getta Warszawskiego

REKLAMA

Stowarzyszenie Pomocy Osobom Autystycznym

www.spoa.org.pl

Przekaż 1,5%

Stowarzyszenie Pomocy Osobom Autystycznym obejmuje codziennie specjalistyczną terapią ponad 400 osób od wczesnego dzieciństwa po wiek dojrzały. Dla osób dorosłych prowadzi w Trójmieście 3 dzienne placówki aktywizacji zawodowej i społecznej. Z myślą o ich przyszłości zbudowano mały dom stałego pobytu - Wspólnotę Domową dla Dorosłych Osób z Autyzmem im. Arama Rybickiego, w której z indywidualnym wsparciem będzie mieszkać kilkanaście osób, uczestniczących obecnie w treningach mieszkalnictwa.

W trakcie budowy jest druga Wspólnota Domowa, dająca kolejnym osobom perspektywę godnego, aktywnego życia, której nie zapewniają im domy pomocy społecznej, będące dla nich jedyną ofertą państwa. Osoby z autyzmem potrzebują indywidualnego wsparcia, często przez całe życie. Dzięki temu mają szansę na aktywne, godne i na miarę ich możliwości, niezależne życie w społeczeństwie.

Pomóż osobom z autyzmem i podaruj Stowarzyszeniu 1,5% podatku

KRS 0000112634